



# Paweł Jaszczuk

## Ochronka Anioła Stróża

Oficynka

**Paweł Jaszczuk**

# **Ochronka Anioła Stróża**

Copyright © Oficynka & Paweł Jaszczuk, Gdańsk 2013

Wszystkie prawa zastrzeżone. Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie pierwsze w języku polskim, Gdańsk 2013

Opracowanie edytorskie książki: [kaziki.pl](http://kaziki.pl)

Projekt okładki: Magdalena Zawadzka | Aureusart

Zdjęcia na okładce: © Calebashleywall | [Dreamstime.com](http://Dreamstime.com)

Skład: [dialoog.pl](http://dialoog.pl); [biuro@dialoog.pl](mailto:biuro@dialoog.pl)

ISBN 978-83-62465-98-9

Wyłączny dystrybutor:

Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z ograniczoną  
odpowiedzialnością S.K.A.

05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91

[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

[www.oficynka.pl](http://www.oficynka.pl)

email: [oficynka@oficynka.pl](mailto:oficynka@oficynka.pl)

Konwersja do formatu MOBI:

Legimi Sp. z o.o. | [Legimi.com](http://Legimi.com)

*Eins, zwei, Polizei  
Drei, vier, Grenadier  
Fünf, sechs, alte Hex,  
Sieben, acht, gute Nacht,  
Neun, zehn, schlafen gehen*

Padał śnieg z deszczem i ulica szybko pokryła się bieżą. Piotr Magnus postawił kołnierz płaszcza, nasunął kapelusz na czoło i przyspieszył kroku. Miał za sobą udany wieczór. Pożegnano się z nim, jakby naprawdę umierał. Dwie stacje telewizyjne i kilka radiowych rozgłośni transmitowało na żywo jego ostatnie literackie „tchnienie”. Dostał prezenty i kwiaty, których nie przyjął. Podpisał kilkadziesiąt książek i teraz beztrudno szedł przez krakowski Kazimierz.

Minął Starą Synagogę, przeskoczył kałużę i zziębnięty wszedł do „Estery”, skąd wylewała się na ulicę klezmerska muzyka. Miał chęć spędzić resztę wieczoru sam. Wypić szklaneczkę wódki i się ogrzać. Rozmarzony, zajął miejsce przy barze, zamówił czulent i wkrótce przekonał się, że nie pasował do tego miejsca i że nikt z obecnych do niego nie pasował. Ogarnęło go uczucie koszarnej pustki. Roztopiał się, jak zatknięte w menorze świece, słuchając piosenki o Rebecce. Przebrana za Żydóweczkę dziewczyna zawodziła o swym ukochanym. Przysunęła się do Magnusa i patrząc mu w oczy, łągała, że to on jest jej kochankiem.

*Pamiętam dzień, było popołudnie,  
Szłam umyć się pod studnię  
Tyś samochodem przybył wraz...*

Czarnowłosa pocałowała go w policzek i, oklaskiwana, odeszła do nowego adoratora. Magnus dopił koszerną wódkę, zjadł czulent i po godzinie skończył się jego walentynkowy dramat.

Przed północą wrócił do hotelu. Zmęczony marzył, by rzucić się na łóżko i natychmiast zasnąć. Z przymkniętymi oczami czekał na windę i wtedy podeszła do niego recepcjonistka.

– Nie wiem, od czego zacząć – zaczęła łamiącym się głosem. – Pod pana nieobecność zdarzyła się awaria. Spakowaliśmy pana rzeczy. Rano przyjedzie ekipa wymienić zawór i zerwać wykładzinę. – Nie powiedziała, jaki zawór wymienią, zresztą nie był tego ciekaw. Pulchna blondynka

o imieniu Kasia (wydrukowanym na przyczepionym do bluzki identyfikatorze) złożyła dłonie jak do modlitwy. – Niestety, nie mogę pana przenieść do innego pokoju, bo wszystkie są już zajęte, ale mam za to inną propozycję. Jeśli pan zechce, przewieziemy pana do naszego nowego hotelu. Będzie pan jego pierwszym gościem. Oczywiście to nasza wina – dodała pośpiesznie – więc nie będzie pan płacił. Taksówka stoi przed wejściem. Niech pan się zgodzi, błagam.

Było mu wszystko jedno. Ten wieczór był i tak dla niego jednym wielkim szaleństwem. Kierowca, chłopak ostrzyżony jak marines, schwycił jego walizkę, on zaś laptopa w pokrowcu i po chwili jechali już do nowej siedziby, przeciskając się przez labirynt uliczek, by zaparkować w końcu przy wąskim chodniku obok sklepu monopolowego i piekarni.

Magnus nie zdążył się przyjrzeć ulicy. Chłopak przystawił plastikową kartę do elektronicznego zamka, pchnął szklane drzwi. Potem zaprowadził go do pustej recepcji i oddalił się tak cicho, jak chiński kulis zmieniający w teatrze dekorację.

Przestronny hol hotelowy oświetlała jedynie niewielka lampka pod sufitem i olbrzymie wmurowane w ścianę akwarium. Mężczyzna natychmiast zwrócił na nie uwagę. Zimne seledynowe światło spływało z niego na lśniąca terakotę, barwiąc ją ruchomymi plamami i cieniami. W akwarium pływał jesiotr, tak jak on zagubiony w obcej czasoprzestrzeni. Znikał w sztucznej grocie, by zawrócić i jeszcze raz majestatycznie pokonać tę samą trasę. Z prawej strony akwarium, przy różowym koralu, purpurowa langusta wspinała się niespiesznie na usypany ze żwiru kopczyk. Miała czarne kuliste oczy, w których odbijało się jakieś naiwne zdumienie, i ogromne czułki, obmacujące teren.

Teraz, tak jak skorupiak, rozglądał się czujnie, próbując wyłowić z półmroku meble i sprzęty w recepcji. Dojrzał pod ścianą automat z coca-colą, potem szeroką skórzaną kanapę z żółtymi poduszkami i dwa głębokie fotele. Irytował go unoszący się w powietrzu zapach. Pachniało nowością

skórzanych mebli, świeżo pomalowanych ścian i rozłożonej niedawno wykładziny.

Nagle odezwał się natarczywy dzwonek. Magnus postawił walizkę, podszedł do recepcji i podniósł telefoniczną słuchawkę.

– Halo!? Tu Kasia, ta ze starego hotelu! – usłyszał znajomy głos. – Na śmierć zapomniałam, że u pana nie ma jeszcze obsługi. Chciałam pana dogonić, no ale szybko odjechaliście. Dzwonię, by udzielić panu krótkiej instrukcji. Niech pan posłucha. Najważniejsza jest magnetyczna karta do pańskiego pokoju. Powinna leżeć obok mapy w przegródce... przy kolorowym folderze. Numer dwadzieścia jeden. Widzi ją pan?

– Tak, widzę! – odparł i wziął do ręki swój plastikowy klucz.

– Świetnie! Do swego szczęśliwego numerku na drugim piętrze dojdzie pan schodami, ale wygodniejsza będzie winda. W połowie korytarza, na lewo, zobaczy pan okute drzwi. Trzeba pociągnąć za podkowę i wtedy same się otworzą. To drzwi do biblioteki, obok niej po lewej stronie mieści się nasza restauracja. Nazywamy ją „Obłok Magellana”. Śniadania, szwedzki stół, serwujemy od siódmej do dziesiątej – recytowała jak z nut. – Na drugim końcu korytarza jest sauna. Może ją pan sam włączyć, jeśli będzie pan miał ochotę. A teraz niespodzianka: za filarem, tuż przy wejściu do recepcji, stoi papierowa torba, przewiązana czerwoną wstążeczką. Widzi ją pan?

– Rzeczywiście! – potwierdził, odchylając się na bok.

– To prezent od szefa. Proszę go, panie Piotrze, przyjąć.

Gadatliwa dziewczyna grała mu na nerwach, więc bez żalu skończył rozmowę, a potem zabrał prezent i swoje rzeczy i pojechał windą na drugie piętro.

Kiedy drzwi kosmicznej windy złożyły się w harmonijkę, Magnus zszedł z aluminiowego podestu na starą kolorową mozaikę, pamiętającą pewnie przedwojenne czasy. Połączenie dwóch architektonicznych stylów spodobało się mu, podobnie jak automatycznie zapalające się lampki, które

wskazywały mu drogę, gdy szedł labiryntem pustych korytarzy. Wkrótce odszukał swój pokój, wsunął kartę do czytnika przy drzwiach i wszedł do środka. W tym momencie uświadomił sobie, że jego plany wymknęły się spod kontroli, a to nieoczekiwane położenie przypomina mu stan wymyślonego bohatera, który w jednej z jego powieści wszedł do jakiegoś pomieszczenia i zrobił coś, na co nie miał w ogóle ochoty.

Postawił walizkę przy szafie, położył laptopa na stole, a potem powiesił kapelusz i przemoczony płaszcz na wieszaku. Zaciekawiony zabrał się za rozpakowanie papierowej torby. Prezent od szefa mile go zaskoczył. Nie spodziewał się, że torba kryje dwunastoletniego Ballantine'usa w połyskującym blaszanym pudełku!

Zdjął pokrywkę, by się przekonać, że w aksamitnym futerale spoczywa ozdobna butelka z czterdziestoprocentowym złocistym płynem. Flaszka sprawiała wrażenie dzieła sztuki, które mógł za chwilę sam na sam kontemplować. Do zestawu dołączona była szklaneczka z grubego szkła z wygrawerowaną, skierowaną do góry strzałką.

W pokoju panowała nienaturalna cisza, jak w studiu nagrań i Magnus czuł się nieswojo. Pogwizdując, postanowił wziąć gorący prysznic, a potem pokrzepić się dwunastoletnią szkocką i doprowadzić do błogiego stanu. Postawił butelkę na stole i powiesił marynarkę na krześle. Następnie odpiął pasek od spodni i właśnie wtedy, gdy zamierzał sięść na łóżku, dostrzegł leżącą na poduszce szarą kopertę. Ktoś zadał sobie trud i wszedł przed nim do jego pokoju, by zostawić zaadresowaną do niego wiadomość. Po co?

Ilekcroć otrzymywał listy, świadomość zamkniętych wyrazów napełniała go obawą. Mogła to być trywialna informacja z banku o stanie konta lub mniej przyjemne wezwanie do izby skarbowej albo kolejne zaproszenie na rewelacyjny (zawsze tak się pisze przed premierą) spektakl! Mógł to być również darmowy bilet wstępu do *fitness klubu*, chytra pułapka, w którą łatwo wpaść, gdy się przypomną potrzeby zaniedbanego ciała.



Zaklejona koperta czekała, aż wyczerpie wszystkie domysły i wreszcie wyjmie nieoczekiwaną wiadomość. Magnus niecierpliwie rozerwał jej brzeg i zaczął czytać:

*Szanowny Panie! – ktoś napisał na komputerze, zachowując akapity i odstęp – Nazywam się Leo Maksymilian Guardian. Jestem właścicielem hotelu, w którym Pan się zatrzymał. Miło mi Pana gościć. Zapewne mój list już teraz uruchomił lawinę pytań, mimo to proszę przeczytać go do końca.*

*Szanowny Panie! Wiem o Panu wystarczająco dużo, by mieć pewność, że tylko Pan może mi pomóc. Nie jest to, Boże broń, pomoc bezinteresowna. Znam wszystkie Pana książki: Ostatni szept – bałem się go czytać, Noc – tak ciemna, że sama czerń jej się kłania, Jesienne wzgórza – melancholia, ale też obezwładniająca słodycz, i wreszcie kontrowersyjną Schizmę, z którą po raz ostatni wystąpił Pan dzisiaj w Starej Synagodze, podgrzewając atmosferę tego świętego miejsca. Znajdzie Pan je wszystkie w mojej bibliotece, w należnym im miejscu. Przejdę teraz do rzeczy, ponieważ wiem, że planował Pan jeszcze dzisiejszej nocy obejrzeć miasto.*

*Chcę, żeby Pan wiedział, że szanuję Pańską decyzję o zakończeniu kariery pisarskiej. Wiem, że jest ona nieodwołalna i właśnie dlatego postanowiłem zwrócić się do Pana ze swoją propozycją. Jutro dostarczę Panu wszystkie materiały, świadectwa, dowody, zdjęcia, nawet filmy i listy. Wszystko, co będzie konieczne, oczywiście wtedy, gdy zechce Pan przyjąć moją ofertę. Proszę określić kwotę, jakiej się Pan spodziewa, w euro. Nie może to być kwota sześciocyfrowa. Jeśli dobijemy targu, zwyczajowa zaliczka znajdzie się na Pana koncie bez zbędnej zwłoki.*

*Rzecz jasna ureguluję wszystkie Pańskie rachunki za pobyt w hotelu i za wyjazdy (jeśli się okażą konieczne). Może Pan mieszkać dalej w tym pokoju, o ile to skromne wnętrze będzie Panu odpowiadać. Jestem przekonany, że dojdziemy do porozumienia, jeśli zgodzi się Pan w ciągu trzech miesięcy napisać moją biografię.*

*PS Odezwę się jutro. Z wiadomych względów proszę, by treść tego listu zachował Pan wyłącznie dla siebie.*

Zostawił list na łóżku i wszedł pod prysznic, by zmyć z siebie brudnia i wątpliwości. Nie miał chęci, jak sugerował mu jakiś Leo Maksymilian Guardian, włóczyć się w nocy po mieście, a tym bardziej zgłębiać jego biografii. W plastikowej kabinie masował gąbką uda i plecy. Puszczął gorący strumień wody na zdrętwiały kark, zadając sobie ból. Po tych katuszach okręcony ręcznikiem stanął przed zaparowanym lustrem. Przetarł twarz dłonią, próbując wyczytać z niej, jak ma postąpić. Przed kilkoma dniami oficjalnie zapowiedział koniec pisarskiej kariery. Dziś publicznie ogłosił przed kamerami swoje milczenie.

Teraz odgarnął znad czoła mokre, posiwiałe na skroniach włosy i wydusił czerwony, swędzący pryszcz na brodzie. Nie było żadnej podpowiedzi. Koniuszki brwi podniosły się, jakby w zdziwieniu. Spierzchnięte usta błagały, by wreszcie dał im spokój. Jedynie ze zmrużonych zielonych oczu wyczytał, że propozycja LMG korci go cholernie i byłoby tchórzostwem się z nią nie zmierzyć.

Miał wreszcie to, czego chciał. Czekał na taką ofertę całe życie, a teraz po publicznym ogłoszeniu końca kariery pisarskiej wahał się, czy wypada się babrać w czyichś wspomnieniach. Im bardziej dopadały go niedorzeczne skrupuły, tym bardziej chciał poznać kres tej drogi. Był przekonany o zastawionych na niego pułapkach. Czuł, że ten list, butelka, a nawet awaria zaworu są fragmentami jakiegoś absurdalnego scenariusza. Dla porządku zamknął oczy, zdając się na los. Pomyślał, że jeśli się obróci i dojdzie po omacku do drzwi, nie potrącając kosza, przyjmie szaloną propozycję.

Obrócił się i ostrożnie zrobił trzy najdłuższe w swym życiu kroki. Jak prowadzony przez przewodnika ślepiec zręcznie ominął pułpkę. Chwytał

klamkę i pewnie wszedł do pokoju. Stało się. Wróżba pozwalała mu teraz odkręcić korek, nalać złocistego płynu do szklanki i zdecydowanie, do dna, się napić.

Tej nocy nic mu się nie śniło. Obudził się jak zaprogramowany automat, równo o ósmej, by dostrzec w szczelinie między zasłonami padający obficie śnieg. Miliony płatków wirowały w fantazyjnym tańcu, dekorując jego świat. Zafascynowany podszedł do okna i natychmiast przypomniał sobie wczorajszą ofertę. Nie był to złudny sen. Otwarty list wciąż leżał na stole przy napoczętej butelce.

Magnus postanowił zachować do tej propozycji dystans, zjeść śniadanie, zwiedzić hotel, a potem, ewentualnie, zagrać z tajemniczym panem Guardianem *va banque!* Szybko umył się i ogolił, a kiedy po kilkunastu minutach spojrział przez okno, ujrzał zamiast tańca śnieżynek błękitne niebo i prowokujące do spaceru, lutowe słońce.

Bez trudu trafił do restauracji. Drzwi do niej znajdowały się w połowie korytarza, za akwarium. Gdy chwycił za połyskującą podkowę i pociągnął (tak jak poinstruowała go recepcjonistka), otworzyła się przed nim podziemna przestrzeń oświetlona mlecznym światłem. Trzymając się okrętowej liny, powoli zszedł po schodach do podziemia. Zatrzymał się przy stoliku, za którym siedział (niczym portier) naturalnej wielkości, wyrzeźbiony w drewnie Ferdynand Magellan. Wiele razy widział jego wizerunek, więc natychmiast go poznał. Żeglarz miał czarną brodę i zwisające wąsy, a jego oczy spoglądały podejrzliwie na gościa spod krzaczastych brwi. Nieznany rzeźbiarz zadbał o dziesiątki szczegółów. Ubrał kapitana w staroświecki strój. Nałożył mu na głowę skórzany polakierowany kapelusz, odział go w białą koszulę, zielony surdut i długą, czarną kamizelę. Na nogi wciągnął mu skórzane buty sięgające do kolan, a do prawej dłoni włożył fajkę wyrzeźbioną w kości.

Magnus minął nieruchomego kapitana i znalazł się w niedużym pomieszczeniu z wielkimi lustrami na ścianach, w którym ustawiony był

szwedzki stół. Rozejrzał się, a potem odchylił pokrywę termosu i nałożył sobie szczypcami na talerz dwie gorące parówki. Następnie wziął połówkę chrupiącej bagietki i wycisnął z opakowania niewielką porcję ketchupu na talerzyk. Spragniony podniósł filiżankę i nalał do niej z dzbanka gorącej kawy, i tak zaopatrzony skierował się do pomieszczenia obok, które recepcjonistka nazwała „Obłokiem Magellana”.

Był mile zaskoczony. Pomieszczenie, do którego wszedł, okazało się gustownie urządzone biblioteką. Na półkach znajdowały się książki, słowniki i encyklopedie, zaś pomiędzy nimi ustawiono dla dekoracji preparaty egzotycznych węży, skorpionów i kolorowych motyli.

Ledwie usiadł przy stole, gdy niespodziewanie wyrosła przed nim ostrzyżona na jeża szatynka. Wzdrygnął się. Nie słyszał jej kroków, gdyż z ukrytych głośników sączyła się wschodnia relaksacyjna muzyka. Recepcjonistka była ubrana jak chłopak, w dżinsowe ogrodniczki i pomarańczową koszulkę, i trzymała w dłoni komórkowy telefon.

– Dzień dobry, panie Piotrze – powiedziała, przyciszając głos, chociaż byli sami. – Jestem Magda. Mam telefon do pana. – Magnus wziął z jej rąk aparat.

– Rozumiem, że wyraża pan zgodę? – usłyszał zamiast przywitania gruby, męski głos. – Może pan się czuć zaskoczony, ale... w odróżnieniu od rzeźby Magellana jestem żywym człowiekiem. Jutro dostarczą panu umowę, no i materiały. Wygodniej będzie, gdy przejdziemy na mailową korespondencję. Pański adres internetowy już znam. Moją pocztę podyktuje panu Magda, recepcjonistka, która podała panu telefon. To wyjątkowo bystra dziewczyna. Proszę ją pytać o wszystko! Teraz śpieszę się na spotkanie. Gdzie pan w tej chwili jest? – zapytał. W tle było słycać wyraźnie szum przejeżdżających aut, klakson i głośne trzaśnięcie drzwiczek.

– W „Obłoku Magellana” – rzucił Magnus. – Właśnie jem śniadanie.

– Śniadanie z Ferdynandem – powiedział z jakąś ironiczną nutą. – Zazdroszczę panu, kiedyś to pan zrozumie. Nie zabieram panu czasu. Życzę smacznego i do usłyszenia!

Magnus oddał telefon recepcjonistce, a kiedy został sam, jego uwagę przykuł wielki olejny portret Magellana, wiszący na ścianie. Odniósł dziwne wrażenie, że brodaty odkrywca rejestruje każdy jego ruch w bibliotece, jakby przed chwilą przysłuchiwał się dziwnej rozmowie, którą toczył z zabieganym LMG. Podszedł do portretu. Nad czarnym, połyskującym kapeluszem kapitana widniała łacińska sentencja:

**FERDINAN MAGELLANUS SUPERATIS  
ANTARCTICI FRETI ANGUSTIIS CLARISS**

Gdy zastanawiał się, jak wygląda LMG, do pomieszczenia weszła zgrabna brunetka, ubrana w dopasowaną wiśniową garsonkę. Mogła mieć dwadzieścia pięć lat, nie więcej. Jej głowę przyozdabiała burza spadających na ramiona loków, które ostentacyjnie rozczesywała palcami. Dziewczyna miała regularne rysy, była bez makijażu. Powiedziała cicho „dzień dobry!”, a następnie wyjęła jedną ze stojących na półkach książek i rzuciwszy mu pytające spojrzenie, ulotniła się.

Magnus śledził ją wzrokiem, a potem skierował spojrzenie na rząd książek w bibliotece i stwierdził, że zniknął jeden z tomów, oprawiony w zieloną, płócienną okładkę. Dlaczego właśnie ten? Miał jeszcze więcej pytań. Wypił łyk kawy i zaciekawiony stanął na miejscu brunetki. Spostrzegł, że zabrała ze sobą pierwszy tom poezji Friedricha Hölderlina. Nie mógł uwierzyć: naprawdę interesował ją od rana niemiecki, dekadenski romantyk?

Wziął do ręki drugi tom, wydany w Berlinie w 1943 roku i odkrył ze zdumieniem, że jest jego pierwszym czytelnikiem. Kilka początkowych kartek było złączonych. Wytarł więc nóż o papierową serwetkę i włożył go w zamkniętą nazistowską epokę. Przeciągnął metalowym ostrzem po

krawędzi, uwalniając z hitlerowskiej niewoli dziesiątą i jedenastą stronę. Spróbował wgryźć się w archaiczny styl, w szaleństwo, w które popadł poeta, w jego nieszczęśliwą miłość do zamężnej Susette Gontard.

Myśl o dziewczynie w wiśniowej garsonce nie dawała mu spokoju. Jej zachowanie zdradzało, że już wcześniej była w bibliotece. A jeśli tak, to kiedy? Przecież hotel (jak mówiła recepcjonistka Kasia) otworzył swoje podwoje tego ranka i on miał być jego pierwszym, honorowym gościem! Na wszelki wypadek, gdyby miał ponownie spotkać się z nieznajomą, postanowił nadrobić zaległości. W ekspresowym tempie dopił kawę, zjadł parówki i wrócił do pokoju. Zaaferowany wyciągnął laptopa z pokrowca. Włączył go i wpisał w wyszukiwarce nazwisko szalonego poety. Wyświetliły się setki niemieckich, angielskich i diabli jeszcze wiedzą jakich stron. W poszukiwaniu śladu poety trafił przypadkowo na blog jakiejś rosyjskiej nastolatki, Klarysy, która przysięgała uroczyście, że jeśli Wołodia Koniuchow ją zostawi, to rzuci się pod pociąg.

Sam nie wiedział, dlaczego musiał znaleźć inne, bardziej wiarygodne wyjaśnienie zainteresowań nieznajomej, i gdy zastanawiał się nad tym, przypomniał sobie o granatowej, owalnej pieczęcie w książce. Na okładce drugiego tomu zapisany był adres antykwariatu „U Adama” przy Floriańskiej. Był to mizerny trop, ale jednak warto było go sprawdzić. Postanowił działać niezwłocznie. Odwiedzić sprzedawcę i poszperać u niego między półkami.

Ubrał się i wyszedł, odprowadzany dociekliwym spojrzeniem Magdy, dyżurującej w recepcji. Kiedy znalazł się na ulicy, był zdziwiony, że jego nowy hotel nie posiada specjalnych oznaczeń. Tylko niewielki żółty neon w kształcie rombu z zielonymi literami LMG informował, że coś tu się mieści. Zresztą i tak nie był zbyt widoczny, gdyż ginął pomiędzy dziesiątkami starych reklam i zwiniętych markiz sterczących ze ścian kamienic jak wieszaki. Pomyślał nawet, że hotel niczym podstępny rak

wtopił się w przedwojenną kamienicę, oddzielając sklep monopolowy od piekarni.

Magnus dowiedział się (później), że część mieszkań w domu, w którym mieścił się hotel, nie była jeszcze wykupiona. Zajmujący je lokatorzy mieli do swojego użytku drugą klatkę schodową. Ten przejściowy stan sprawił, że w hotelu powstała istna plątanina korytarzy i zakamarków.

Kochał Kraków. Było to miasto jego młodości i wszystko, co zdarzyło się najlepszego w jego życiu, wiązało się z tym wiekowym grodem. Doskonale pamiętał studia na prestiżowym uniwersytecie, atmosferę wolności, jaka wybuchła po tragicznej śmierci studenta filologii polskiej zabitego przez ubecję. Wspominał kluby, do których chadzał, i kabarety, których występy oglądał z wypiekami na twarzy. Był tylko jeden szkopuł: przyjaźń nie była jego mocną stroną. Miał wielu kolegów, ale nie prawdziwych przyjaciół. Już wtedy był samotnikiem. Nosił nawet na wydziale dumne przezwisko Wilk.

Magnus szedł lekkim krokiem, niesiony wspomnieniami, przypominając sobie swoje dawne „wilcze” ścieżki. W poszukiwaniu antykwariatu przeszedł Basztową, pokonał ulicę Św. Jana i znalazł się na Floriańskiej. Antykwariat „U Adama” (ten z zielonej pieczętki w tomiku poetyckim Hölderlina) mieścił się w podwórku, między sklepem z sukniami ślubnymi i kantorem wymiany walut. Magnus nie mógł sobie teraz przypomnieć, czy kiedykolwiek był w tym zaułku. Zastanawiając się nad tym, minął pijanego górala sprzedającego oscypki i zanurzył się w zacienionym przejściu.

Na jego drodze, na środku drewnianych schodów stały, całując się namiętnie, lesbijki. Magnus przeprosił zakochaną parę, po czym wspiął się prędko na pierwsze piętro. Zatrzymał się na końcu korytarza, przed grubą miodową szybą. Wywieszona tabliczka informowała, że antykwariat jest otwarty, więc schwycił za klamkę i wszedł do środka, podrywając do alarmu zawieszony nad drzwiami dzwonek.

Od progu uderzył go w nozdrza gęsty zapach pleśni i jeszcze czegoś, co nieodmiennie mu się kojarzyło ze śmiercią starych książek i czasopism. Błada żarówka ledwie oświetlała przestrzeń między wysokimi półkami i rzucała na wydeptaną podłogę drażniące półcienie, jakby wszedł z oliwnym kagankiem do rzymskich katakumb.

Przecisnął się między półkami w kierunku siedzącego za stołem antykwariusza. Miał on dużą i wąską głowę, na czubku której widniała kępka potarganych, siwych włosów. Jego wydęte usta obnażały w szczelinie warg szerokie i żółte zęby. Płaski nos, wielkie uszy i wystająca szczęka upodobniały go do konia. To skojarzenie przyszło natychmiast, tak więc od razu nazwał w myśli antykwariusza „koniem”. Koń miał na zapadniętych policzkach plamy w kolorze zaschniętego błota. Od chwili gdy Magnus przekroczył próg, koński łeb wodził za nim wzrokiem.

– Czy my się znamy? – rzucił głośno antykwariusz, przeczesując palcami siwe włosy.

– Nie sądzę! – odpowiedział Magnus. – Zatrzymałem się na kilka dni w hotelu. Zaszedłem tu z ciekawości. Chciałem tylko...

– A czy nie jest pan przypadkiem tym sławnym Piotrem Magnusem, o którym trąbią w gazetach? – zapytał Koń. – Zgadłem, chyba pan nie zaprzeczy?

Magnus uśmiechnął się i przytaknął.

– Ja nazywam się Piskorz, Adam Piskorz – powiedział mężczyzna i wyciągnął nad stołem kościstą rękę.

– Widziałem pana wczoraj w telewizji. Ogłosił pan w synagodze koniec swojej literackiej kariery. Boże, co za szczerłość! Trzeba nie mieć zahamowań – Koń spojrzał dziwnie na Magnusa – albo...

– Albo?

Antykwariusz na to pytanie nie odpowiedział. Odgiął się na krześle, wypinając wklęsniętą klatkę piersiową, co poskutkowało dychawicznym



kaszlem. Kiedy złapał oddech, przełknął ślinę i znów zaczął mówić, lecz o ton ciszej.

– Mój Boże! Sam Piotr Wielki z wizytą na śmietniku książek. Kto by pomyślał?

– O co panu chodzi? – rzucił nerwowo gość.

– O nic! Teraz każdy cwaniak robi z żydowskiej dzielnicy cyrk. Wkurwiają mnie artyści, którzy przyłączają się do tej bezczelnej hucpy! No, ale pana to, rzecz jasna, nie dotyczy!

Magnus szykował się do odpowiedzi, lecz antykwariusz ubiegł go.

– Pan tu kiedyś studiował, nieprawdaż? Widziałem pana kilka razy „Pod Jaszczurami”. Tak, ale już wtedy miał pan swoje wyższe racje – powiedział z cynicznym uśmiechem, odchrząkując w zaciśniętą pięść. – Raz chciał mnie pan nawet po pijaku pobić, bo nie spodobała się panu moja fizjonomia.

– Nie pamiętam. Jeśli tak było, to najmocniej przepraszam.

– Po co pan tu przyjechał? Płakać nad sobą? – Koń nie przestawał przypierać go do muru.

– Dostałem zaproszenie. – Magnus próbował się tłumaczyć. – Zaproponowano mi honorarium i nocleg. Czy to przestępstwo?

– Możliwe, całkiem możliwe – cedził antykwariusz. – Ale co to zmienia? Kiedy pan wciskał naiwniaczkom literacki kit, ja bez fanfar i rozgłosu dokonałem prawdziwego cudu ocalenia. Wczoraj wylicytowałem na aukcji za ostatni grosz ten oto pergamin. Jest prawdopodobne, że pochodzi z zamku nad jeziorem Maurin! Niech pan łaskawie spojrzy! – Rozwinął go na stole. – To prawdziwa cielęca skóra! Pozwalam panu jej dotknąć, tylko ostrożnie.

Magnus podszedł do stołu, by przyjrzeć się pożółkłej mapie z łacińskim tekstem, ozdobionym amarantową arabeską. Antykwariusz dostrzegł zaciekawienie gościa i natychmiast odwdzieczył mu się chytrym uśmiechem.

– Co my tu mamy? Średniowieczne miasto założone na planie kwadratu, słowa-klucze i tajemnicze pieczęcie. Bohater to najprawdziwszy Murzyn, *sic!* Zdradzony przez przyjaciela gnije w ciemnym lochu, a nad jego głową czai się mors, okrutna śmierć. Brrrr! Aż strach się bać! – zażartował. – Jest i śliczna dziewczica o rudych włosach. Mieszka niedaleko zamku. Stara się uwolnić więźnia i przekupić strażę, lecz nie wie, biedna, że tajemniczy mężczyzna śledzi każdy jej krok. To dopiero jest powieść, można by ją czytać bez końca. Hm, pewnie jest pan ciekaw, co ja, skromny antykwariusz, sądzę o pana dorobku literackim.

– Proszę mówić szczerze!

Złośliwy uśmiech nie opuszczał końskiej twarzy.

– I nie będzie się pan gniewał?

– Nie!

– W swoich książkach leczy pan swoje kompleksy.

– Bzdura! – Magnus zastopował go natychmiast. – Nie mam żadnych kompleksów!

– A ja mam, co? – Sprzedawca spojrział na niego ze złością. – Za byle prawdę tacy jak pan „artyści” dadzą się, kurwa, posiekać!

Antykwariusz mówił półsłówkami, jakby doskonale znał twórczość swego gościa. Jeszcze przez chwilę pastwił się nad nim, lecz niespodziewanie, słysząc pytanie o utwory Hölderlina, opanował się.

– Gdzie jest ten tom? Mówi pan, że w pańskim hotelu? Trzeba było od razu tak gadać, a nie kluczyć od dupy strony! Jasne, teraz go sobie przypominam. Pół roku temu miałem oba tomy, wydane...

– ...w 1943 roku, w Berlinie?

Mężczyzna spojrział z niechęcią.

– Hölderlin, nieszczęsny Hölder... – zaczął grzmieć, lecz jego słowa znowu zamieniły się w kaszel. Koń wytarł łzy z kącików oczu. – Temu facetowi od początku pisany był smutny koniec. Ubrdał sobie, że tacy jak on „geniusze” przychodzą na świat tylko na początku lub na końcu

historycznej epoki. Jest pan prozaikiem, czyż nie tak? Dlaczego zawraca pan sobie głowę jakąś szurniętą poezją?

Magnus nie miał zamiaru zdradzać mu powodu swojej wizyty, więc skłamał, że wciąż interesują go językowe studia i eksperymentalnie przenosi poetycką frazę do prozy. Antykwariusz nie słuchał jego usprawiedliwień i snuł opowieść o zagadkowym tomach.

– W zeszłym roku późną jesienią zjawił się u mnie pewien typek. Nie uwierzy pan: w ciągu dwóch minut sprzedałem mu tyle książek, ile przez ostatnie pięć lat. Specjalnie wywindowałem mu cenę, ale on postawił na swoim i nawet się nie targował! Jeśli jeszcze raz ten cwaniak będzie chciał coś ode mnie wytargować, pokażę mu takiego wała! – Piskorz zgiął rękę w łokciu, a potem zaczął się śmiać, lecz jego śmiech szybko przeszedł w świszczący kaszel. – No, tak – dodał rozgoryczony – i pan, jak się domyślam, mieszka teraz w hotelu u tego bezczelnego typka?!

Magnus przytaknął, lecz Koń nie zwracał na niego uwagi. Pochylony nad mapą, coraz bardziej zagłębiał się w płataninę gór, jezior, rzek i kabalistycznych znaków. Kiedy jego gość zabierał się do wyjścia, Piskorz ociężale wysunął się zza biurka, podciągając obwisłe spodnie.

– Hej, panie obrażalski! – krzyknął, wysuwając końską szczękę. – Coś mam dla pana!

A potem jak zakodowana maszyna bezbłędnie sięgnął pod stertę zakurzonych czasopism i wyjął spod niej postrzępioną broszurę, angielskie wydanie *Hyperiona* Hölderlina. Z broszurą, która kosztowała dziesięć złotych, w kieszeni Magnus wszedł na Rynek Główny. Przebił się przez szkolne wycieczki, minął postój dorożek i cygańską orkiestrę, zostawił z tyłu Sukiennice i z Grodzkiej skręcił w Kanoniczą w poszukiwaniu baru lub restauracji. Przy końcu uliczki znalazł rosyjską knajpkę mieszczącą się w podziemi. Był w niej, o ile go pamięć nie myliła, przed ćwierćwieczem. Wszedł do środka i zamówił herbatę z rumem i bliny, a potem wyjął

podniszczoną książeczkę, położył ją na stole i podekscytowany zaczął tłumaczyć tekst przy blasku świecy.

Z każdym słowem wlewało się w niego uczucie beznadziei, jakby sam znalazł się na miejscu niemieckiego poety. W połowie ostatniej zwrotki zamyślił się. Przypomniawszy sobie przygodę, którą przeżył przed trzema laty, po tym, jak ukazała się jego powieść *Ostatni szept*. Był zaskoczony, bo książka pozostawiona sama sobie przez wydawnictwo odniosła niebываły czytelniczy sukces. Niemal każdego dnia udzielał wywiadów, pojawiał się w radiu i w telewizji i rozprawiał o swoim bohaterze – szaleńcu, który podkuwał w lesie samotne kobiety. I wreszcie stało się. Powieść „upomniała się” o niego. Zaczęło się niewinnie. Po skończonym wywiadzie w księgarni na Nowym Świecie, gdy filmowcy zwijali kamery, pod jego nogi przyplątał się pręgowany rudy kotek. Musiał spać ukryty między półkami, bo wcześniej go nie widział. Magnus chciał go pogłaskać, lecz kociak niespodziewanie syknął i zadrapał go pazurkiem w kostkę. Nie zaprzętałyby sobie głowy tym incydentem, gdyby nie to, że godzinę po nagraniu poczuł pulsowanie w skroniach, jakby wychylił setkę.

Dochodziła dwudziesta, gdy w drodze do studia telewizyjnego na Woronicza omal nie zemdlał. Czuł dokładnie to, co ofiara z jego powieści: ktoś przybijał gwoździem do jego stopy żelazną podkówkę. Nie pamiętał nagrania. Nie widział kamer, a głos redaktora prowadzącego docierał do niego jak z głębi studni.

Ocknął się ze wspomnień. Zniechęcony zmiął serwetkę i położył ją w popielniczkę. Akurat wtedy przyszedł jego kelner i zapytał grzecznie, czy może przypomnieć mu swoje zamówienie. Magnus, hamując wściekłość, zamówił jeszcze raz to samo, lecz po kwadransie dostał dwa kieliszki Smirnoffa i śledzia w śmietanie. Szybko wypił wódkę, zjadł śledzia i przywołał chłopaka. Ku swemu zdziwieniu otrzymał rachunek za barszcz i ruskie pierogi!

Ale nie był to jeszcze koniec niespodzianek, bo w drodze do hotelu, niedaleko przejścia dla pieszych przy Basztowej, wyrósł nagle przed nim jakiś postawny mężczyzna. Zrobił mu zdjęcie aparatem, a potem wsiadł do grafitowego passata i z piskiem opon odjechał. Magnus patrzył zdębiały na oddalające się auto, póki nie znikło za skrzyżowaniem. Potem wyjął z kieszeni telefon komórkowy i wystukał numer syna. Czekał na połączenie. W słuchawce grała wkurzająca melodyjka: *Relaxed Levitate*. Sekundy dłużyły się. W końcu odezwał się głos syna i wtedy Magnus poirytowany poinformował go, że na razie nie wraca.

– Nie musisz się usprawiedliwić – powiedział spokojnie Paweł. – Przecież to twoje miasto, kiedyś w nim studiowałeś. Wcale ci się nie dziwię, że nie ciągnie cię do nas na prowincję.

Syn Piotra Magnusa, Paweł, studiował na drugim roku informatyki. Od dziecka siedział przy komputerze, a jego prawdziwym domem był internet. Ojciec był z niego dumny. Paweł – komputerowy geniusz – doskonale zarabiał, pisząc programy dla firm i znajomych. Syn obruszył się, gdy Piotr zapytał go, czy da sobie radę.

– Nie rób ze mnie dzieciaka. Nie pierwszy raz zostaję sam w domu. Od kiedy pamiętam, zawsze wyjeżdżałeś, a wracałeś dopiero wtedy, kiedy skończyły ci się...

– Wzięło cię na głupie wspominki?

– Za chwilę powiesz mi, że mam zły dzień? – W słuchawce słychać było charakterystyczne nerwowe kasznięcie.

– Nie miałem zamiaru cię obrażać. Chciałem ci tylko powiedzieć, że dostałem wyjątkową ofertę.

– Dlatego dzwonisz?

– O co ci chodzi?

– Coś jest nie tak, poznaję to po twoim głosie.

– Przed chwilą jakiś facet wysiadł z samochodu, pstryknął mi na ulicy zdjęcie i...

– Z piskiem opon odjechał? Zgadłem?

– Nie kpij!

– Naoglądałeś się sensacyjnych filmów. – Magnus usłyszał oddech syna i szybkie klikanie palcami po klawiaturze. – Przepraszam cię, Sylwia dzwoni do drzwi. Pójdę jej otworzyć. Gdyby coś szło nie tak, kręć śmiało! – zakończył. – OK?

– OK!

Kwadrans po siedemnastej rozległo się głośne pukanie. Piotr Magnus naciągnął polar i poszedł otworzyć drzwi. Na korytarzu stał posłaniec z paczką, a zza niego wychylała się recepcjonistka. Chłopak przywitał się i służbowo zapytał o personalia. Kiedy Magnus pokazał dowód, posłaniec postawił przesyłkę i natychmiast się zmył.

Przyniesione pudełko nie miało żadnych oznaczeń. Górne ścianki sklejała szeroka, przezroczysta taśma, którą rozerwał długopisem. Podekscytowany rozchylił brzegi paczki, chcąc szybko poznać jej zawartość. Chciał tego „czegoś” wreszcie dotknąć. Segregować, łączyć, dzielić i tak spreparowany materiał wziąć na swój literacki warsztat.

Wypakował na stół poplamiony niebieski zeszyt i porysowaną filatelistyczną lupę. Wyjął gruby fotograficzny album oraz srebrną płytę CD z napisem *Fire*. Rzucił na wierzch dwa zielone bilety do Palazzo Ducale w Wenecji i czarny modlitewnik – *Wianek Maryjny* – z dedykacją: „Kochanej Maryjce – Chrzestny Kostia”. Zaś na samym dnie pudełka znalazł niebieską kopertę z instrukcją: **NIE OTWIERAĆ PRZED ZAKOŃCZENIEM BIOGRAFII.**

Mania wielkości, przyszło mu natychmiast do głowy. Nic, tylko megalomania. Najlepszym tego dowodem były wielkie litery, jakie kończyły przysłany przez tajemniczego Guardian list. LMG chciał puszyć się dzięki tej biografii i wstawić swoją osobę za życia w pozłoczone ramki. Magnus wyobraził sobie armię szaleńców, która miała jeden życiowy cel –

zostawić po sobie ślad dla wieczności. Idiotyczna mrzonka: za wszelką cenę uczepić się historii i nie dać się wciągnąć w jej przepastny wir.

Obejrzał zaklejoną kopertę i włożył ją do teatralnego przewodnika, który leżał na półce. To wszystko zakrawało na kpinę. LMG chciał, by stworzył jego pomnik literacki z przysłanych śmieci.

Guardian miał rację. Urzekała go mania szczegółów i podniecał obcy świat, który bez taryfy ulgowej mógł teraz ciąć i siekać. Srebrna płyta CD *Fire* nadawała się na pierwszy ogień. Zaciekawiony wysunął szufladkę laptopa i położył na niej opalizujący krążek. Po chwili otworzył się na ekranie folder z imponującą liczbą plików tekstowych i zdjęć. Kliknął na ostatnie z nich, by zobaczyć niebieski tramwaj. Przednia część pojazdu nr 19 przejechała już za skrzyżowanie. W środku siedziało kilku pasażerów. Jakiś emeryt w kapeluszu czytał gazetę, a obok niego dwie dziewczyny rozmawiały o czymś zawzięcie, z głowami opartymi o szybę. Był ranek, bo okrągły zegar na wieży wystającej z ceglanego budynku wskazywał dwadzieścia po ósmej.

Magnus przesunął kursor na suwak i powiększył obraz. Na samym dole trzypiętrowej kamienicy, przy księgarskiej witrynie, obok śmietniczki leżał podpalany wilczur i obgryzał kość. Kursor powędrował w dół. Widać było tył żółtej taksówki, stojącej na chodniku. Magnus użył lupy, powiększając zdjęcie. Nad zderzakiem odcinała się czarna plama pokracznego łośia. Spojrzał obok i natychmiast znalazł wyjaśnienie: tylne drzwi samochodu dekorowała reklama hotelu LMG z sześciocyfrowym numerem telefonu. Mógł za chwilę zamówić tę samą taksówkę, a potem za pieniądze sponsora wozić się po mieście, dopisując mu wymyśloną historię.

W piątek rano prószył delikatny śnieżny puch, po południu zaś rozszalała się za oknem syberyjska zadymka i Piotr Magnus nie miał chęci wystawiać nosa z hotelu. Dziękował Bogu za to, że nie musiał już więcej udawać się w daleką podróż, do jakiejś wskazanej mu przez wydawcę pipidówki.

Nie był już niczym niewolnikiem. Właśnie po to ogłosił kilka dni temu koniec swojej literackiej kariery. Z premedytacją sprzedał w synagodze spreparowaną na tę okazję bajeczkę. Opowiedział o sędziwym prozaiku, Henryku P., który zaprosił go kiedyś do swojej willi. Opisał, jak starzec podejrzliwie mu się przyglądał. Mówił górnolotnie, że tak jak Henryk P. wciąż ma wątpliwości, czy dobrze zrobił, chwytając za pióro. „Być może byłoby lepiej – zacytował starego – gdybym wykopał wybujałe w ogródku chwasty”.

I jeszcze inna bajeczka, rzucona jak koło ratunkowe zebranej w synagodze widowni. Mądrość z przedwojennego zeszytu, który oglądał kiedyś u przyjaciela, Adama K. w Worytach. Koślawe litery pisane dziecięcą rączką zasługiwały na szacunek, a cóż dopiero genialna w swej prostocie treść! Przewracał kartki (w starym chlewie przerobionym na regionalne muzeum), by dowiedzieć się, jak dbać o buty, jak czyścić je z błota i polerować pastą. „Czyż to nie wspaniała lekcja pokory? – rzucił z patosem, spoglądając w oko kamery. – Prawda wiejskiego kmiotka, która czekała na odkrycie, zamknięta w starym, szkolnym kajecie”.

Po osiemnastej włożył płaszcz, wcisnął kapelusz na głowę, postawił kołnierz i z rękami w kieszeniach przebił się przez zamieć na drugą stronę ulicy, uwalniając się z jednopokojowego więzienia.

Wpadł do sklepu i pośród regałów wypatrzył paczkę pomarańczowych Delicji i puszkę orzeszków pistacjowych. Zapłacił za nie kartą i trzy minuty później, obsypany śniegiem jak bałwan śniegowy, był już z powrotem.

Kiedy otrzepywał się z białego szaleństwa, w recepcji meldowała się akurat trójka egzotycznych gości. On – wysoki, barczysty Murzyn, w złotych okularach, ubrany w beżowy wełniany płaszcz, ona – słowiańskiej urody blondynka, w skórzanej kurtce i spódnicy, i w białych kozaczkach do kolan. Oboje rozmawiali po francusku. Obok nich stał rozpromieniony Mulacik, który na długiej smyczy trzymał swego pupilka – zielonego legwana, wspinającego się jak kot po skórzanej kanapie.



Chłopczyk uśmiechnął się ufnie, dumny ze swego przyjaciela, i Magnus wymienił z nim porozumiewawcze spojrzenia.

Był ciekaw, jak nazywa się chłopiec i jego maskotka. Kobieta zaklaskała w dłonie i czystą polszczyzną zawołała do Jeana-Pierre'a, by zabrał Leona i udał się z Claude'em na górę. Cała trójka poszła w stronę windy i znikła mu z oczu. Recepcjonistka uśmiechnęła się do Magnusa.

– Śliczny! – powiedziała rozmarzona, lecz nie wiedział, kogo ma na myśli. Przystojnego ojca, jego synka czy też może zielonego legwana, który pobiegł na smyczy jak jamnik.

– Zaskakująco śliczny – odpowiedział, częstując Magdę delicjami.

– W życiu trzeba umieć się urządzać! – spojrzała ze złością na stojące na podłodze trzy walizy oraz terrarium. – Magnus zdjął z głowy mokry kapelusz, a potem płaszcz. – Pan to dopiero ma pomysły, gorzej niż dzieciak! Niech pan lepiej da. – Przełknęła ciastko i wyciągnęła rękę po zmoczone nakrycie. – Trzeba je, panie Piotrze, wysuszyć! – Po chwili wróciła z zaplecza. – Pomoże mi pan zatargać rzeczy na górę?

Zanim się zreflektował, jechał windą na trzecie piętro, mając u stóp walizy i terrarium. Uśmieł się, gdy pan Claude chciał potraktować go jak bagażowego. O mało co, a dostałby za przysługę napiwek. Kiedy wrócił do pokoju, wciąż miał przed oczyma siedzącego na stole legwana i wzburzoną blondynkę celującą w niego poduszką.

On też, jak matka Pierre'a, rzucił się na swój cel. Musiał napisać książkę przed wakacjami. Zadowolony otworzył solone pistacje i ułożył się w fotelu. Potem sięgnął do papierowej teczki po dwa zielone bilety do Palazzo Ducale w Wenecji. Powąchał je machinalnie i podniósł pod światło, szukając jakichś ukrytych śladów. Data na odwrocie – 31 marzo 1992 – nic mu nie mówiła. Był w Wenecji tylko raz, na początku lat osiemdziesiątych, gdy sławne miasto nawiedziła powódź. Pamiętał, że chodził po drewnianych kładkach, a w jego głowie pozostał na zawsze obraz czarnych gondoli pływających po placu św. Marka.

Jakie znaczenie może mieć ten bilet dla Guardiania? Założył, że LMG zwiedzał z kimś muzeum, lecz nie miał pojęcia z kim. Nie wiedział też, jak Guardian tam się dostał. Przyłączył tramwajem wodnym, *vaporetto*, czy wynajął czarną gondolę? Świeciło słońce czy w tym dniu padał nad Canal Grande deszcz?

Mnożąc pytania, niepostrzeżenie zjadł wszystkie orzeszki i delicje. Spragniony odłożył bilety i zszedł na chwilę do „Obłoku”, by napić się piwa. Ze szklaneczką w ręce siadł przy szklanej gablocie, na wprost rekwizytów. Myśl o bilecie nie opuszczała go. Wiedział, że jest z jakiegoś powodu ważny dla jego zleceniodawcy. Kiedy ugasił pragnienie, rzucił okiem na bibeloty i zaczął się głośno śmiać, gdyż niespodziewanie znalazł rozwiązanie. Stało za szybą obok wypchanego szczura z Tajlandii. Był nim srebrny, indiański posążek wielkości pięści. Z przerażającej twarzy wystawał zakręcony język, a fantazyjnie upięte włosy przypominały kosmiczny hełm. Widział tę maskarę przedwczoraj, lecz teraz jego uwagę przykuła połyskująca, stalowa tabliczka. *Palazzo Ducale 31 marzo 1992*. Nieprawdopodobny przypadek: ten sam dzień, miesiąc i rok, co na biletach!

Magnus nie miał wątpliwości. Wiedział już, w jaki sposób LMG „kolekcjonował” swoje gadzety. Zastanawiał się jeszcze, czy w ich zbieraniu pomagała mu druga osoba. Może odwracała uwagę ochrony, gdy on chował do kieszeni bezcenną zdobycz Magellana.

Następnego dnia, gdy kończył śniadanie, nieoczekiwanie w bibliotece zjawiała Nieznajoma Brunetka, prowokując go swoim „dzień dobry”. Miała na sobie tweedowe spodnie i cienki golf, podkreślający jej zgrabną figurę. Zmieniła też uczesanie. Długie włosy spływały teraz nie burzą loków, lecz w naturalnych falach, zasłaniając lewe oko. Magnus szukał odpowiednich słów, by do niej zagadać, kiedy odstawiała na półkę fotograficzny album przedwojennego Kazimierza. Nie dała mu jednak szans. Podeszła do półki z alabastrową główką Nefretete. Wyjęła *Dialektik der Natur* Karola Marksa i Fryderyka Engelsa i natychmiast wyszła, zostawiając go z setką

męczących pytań. Czyżby odgrywała przed nim spektakl? Może użyje tej grubej książki jako podpórki pod składane lustro?

Dopił grapefruitowy sok i spałaszował zmieszane z jogurtem müsli. Otaczały go setki książek z antykwariatu Konia, a nad jego głową widniał namalowany przez kogoś świat taki, jaki znano za czasów Ferdynanda Magellana. Karykatura Azji, parodia Czarnego Lądu i dwóch Ameryk wyglądały niczym rdzawy zacieki po zalaniu sufitu. Skonstatował z żalem, że jego świat, podglądany z kosmosu, nigdy już nie będzie tym samym tajemniczym światem, co dawniej. Zgwałcony przez elektroniczne fale, zamieniony w globalną wioskę, stracił na zawsze swój wielki sekret.

Wstał od stołu i ze śmiałością zdobywcy ruszył do recepcji. Przyłapał Magdę, jak stawiała sobie komputerowego pasjansa. Nachylił się nad ladą i robiąc dobrą minę do niepewnej gry, zapytał o nieznaną.

– Nie mogę przekazywać panu takich informacji. – Uśmiechnęła się do niego kokieteryjnie. – To surowo zabronione!

– Przez kogo?

– Na to pytanie też panu nie odpowiem – oznajmiła wykrętnie. – I bardzo proszę, niech pan mnie więcej o to nie pyta.

Kiedy wrócił do swego pokoju, z miejsca wziął się do roboty. Rozłożona na stole przesyłka prowokowała go. Najbardziej zaś niebieski zeszyt. Obrócił okładkę. Na marginesie pierwszej strony widniały kleksy z ciemnozielonego atramentu i ślady drapania stalówką. Urzekło go pochyłe pismo, jakby autor gnał ze swą historią na oślep. Zachwycał go gruby papier z miazgi drzewnej, jakiego dziś daremnie by szukać w sklepach.

Magnus siadł wygodnie w fotelu i przysunął lampkę. Początek przysłanej przez Guardiana opowieści brzmiał tak:

*W tym dniu, w którym dojrzała morwa i szczur żył jeszcze, zasłaniając łapkami ropiejące oczy, siedziałem na drzewie i zjadałem fioletowe owoce, tak pyszne, że mógłbym je jeść do końca świata. Maluchy kibicowały mi.*

Wrzeszczały ile sił, bym nachylił im gałąź, i groziły, że jeśli ich nie posłucham, to poskarżą się siostrze Sabinie i za karę będziemy wszyscy słuchać jej świętych opowieści, opowieści w opowieściach, aż do usranego końca.

Miałem ich w dupie, na samym dniu. Z góry widziałem świat i przezroczyte ptaki, o których mówił nam nauczyciel Jan, a bliżej, na wyciągnięcie ręki, łaciaty dach ochronki i drogę, która nikła za wzgórzem, zza którego przychodził Świrus, niosąc przytroczone do brudnych łachów laleczki. Dalej dostrzegłem wieżę kościoła, w mieście, które założył Murzyn, a gdybym zechciał wysilić wzrok, zobaczyłbym jeszcze coś, moją największą tajemnicę, której nikomu nie chciałem zdradzić. Mojego Anioła Stróża – puchacza z rybacówki.

Tylko ja wiedziałem, gdzie mieszka. Zamarli, stał dumnie w futrynie okna na strychu od strony wody, z przymkniętymi oczami czekając na noc. On i ja. Kiedy on wstawał, ja szedłem spać, a kiedy on drzemał, ja byłem jego Aniołem Stróżem, aż do dnia, gdy Drągal (co naprawdę miał na imię Izaak) upolował go z procy i dał na pożarcie kotu, a ja szukałem sposobu, by się zemścić, lecz Drągal domyślił się wszystkiego i miał ochotę torturować mnie młodą pokrzywą, lecz wtedy nadszedł Świr, mruczący swoją szwabską wyliczankę i byłem uratowany, bo chciał się za to odwdzięczyć, że wynalazłem mu kiedyś w śmieciach najładniejszą szmacianą lalę, co wyglądała jak odpicowana lalunia i można ją było kochać, bo Świr kochał wszystkie swoje lale, a nawet pajacyki i był o nie zazdrosny, a one znały jego tajemnice i wiedziały o nim tyle, co nikt na świecie, kiedy grzecznie wisiały na sznurkach przytroczone do jego garnituru, który cały się lepił i śmierdział potwornie, bo Świrus rzadko się mył, najwyżej w strumieniu, co przepływał pod drogą wprost do jeziora, za którym widać było założone przez Murzyna miasto ze spalonym pałacem i ludzi tak małych, jak żaby, które Drągal nakłuwał słomką.

*Dlatego spisuję moje wspomnienia i pisk szczura, któremu pijany chłop z Raju wypalił rozgrzaną szprychą oczy, i moją fioletową morwę, gdy wszystko jeszcze trwa, jak lekcja przyrody, na której nauczyciel Jan – co przyjeżdżał do nas na skrzypiącej ukrainie i wyglądał w kapeluszu jak triangulacyjna wieża – tłumaczył nam, że z morwowego drzewa wyrabia się koła do wozów i nawet brukową kostkę, albo pokazywał nam dziwne ptaki: wąsatki i gągoły, bataliony i sieweczki, bo lubił nas uczyć, i dostałem raz trójkę z plusem, i strasznie się cieszyłem, kiedy kazał mi czytać przy tablicy, że: „W ubiegły piątek było Wszystkich Świętych i kroczyła procesja na cmentarz. Przed procesją szła czarna chorągiew. Na cmentarzu ksiądz święcił kropidłem krzyż i groby, a potem ludzie zapalali świeczki. Potem ksiądz z organistą śpiewali żałobne pieśni o Bogu. Poprawka: Bogu, Bogu, Bogu, krzyż, krzyż, krzyż”.*

*To były słowa, których Długi Jan się bał, kiedy się zjawił towarzysz Igor Kotow, a my jak dawniej chcieliśmy opielać krzyż na rozstaju dróg, z których jedna wiodła do Raju, druga zaś do Piekła, zabitych dechami wiosek, nazwanych tak ponoć przez Murzyna, który namieszał strasznie, zostawiając nam do rozwiązania tysięcy zagadek, a wśród nich jedną o „przezroczystych ptakach”, lecących jak wiatr nisko nad ziemią.*

*Odłożył zeszyt i zamknął oczy. Przez chwilę wyobrażał sobie to, co przeczytał. Potem podniósł powieki i przerzucił kilka kartek, by na nowo wgryźć się w opowieść Gaurdiana.*

*Więc tak jak Świrus, któremu przysiągłem, że kiedyś go odnajdę, zapragnąłem rzucić ochronkę i razem z Maryjką uwolnić się z matni, jak sławny żeglarz Magellan i jego niewolnik Enrique, o których opowiadał nam nauczyciel, i zrobić pierwszy krok, a potem drugi i trzeci i dostać się przez zamarznięte jezioro do M., w którym mieszkali rodzice Maryjki z jej bliźniaczką Darią, by razem spędzić święta, modląc się całutki czas, by „Bóg osłodził im wszelkie trudy i sprawił, by weszli do Jego chwały*

w niebie. Amen”, i wierzyłem, że Maryjka pokaże mi ze mną i padnie w Wigilię na kolana i odepnie stalową uprzęż Heinego-Medina i będzie błagać rodziców, by pozwolili jej pozostać w domu razem z siostrą.

Dlatego przez całą jesień przygotowaliśmy się. Świrus dał nam w tajemnicy wysuszony chleb, wędzony boczek i ciepłe rękawice, największe, jakie widziałem, bo takich wielkich rąk jak on nie ma na świecie chyba nikt, i podarował nam jeszcze woskową świecę, zapalki i ćwiartkę wódki, bo się bał, że zamarzniemy, i tak przygotowani wyruszyliśmy z plecakiem w drogę z Wiankiem Maryjnym na dnie i z medalikami na szyjach, pozostawiając z boku Raj i Piekło, za sobą Czyściec – ochronkę, idąc ciągle przed siebie i ciągle idąc, aż do zamrożonego jeziora, za którym widać było wieże M. pokryte śniegiem, jak babki słodkim lukrem, i rude trzciny, które giął teraz wiatr, i szedłem z Maryjką jak dorosły, trzymając ją za rękę, udając, że nie słyszę przeraźliwego chrobotu stalowej maszynierii, poskrzypywania pasów, które pokazała mi na chwilę, gdy chciała zrobić siku, a ja pokazałem jej za to bliznę na udzie od skaleczenia szkłem, więc gdy szliśmy razem z Maryjką i ona zupełnie niespodziewanie powiedziała mi, że ma straszną ochotę na waniliowe lody, stało się najgorsze, bo Maryjka puściła mnie i nagle zapadła się z trzaskiem pod cienki lód, na samym środku jeziora, gdzie płynęła rzeka.

Płakałem. Darłem się wniebogłosy. I nic nie mogłem zrobić, tylko patrzeć, jak stuka w lodową taflę, jak opukuje ją z dołu i wyciąga do mnie rękę, bym pomógł jej, bym schwycił jej małą dłoń w wielkiej rękawiczce Świra, która się zsunęła i nagie palce przylgnęły do lodu, a potem zaczęła wolno opadać całym ciałem, coraz niżej i niżej na straszne, ciemne dno...

W tym miejscu zapis w zeszycie się urwał, jakby ktoś wszedł do kuchni zaparzyć herbatę albo zadzwonił ważny telefon i trzeba było wybiec z domu i więcej nie wrócić.

Magnus siedział nieporuszony, nie mogąc zebrać myśli. Pierwszy raz w życiu miał w ręku tak frapujący dokument. Zaaferowany ponownie otworzył go i zaczął wolno czytać, poddając się dziwnemu rytmowi, a potem w tej zaskakującej muzyce słów i zdań zapragnął odnaleźć ochronkę, jej prawdziwy ślad i udał się w elektroniczną podróż, szukając na całym świecie tej jedynej ze Świrem i Maryjką, Drągalem i nauczycielem przyrody Janem, by na łeb na szyję zjechać z internetowej autostrady do miasteczka nad rzeką Obrą, które nazywa się Zbąszyń, gdzie po drugiej wojnie światowej zwożono z Syberii osierocone dzieci, lecz nic do siebie nie pasowało: ani fosa, ani rynek, ani pokryta kocimi łbami ulica, przebiegająca pod oknami ochronki.

Przeraził go ten dokument, jakby odkurzając czas, nieopatrznie pozwolił, by zatęchłe powietrze zakłóciło cmentarną ciszę po śmierci Maryjki. Teraz bawił się w Pana Boga, odwracając w świetle lampki kartki starego zeszytu. Oglądał jak detektyw pochyłe pismo, które zdobiło zeszyt niby demoniczna koronka po pożarze.

*Ochronka Anioła Stróża* – ten napis na dołączonej bibule wydał mu się tak cudowny, że oniemiał. Marzył. Śnił na jawie, żałując, że sam nigdy nie wpadł na taki tytuł. Magnus dostrzegł więcej smaczków. Chociażby szkic budynku z prowadzącą doń od południa drogą. Ktoś wykonał go poślinionym kopiającym ołówkiem. Zaostrzona strzałka, jak ostry grot włóczni, pokazywała *Nord*. Od wschodniej strony przez uskrzydłony Raj przezierało uśmiechnięte słońce, zahaczając o nieporadnie narysowany szpaler morw i starą rybaczkę nad jeziorem. Na zachodzie rozciągało się bagno, za nim zaś wpisane w kamienny krąg Piekło, z fantazyjnym diabełkiem, wystawiającym z ognia rogi i zakrzywioną łopatę do kopania torfu.

Szkic Leo raptem ożył i Magnus w swej wyobraźni stał się mieszkańcem ochronki i z każdą przeczytaną stroną zeszytu udawał się coraz dalej w upiorną podróż. Leo opisywał drobiazgowo ważne dla niego

fakty, chociażby to, że w każdą ostatnią środę miesiąca do ochronki przyjeżdżał łysy fryzjer o nazwisku Us i imieniu Wolfgang. Us zsiadał z wojskowego iza z przyczepą (w której woził czarnego wilczura, Cerbera) i wyjmował ze skórzanej torby ręczne narzędzia tortur: stuletnią brzytwę, „którą golił nieboszczyków, ha, ha”, staromodną maszynkę do strzyżenia firmy Rex, kościany grzebień, którym pobożny Żyd rozczesywał zawieszoną brodę i mosiężny rozpylacz do wody o nazwie Bambi, „Bo elegancja, to Francja, a głupiemu radość” – mówił fryzjer Us i kładł na poręczach fotela sosnową deskę, na której siadaliśmy, i ostro się brał do roboty, strącając na wypastowaną podłogę czarne kłaki Drągala-Izaaka, nastroszone wąsy nauczyciela Jana i moje włosy, które nazywał sraczkowatym ścierniskiem.

Potem strzygł siostrę Sabinę, tak że jej głowa wyglądała, jak kupiona w Piekło kapusta, następnie narzeczoną nauczyciela Jana, Łucję i w kolejności: babcię Dziwiatowską, Maryjkę, a na samym końcu obcinał prześliczną grzywkę zawstydzonej, ślepej jak kret Helgi, która, gdy szeptał jej coś do ucha, odpowiadała „ja-ja” i natychmiast krzyczała wystraszona na cały głos – „nein, nein, nein!”

W korytarzyku pod ścianą stały splakane maluchy, które golił „na zero”, bo takie miał instrukcje...

Nikt nie widział jego instrukcji, Magnus także ich nie znalazł, prócz kolejnej opowieści o głodzie, który stale dokuczał mieszkańcom ochronki i stał się nawet tematem wymyślnego dowcipu Drągala, który opowiedział w środku nocy historię o Czarnym Aniele Strózu, co czuwał nad dwójką zesłańców, którzy zbiegli z rosyjskiego gułagu i mieli niezawodny plan, bo wzięli ze sobą ostre noże, zapalki, suszony chleb i zabrali ze sobą młodego, gadatliwego chłopaka, takiego samego, jak Jerzyk, a zabrali go po to, by go zjeść po drodze w syberyjskiej tajdze!

– O, Chryste! – darł się Jerzyk. – To chyba jakiś diabeł, nie anioł, ja nie chcę znać takiego diabelskiego anioła.



– Spokojnie, śmierzący tchórze, to był taki anioł z czarnymi skrzydłami. – I Drągal bił się w pierś, że prawdziwy Anioł Stróż wcale nie musi mieć białych skrzydełek, tak jak młody łabędź. Nie widzieliście młodego łabędziaka, gówniarze? A mała kaczka to co, pies, parszywe szczeniaki? I po tej opowieści Drągal kazał nam wszystkim klęknąć i zabożyć się, że nikt nie piśnie słówka o jego największej tajemnicy.

Potem powiedział, że na wiosnę poprowadzi nas do prawdziwego Raju przez Piekło, przez starą żwirownię, gdzie odkrył podkop, tylko nikt, ale to nikt nie ma prawa puścić pary z ust, i tam czeka nas wszystkich zbawienie, a kiedy dalej przewracaliśmy się w łózkach, nie mogąc zasnąć z głodu, Drągal zaczął się nad nami pastwić:

– Śpijcie, gówniarze, a jak nie, to zaraz przyjdą z miasteczka barakowcy! Oni łapią małych chłopaczków i kowalskimi szczypcami wrywają im...

– Ję-ję-ję-zyki? – jękał się Jerzyk.

– Serca? – zapytał tchórzliwie Adaś.

– Jajka? – rzuciłem w stronę Drągala.

– Dobranoc, pchły na noc, karaluchy do poduchy, wszarze, jak was dorwą, to sami zobaczycie...

Przez całą noc pytałem siebie, gdzie jest ów anioł z nazwy ochronki i jak wygląda. Czy jest moim puchaczem zastrzelonym z procy? Czy ma miękkie usta, jak narzeczona nauczyciela Jana, czy też pomarszczone, suche wargi starej siostry Sabiny?

Przekomarzaliśmy się jeszcze przez wiele dni i wreszcie zapomnieliśmy o naszym obrońcy, aż kiedyś na lekcji religii, gdy siostra katechetka poprosiła, by każdy z nas narysował swojego Anioła Stróża, wszyscy (z wyjątkiem chytrego Drągala) namalowaliśmy zwiewną postać z czarnymi skrzydłami, która wprawiła siostrę w osłupienie. Wystraszona porwała nasze rysunki i spaliła w węglowej kuchni, a potem zapowiedziała śledztwo z udziałem samego proboszcza z M., które nigdy się nie zaczęło, bo siostrę

*Sabinę za jej wielkie serce wysłano w nagrodę w sam środek rozpalonej słońcem Afryki.*

*Ta wiadomość spadła na nas jak ciężki obuch siekiery nauczyciela Jana, gdy przez ścierkę głuszył wigilijnego karpia, odkrajał mu nożem łeb i wypychał kciukami oczy, żeby nie zepsuły smaku zupy rybnej.*

*A kiedy siostra Sabina żegnała się z nami, lejąc krokodyle łzy, usłyszałem za sobą szept Drągala:*

*– I co, Szczurek? Żal ci tej starej jędzy? Krzyżyk jej na drogę! Ciepły wiaterek będzie jej tam zadzierał pocerowany habit – i kiedy to mówił, ja zrozumiałem wreszcie, że on musi się z każdego natrzęsać, musi udawać chojraka i chować się za kolejnym kłamstwem, bo całą jego rodzinę zagazowali w obozie hitlerowcy i doskonale wiedział, że do ostatnich dni pobytu w ochronie nikt go nie odwiedzi.*

Magnus przez godzinę leżał wyciągnięty w fotelu i z przymkniętymi oczami wyobrażał sobie wymyśloną przez Drągala drogę do Raju i Czarnego Anioła. Potem wstał i, chodząc nerwowo po pokoju, kontynuował lekturę. Dwa zapisy wydały mu się na tyle ciekawe, że postanowił żywcem włączyć je do biografii Guardian. Pierwszy mówił o rozjechanej na torach krowie, którą Leo pobiegł oglądać z kolegami, aż za Piekło.

Mały kronikarz starał się być precyzyjny. Opisał, że: *lokomotywa rozciągnęła krowie flaki na odległość czterech telegraficznych słupów i jakaś zapłakana kobieta z Piekła próbowała je nawijać na łokieć, jak linę okrętową.*

I drugi zapis, o fascynacji techniką, gdy mały Leo pierwszy raz w życiu zobaczył prawdziwego dentystę. Kilka godzin czekał w ochronie na swoją kolejkę, aż wreszcie ujrzał to cudo – przedwojenną, niemiecką maszynę do borowania zębów. Tak go zaciekawiła, że zapomniał o bólu. Z nabożnym skupieniem oglądał wykoślawiony but dentysty, ruszający się miarowo na stalowym pedale, z dołu do góry i z góry w dół.

Skórzany rzemień rozpięty na obracających się kółkach napędzał ostre wiertło, które z wizgiem wgrzyzało się w ułamany ząb. Najzabawniejsze było jednak to, co się stało po zabiegu. Leo wyblagał dentystę, pana Alfonsa Kruczkowskiego, (któremu wyrastały z uszu kęпки włosów), by pozwolił mu przez chwilę popedałować. *Tylko ja miałem szczęście – pisał rozanielony – bo szczęście odważnym sprzyja.*

O tej odwadze kilka stron dalej pisał tak:

*Pewnego dnia pani Łucja (od zeszłej soboty żona nauczyciela Jana) powiedziała nam, że nie może nas dłużej uczyć, bo jest w ciąży, i że najpewniej to będą bliźniaki, bo łobuzerska para strasznie kopie ją w brzuchu, i że niedługo zastąpi ją nowy nauczyciel, którego wydelegują z miasta, i żeby o nic się nie martwić, bo nasza wiedza na pewno na tym nie ucierpi.*

*A więc pewnego dnia, gdy brzuch pani Łucji był już tak wielki, jak wojskowy bęben, pojawił się w naszej ochronie nowy belfer ubrany w wojskowy mundur (bez dystynkcji) i zaprowadził nas w upalnym słońcu na nasze boisko do palanta, skąd było widać kominy Piekła.*

*Kiedy uformowaliśmy już dwuszereg, Igor Aleksiejewicz Kotow (bo takie nosił popaprane nazwisko) kazał nam stanąć na baczność. Wystąpił przed nami i wyciągnął z brązowej skórzanej teczki choinkową świeczkę. Potem wyjął równo pocięte paski szkła i kazał nam okopcić je nad płomieniem, a kiedy każdy miał już swoje pocernione szkiełko, zapowiedział niezwykle zdarzenie, które zgodnie z marksistowską nauką nosi nazwę tak zwanego słonecznego zaćmienia.*

*Przez bitą godzinę w upalnym słońcu czekaliśmy z okopconymi szkiełkami na marksistowsko-leninowskie zaćmienie i kiedy wszyscy wychwalali Igora Kotowa za jego wiedzę, nagle zza jeziora nadciągnęła mała chmurka. Zbliżała się do nas, z każdą minutą rosnąc i pokazując swoją wredną siłę. Dokładnie wtedy, gdy czarny rożek zaczął pożerać słońce, nasze widowisko zakończyło się. Gapiliśmy się na chmurę*

*z nadzieją, że zaraz zniknie, lecz wiatr jakby na złość nawiewał nowe szare i bure obłoki. Kotowowi latała gula, my z żalu się wściekaliśmy. Jeden tylko Drągal-Izaak wyłamał się, jak zwykle. Powiedział na cały głos, że to wszystko jest chuj złamany, bo widział już w swoim życiu nie takie rzeczy.*

*Kotow, do którego zwracaliśmy się, tak jak kazał, „towarzyszu”, nie darował mu takiego „draństwa”. Z małpią zręcznością złapał Izaaka za ucho i kulejąc, pociągnął za sraczyk skryty w łopianach, krzycząc, że nie pozwoli, by jakaś burżuazyjna bladź z ochronki podważała jego frontowy autorytet.*

*Obaj się nie pokazywali przez dwa kwadransy. Nie wiedzieliśmy, o czym tak długo gadają. Dopiero wieczorem Drągal pochwalił się nam, że towarzysz zna się na ludziach, bo kiedy usłyszał, że jego rodziców zagazowali w komorze hitlerowcy, że jego babkę i dziadka obdarli ze skóry banderowcy, dał mu się dwa razy sztachnąć fajką i obiecał, że od marksistowsko-leninowskiego zaćmienia wszystkie chłopaki z ochronki, a nawet niektóre dziewczyny, będą miały u niego fory.*

Pod sam koniec zeszytu Piotr Magnus znalazł jeszcze jeden fragment o nowym nauczycielu. Zaaferowany wyciągnął się na łóżku i dwukrotnie go przeczytał. Ten ważny dla Guardiana zapisek brzmiał tak:

*Na kilkanaście dni przed ucieczką z ochronki musiałem poznać odpowiedź na pytanie, które męczyło mnie od kilku lat. Nie zapytałem o to nauczyciela Jana ani nie poszedłem do jego wstydlivej żony, Łucji (która miała na dniach rodzić), lecz wybrałem sobie na mistrza towarzysza Kotowa, jakbym z góry zakładał, że tylko on zna właściwą odpowiedź.*

*– Towarzyszu, Kotow... – zaczęłam, patrząc przymilnie w jego dziobatą mordę. – Czy towarzysz może mi odpowiedzieć na proste pytanie, po co chłopci z Raju wypalili szczurowi na żywca oczy, czy nie lepiej byłoby od razu go uśmiercić?*

*Nauczyciel historii pogłaskał mnie troskliwie po głowie i wyjaśnił, że okaleczenie szczura jest dla innych gryzoni ostrzeżeniem, że jego pisk obnaża fałszywą klasową solidarność i że uciekając przez pola, oszalały gryzoń pociągnie za sobą swoich tchórzliwych braci, i że po chwilowym terrorze świat wreszcie będzie wolny.*

*Oświadczył to z dobrodusznym uśmiechem, zaglądając mi głęboko w oczy (aż przeszły mnie ciarki), i kiedy tak stałem z niewyraźną miną, towarzysz nagle o mnie zapomniał. Wyjął z tylnej kieszeni spodni aluminiowy grzebień i precyzyjnie, ułamanym ząbkiem, zaczął wydłubywać zza paznokci czarną żałobę. Potem odwrócony tyłem zapalił papierosa, oddalił się na kilka kroków i powiedział do siebie trzy krótkie słowa: „srał go pies”.*

Magnus przerzucił następną kartkę i natychmiast wpakował się w kolejną zastawioną przez Guardianą pułapkę. Pokój, hotel i miasto przestały istnieć za sprawą małej, rudej gówniary:

*Jerzyk, który najdłużej z nas wierzył w bajeczkę o przeźroczystrych ptakach, pierwszy odkrył zniknięcie rudej Helgi, którą nazywaliśmy „Tak-i-Nie”. Stało się to wtedy – czytał Magnus, z ręką podłożoną pod głowę – gdy przed letnią burzą rozpętał się potworny wiatr i z ochronki wyjechał w pośpiechu znieprawiony przez nas fryzjer. Niektórzy, w tym także Maryjka, podejrzewali, że właśnie fryzjer związał Helgę, jak się wiąże wieprzka i ukrył ją w motocyklowej przyczepce w worku. Potem wywiózł ją, by przerobić na manekina i umieścić w witrynie swego zakładu, jak wystawia się eleganckie, utrefione główki, ale zanim prawda wyszła na jaw, ni stąd, ni zowąd gruchnęła wiadomość o jej „adopcji”. „Adopcja” – to groźne słowo nie dawało nam spokoju, a jego sens wyjaśniła nam siostra Sabina, zanim pojechała do Afryki przekabacać na naszą wiarę Czarnych.*

*– Jakie to jest cudowne uczucie – mówiła rozanielona, rysując na piersiach znak krzyża – kiedy znajdzie się ktoś, kto potrafi pokochać*

*szczerze bliźniego, bo Pan Jezus stworzył nas właśnie po to, byśmy cierpieli jak on, czując obezwładniającą słodycz bólu.*

*Zabrzmiało to tak zachęcająco, że zaraz po lekcji religii, za namową Drągala, podniosłem z ziemi brukowca i walnąłem się fest w kolano, by poczuć rozkosz, ale nie było żadnej rozkoszy, tylko fruujące w oczach gwiazdki. Dwa tygodnie ciągałem nogę przez kłamstwa siostry Sabiny, zadając sobie naiwne pytanie, dlaczego miłość boska zatroszczyła się o „Tak- -i-Nie”, a chromą Maryjkę ma w dupie, lecz wtedy jękający się Jerzyk natychmiast znalazł wyjaśnienie, że ta chytra Adopcja wcale nie szuka brzydkich, tylko wynajduje same śliczne dziewczynki i chłopaków, jakby grzebała w ulęgalkach, bo Helga, według Jerzyka, była najpiękniejsza, i to nieważne, że miała kreci wzrok i że byliśmy w jej głowie jak cienie, które przedrzeźniały ją, kochały się w niej i z niej szydziły, i nieważne, że znała tylko dwa słowa: „tak” i „nie”, a nawet to, że nikt nie wiedział, co stało się z jej rodziną i dlaczego, jak przetrącony pies, obchodzi wszystkich z daleka, bo niejednego z nas przechodziły ciarki na samą myśl, że mogła kucnąć przy nim w zwiewnej spódniczce, poprawiając rude włosy po wariackim wietrze, który wiał od jeziora chyba przez tydzień (i kiedyś nawet przerzucił z miasteczka ubłoconą czapkę milicjanta), tak samo, jak w dniu, gdy znikła Helga i deszcz pozacierał na drodze wszystkie ślady, i nic nie pozostało, tylko się śmiać z Jerzyka, który bez wzajemności podkochał się w ryżej smarkuli, podejrzewając, że za Adopcją stał obleśny fryzjer, co do końca świata będzie musiał za karę łatać przebijane przez nas w oponach dętki...*

Magnus skończył czytać i zaznaczył koniec lektury folią z opakowania po zjedzonej czekoladce. Odłożył zeszyt na stół i wyciągnął się na łóżku. Przymknął oczy. Był w świecie Leo. Wyobraźnia przeniosła go w dziwną przestrzeń, gdzieś między Piekło, Czyściec i Raj, gdzie towarzysz Kotow czyścił grzebieniem brudne paznokcie, a mała Helga zabawnie poprawiała rozwiewane przez wiatr rude włosy. Zaciskał ze złości zęby. Miał ogromną

ochotę, jak Jerzyk, wbić ostry gwóźdź w dętkę motocykla obléśnego fryzjera.

A może Guardian wywinął mi dowcip? – pomyślał Magnus, otwierając oczy. – Celowo kupił na pchlim targu stary zeszyt, stalówkę, kałamarz, obsadkę i... Oczywiście, że mógł spreparować fałszywkę, ale po co?

Miał żal do swego zleceniodawcy, że nie zachował się fair, że nie powiedział wprost – dostaniesz, chłopie, ochłapy, radź sobie sam, lub, wszystko spłonęło w pożarze, a ty, jak wynajęty detektyw masz odtworzyć z popiołu moje życie. Kiedy dopadły go te wszystkie wątpliwości, usłyszał graną na wiolonczeli melodię. Ktoś kolejny raz serwował mu ten sam dołujący utwór, jakby chciał obrzydzić mu dzień do reszty.

Utrudzony zostawił lekturę i szedł do restauracji na obiad. Przybył w samą porę. W hotelowej bibliotece czekała go, za sprawą Jeana-Pierre'a, porcja niezłej rozrywki. Ten ciemnoskóry brzdąc czuł się w hotelu jak ryba w wodzie. Przez zbytnią pewność siebie omal nie doprowadził pani profesor z Reykjavíku do palpacji serca. Jean-Pierre pojawił się w „Obłoku” dokładnie wtedy, gdy Magnus nadziewał na widelec kawałek schaboszczaka. Chłopczyk zbiegł po schodkach w poszukiwaniu swego pupila Leona i czujnie się rozejrzał. Magnus widział moment, gdy ulubieniec chłopaka wsunął się do należącej do pani profesor torebki, która pozostawiona pod stołem okazała się dla niego wymarzoną kryjówką. Pani profesor Erica Höfn, specjalizująca się w badaniach życia puchaczy, przyleciała na dwudniowy światowy zjazd ornitologów i zakwaterowała się w hotelu. Kiedy zadzwonił jej telefon komórkowy, sięgnęła do torebki, by go wyłączyć, i wtedy trafiła na gadzinę. Potwór niegroźnie ugryzł ją w palec i pani profesor wybiegła z krzykiem z restauracji. Komedyjka w stylu dell'arte. Przerażony chłopak chwycił Leona i posadził go sobie na plecach. Siwa pani profesor wróciła, by zawinąć palec w serwetkę. Rozległy się oklaski. Jakiś Japończyk zrobił jej zdjęcie. Gad zabawnie dyszał, wystawiając do obiektywu różowy język. Wylękniona

recepjonistka wpadła z plastrem i wodą utlenioną. Jednym słowem: trwał w najlepsze międzynarodowy, reżyserowany przez Jeana-Pierre'a spektakl.

Po przedstawieniu Magnus dopił kawę i wrócił do swego pokoju. Pracował do późna, nie wychylając nosa ze swojej klitki. Nazajutrz zbudził się z dziwnego snu z pięścią zaciśniętą na poduszce. Śniło mu się, że w poszukiwaniu ochronki trafił na cmentarz, do opisanego przez LMG Raju. Pamiętał, że rozchylając łopiany, dotarł do pojedynczego żeliwnego krzyża; tylko tyle pozostało z przedwojennego cmentarza. Nachylił się i próbował odczytać zżarty przez rdzę napis, lecz jedynie trzy wyrazy czterowersza – „Lang zu Leben” – dały się odszyfrować. W swym śnie obszedł drewnianą szopę i znalazł się nad stawem, którego brzeg pokrywało zaschnięte błoto. Podniósł patyk i zaczął mozolnie czegoś szukać w mule. Odkrył resztki potłuczonych naczyń, pustą skorupę ślimaka, aż wreszcie – kiedy chciał już zrezygnować – znalazł prawdziwy dowód obecności Świra: plastikową rączkę laleczki z urwanym serdecznym palcem.

Do śniadania nie mógł sobie poradzić z obrazem plastikowej, zgiętej w łokciu protezy. Na szczęście nadeszła niespodziewana pomoc. Kiedy stał przy akwariu, ktoś złapał go za rękę i pociągnął. Jean-Pierre – a któż by inny? Chłopczyk spoglądał rezolutnie w górę. Był sam. Jego zielony pupil odpoczywał zapewne w terrarium.

– Mama mówiła, że piszesz książki – zwrócił się do Magnusa bez zbędnych ceregieli.

– Naprawdę? A skąd ona to wie? – przekomarzał się.

Jean-Pierre uśmiechnął się i nadal trzymał jego rękę. Potrząsnął nią i obaj patrzyli na kołującego za szybą jesiotra. Był piękny. Przypominał torpedę wystrzeloną z łodzi podwodnej. Mały nie odpowiedział wprost. Próbował osiągnąć swój cel i zapytał chytrze:

– A pokażesz mi, jak się to robi?

– Co?

– Mama powiedziała, żeby ciebie o to zapytać.



Magnus starał się wymyślić jakąś historyjkę na odczepnego. Szukał w głowie najprostszych słów, a potem postanowił odegrać spektakl. Postawił warunek, że rodzice chłopca muszą wyrazić na to zgodę. Malec zniknął jak meteor. Po chwili wrócił z wyrwaną z notesu karteczką. Jedno zdanie i podpis: *Pozwalam synowi przebywać u Pana przez pół godziny, Ewa Munier*. Minęli hol i recepcję. Wbiegli po schodach, wyprzedzając jadącą do góry szklaną windę. Mały śmiał się i pokazywał niemieckim emerytom „zyg-zyg”. Dotarli pod drzwi i Magnus wsunął plastikowy klucz do czytnika. Kiedy zamek ustąpił, śniady cicerone natychmiast wpadł do pokoju i wgramolił się na fotel. Zadowolony rozglądał się bystro. Magnus nalał gościowi do szklanki coca-coli z lodówki i z miną czarodzieja postawił na stole kartonowe pudło. Jak sztukmistrz wyjął z niego poplamiony niebieski zeszyt, porysowaną lupę i czarny modlitewnik. Jean-Pierre przyglądał się z zaciekawieniem. Próbował zajrzeć do środka pudła, lecz nie dostał na to zgody. Czas eksperymentu bezlitośnie się kurczył. Pisarz musiał jak najszybciej dokonać cudu, by mały gość uwierzył w wyznaczoną mu przez Pana Boga misję. Magnus otworzył zeszyt. Gdy jego palce dotknęły okładki, poczuł, jak włosy stanęły mu dęba. Powinien bezzwłocznie przerwać doświadczenie i wyprowadzić chłopca, lecz za późno. Czytał mu wspomnienia LMG. Tłumaczył, jak smakuje morwa i jak wygląda puchacz. Przewracał jedną kartkę za drugą, wprawiając malca w przerażenie. Ślinił palec, szarpiąc stronice, jakby był w transie. Obaj śledzili Maryjkę, gdy zapadała się pod lód. Oczy Magnusa wyszły z orbit, wykrzywił usta i krzyczał razem z malcem. Krzyczeli, a potem nagle przycichli, bo wszystko to, co zapisał LMG w poplamionym zeszycie, przetoczyło się przed ich oczyma. Mężczyzna zatrzasnął zeszyt. Jean-Pierre dyszał. Spragniony prosił o dolewkę. Wtedy Magnus otworzył z rozmachem następną butelkę i połowa jej zawartości wylądowała na wykładzinie. Śmiali się obaj. Dostali ataku szalonego śmiechu.

Wystarczyło, że popatrzyli na siebie, by na nowo wybuchnąć zaraźliwym chichotem.

– O wszystkim powiem tacie. – W głosie małego słychać było dumę. – Myślisz, że mi uwierzy?

– Co powiesz? – zapytał.

– O łodzi, o ptaku zestrzelonym z procy, no i w ogóle! Było super! Takich rzeczy nie pokazuje telewizja.

– O jakiej łodzi? – ciągnął go za język.

– No, w tej, w której siedział mój tata! Czytałeś mi, jak ubiera zbroję i przeprowia się na drugi brzeg. Widziałem, jak zakłada miasto, buduje zamek, a potem wraca po mnie i po mamę. Niepotrzebnie mnie tylko przestraszyłeś!

– Czym przestraszyłem?

– Pożarem! Myślałem, że umrę ze strachu, kiedy facio z blizną chciał spalić go na stosie! Strasznie bałem się o tatę. Powiedziałaś, że wtedy stał się cud, że on gdzieś zniknął i że potem nigdy już go nie mogli odnaleźć.

Jean-Pierre fantazjował. Zobaczył to, czego nie było. Pisarz zazdrościł mu tej umiejętności. Chłopak chciał widzieć zamek i w tej samej sekundzie miał go przed oczami, a przy okazji zamienił ojca w średniowiecznego rycerza.

Po wyjściu małego gościa Magnus schował rzeczy Guardiana do pudła i włączył komputer. Otworzył mailową skrzynkę, a potem (kiedy stwierdził, że jest nadal pusta) kliknął na ikonkę biografii LMG. Nie wierzył własnym oczom: z jego pracy znikło pięć ostatnich stron. Dałby sobie rękę uciąć, że je zapisywał. Był wściekły na siebie i nie miał najmniejszej ochoty jeszcze raz pisać tego samego. Sięgnął po telefon komórkowy i zadzwonił do syna, licząc na to, że mu coś doradzi. Paweł, jak było do przewidzenia, także siedział przy swoim komputerze. Tym razem tworzył animację do jakiejś gry.

– Cześć! – Magnus przywitał się zdawkowo.

– Padł twój komputer? Zgadłem?

– Skąd wiesz?

– Nigdy nie dzwoniś bez potrzeby. OK. Powiedz, co się stało. – Gdy usłyszał o problemie, zapytał o dostęp do sieci. – Kiedy pierwszy raz wszedłeś do internetu?

Magnus zastanawiał się przez kilka sekund, by przypomnieć sobie pierwsze spotkanie z nieznaną i poszukiwanie informacji na temat Hölderlina.

– Nie obraż się, ale to nazwisko nic mi nie mówi.

– Niemiecki poeta, romantyk, naziści nosili go na sztandarach.

– Czy po tym romantyku zaczęło się coś dziać z twoim kompem?

Magnus zastanawiał się, lecz nie umiał odpowiedzieć.

– Sorry, ale zawsze miałeś w swojej maszynie bajzel! Posłuchaj mojej rady! Zapisuj wszystko na przenośną pamięć. Inaczej zawsze będziesz szukał winnych. Czy twój Guardian dał ci swoje dane na dyskach?

– Dlaczego pytasz?

– Dał czy nie? – Paweł był zniecierpliwiony.

– Tak. Setki zdjęć, filmy nagrania... Nie podejrzewasz go chyba?

– O co? Że wpuścił ci robalę, żeby cię śledzić?

– To wykluczone, on mi płaci za tę robotę!

– OK. Spróbuję twojego dowcipnisa namierzyć i dam ci znać.

– Jak?

– Czy ja się ciebie pytam, jak się pisze książki? Przepraszam, ale musiałbym robić ci wielogodzinny wykład.

– Co mam robić?

– Zrób sobie wolne. Chyba masz jakiś plan awaryjny? Aha, wejdź do internetu i do rana nie dotykaj klawiatury!

– OK.

Po obiedzie zadzwonił telefon. Magnus podniósł słuchawkę i Magda zakomunikowała mu, że państwo Munier właśnie opuszczają hotel i że

chcieliby, jeśli nie sprawi mu to kłopotu, pożegnać się z nim. Magnus otworzył walizkę, wyjął z niej nowiutki egzemplarz Schizmy i zszedł do recepcji. Pan Claude nie spodziewał się prezentu. Był zaszczycony. Poprosił pisarza o autograf, który z dumą pokazywał żonie i synkowi. Z przejęciem obracał książkę w wielkich czarnych dłoniach, oglądając okładkę z planem Amsterdamu i fotografią kanału Gelderseksade w kolorze sepia.

– Pan mnie coś dal, to ja teraz daję coś panu – powiedział i wręczył Magnusowi miniaturkę rakiety Ariane, wykonaną z niklu. – Czy to prawda z tym Muzinem? – zapytał nieśmiało.

– Z jakim?

– Jean-Pierre mówił, że zakładał kiedyś miasto, że zbudował twierdzem, a zazdrosne rajce chcieli go podstępem uka...

– Ukatrupić?

– No właśnie! Jego dni byli ponu-merowane.

– Policzone, głuptasie. – Pani Munier szybko poprawiła męża i pocałowała go czule w policzek.

Magnus kiwnął głową. Opowiadanie Leo wymknęło się spod kontroli i żyło już własnym życiem, niczym legenda.

– Czytałem o tym w jakiejś kronice. Wspomina się w niej nieprzeciętną wiedzę Czarnego Rycerza. Znał kilkanaście języków, był doskonałym lekarzem i wynalazcą. Podziwiano go, lecz za to samo znienawidzono. Wśród jego najlepszych przyjaciół znalazł się zdrajca. Rzucił na niego fałszywe oskarżenie, że rycerz uwiódł dziewczynę, która pilnowała świętego starca. Kronika w tej materii nie jest dokładna. Przekupiony sędzia wydał surowy wyrok. Wzniesiono stos, zebrano na rynku ludność miasteczka, lecz kiedy miało dojść do egzekucji...

– Cudownie. – Pan Claude spoglądał nerwowo na zegarek. – Jean-Pierre opowie o tym w swojej nowej szkole. Wie pan, jest ze mnie dumny!

Myśle, że będzie się chciał uciść francuskiego, a ja będę z nim mówił po polsku. I pomyśleć, że ja nie chciałem przyjmować tego zaproszenia.

– Jakiego zaproszenia?

– Mąż otrzymał nagrodę za naukowe odkrycia – pochwaliła się jego małżonka – i zaproszenie do tego hotelu na tygodniowy wypoczynek z całą rodziną.

– Właśnie! Ewa przekonała mnie i dziś już wiem, że będę częściej wasz kraj odwiedzać.

– To bardzo tajemnicza historia – dodała jego żona.

Pan Claude wyciągnął do Piotra Magnusa rękę. Jego żona patrzyła z zachwytem na ten prawdziwie męski gest. Jean-Pierre skrócił smycz legwana, ucząc go pozycji „waruj”. Uśmiechnięci młodzi małżonkowie wynieśli walizki z terrarium i zniknęli za drzwiami. Celem ich podróży była Kajenna w Gujanie Francuskiej, stolica „zielonego piekła”. Okazało się, że pan Claude projektuje satelity komunikacyjne i należy do międzynarodowego zespołu obsługującego program Ariane 5 w Kourou.

Magnus podszedł do drzwi i pomachał im na pożegnanie, po czym siadł w holu na kanapie i zaczął przeglądać prasę. Po dziesięciu minutach jak w zwariowanym filmie pani Ewa Munier znowu się pojawiła w recepcji. Pytała o Claude’a. Miała przestraszona minę. Magda pokręciła głową i wzruszyła ramionami.

– Pan też go nie widział? – Blondynka patrzyła na Magnusa podejrzliwie, jakby to właśnie on zrobił jej głupi kawał.

– Wychodziliście państwo razem, wydawało mi się, że...

– Co? Co panu się wydawało?

– Nie, nic. Pan Claude miałby tu wrócić? Po co?

– O Boże, przez jego cholerne dowcipy spóźnimy się na samolot! – Spojrzała nerwowo na zegarek. Po chwili wrócił Jean-Pierre, a za nim taksówkarz, obciążony jak marines, z walizkami i terrarium. Tylko mały się nie przejmował. Przyjął tę zmianę z uśmiechem. Widocznie tak miało być,

coś się stało w świecie dorosłych. Chłopak otworzył terrarium, zdjął szalik z szyi i obwiązał gadowi głowę. Jego pupil wyglądał teraz jak poczciwy potwór z kreskówki.

– Nie stój tak! – Pani Munier nachyliła się nad synem. – Jeśli twój ojciec zaraz się nie znajdzie, to... Urwała w pół zdania i siadła na kanapie ze wzrokiem utkwionym we wskazówki ściennego zegara, jakby się znalazła w poczekalni kolejowej gdzieś na prowincji. Piotr Magnus czuł się w obowiązku jej pomóc. Wybiegł na ulicę i się rozejrzał.

– Panie Claude! – krzyknął. – Panie Claude!

Potem wszedł do sklepu monopolowego, by się spytać o wysokiego Murzyna, narażając się na głupie docinki. Zajrzał też do piekarni. Jego wyobraźnia podsuwała mu szalone rozwiązania. Claude mógł zostać porwany dla okupu albo się znudził polską żoną i zwiął, uwalniając się od rodzinnych problemów. Patrzył w perspektywę ulicy, między samochody i ludzi. Gdzieś daleko, za drugą przecnicą mignęła mu podobna do Claude'a postać i przepadła. Magnus pobiegł w tamtą stronę, lecz w połowie drogi zabrakło mu tchu, więc przystanął, a potem zrezygnowany zawrócił. Pani Munier zdążyła już zdjąć sportową kurtkę i położyć ją na walizkach. Była wściekła. Co chwila rzucała swoje ulubione słówko – *merde* – a potem gapiała się to na akwarium, to na zegar.

– Ja chyba zwariuję – oświadczyła. – Niech ktoś coś, na litość Boską, zrobi!

Jean-Pierre zaczął powoli rozumieć powagę sytuacji. Podszedł do Piotra Magnusa i patrzył na niego swoim naiwnym, dziecięcym spojrzeniem, w którym się kryło błaganie o pomoc. Magnus zaproponował im, by wrócili do swego pokoju, przynajmniej na jakiś czas. Mówił, że jest za wcześnie, by zawiadomiać policję, że sprawa szybko się wyjaśni. Ich samolot wprawdzie odleciał, ale są przecież inne połączenia i loty. Pani Ewa Munier przyznała mu w końcu rację. Wszyscy wierzyli w jakąś pomyłkę. Słowo „pomyłka” zastąpiło niewiadomy ciąg zdarzeń. Magda

podsunęła swoją teorię, że pan Claude wsiadł przypadkowo do innej taksówki i ponieważ nie zna miasta, jeździ w poszukiwaniu hotelu, którego nazwy nie pamięta. Jej tłumaczenie podgrzało tylko atmosferę.

– To bzdura! – krzyknęła pani Munier. – Claude by mi tego nigdy nie zrobił. Jak pani śmie opowiadać przy dziecku takie nonsensy, że jego tatuś zapomniał o nim i rozbija się po mieście taksówką!?

Potem mały dolał oliwy do ognia. Ni stąd, ni zowąd przypomniał sobie, że kiedy mama poprawiała w lusterku makijaż, tata wrócił do hotelu, by sprawdzić, czy zabrał z pokoju wszystkie rzeczy. Magda zrobiła wielkie oczy.

– Nie myślicie chyba państwo, że mam sklerozę! Cały czas tu jestem. Doskonale pamiętam, że były dwie karty do pokoju, sama sprawdzałam. Proszę bardzo, obie leżą o tu, w... – Ucichła nagle, jakby trafiona obuchem. – Boże, a gdzie jest druga karta? Ktoś ją zabrał. Co ja najlepszego narobiłam?

Popłakała się. W strumieniach łez wydała pani Ewie Munier zapasową kartę do jej starego pokoju. Piotr Magnus czuł się w obowiązku pomóc jej i razem z recepcjonistką wniósł rzeczy do windy. Wziął walizkę i terrarium, Magda zaś drugą walizkę, mrużąc coś pod nosem. Chłopak szedł za nimi, czuląc się do Leona, który łyptał na niego spod wełnianego szalika, zsuwającego mu się na pysk. Procesję zamykała obrażona żona Claude'a, ciągnąc walizkę na kółkach. Z trudem zmieścili się w windzie. Kiedy drzwi się zamknęły, pojechali do góry obserwowani z półpiętra przez zdezorientowaną panią profesor Ericę Höfn. Munier otworzyła kartą drzwi i ze złością wpadła do środka, by wyładować całą swą złość na mężu. Podejrzewała, że Claude jest w łazience, potem sprawdziła szafy i (nie wiedzieć dlaczego) włożyła nawet głowę do kominka, by w końcu paść na łóżko twarzą do poduszki i zalać się łzami. Magnus zostawił ją w tej pozycji i wyszedł razem z Magdą.

Późnym wieczorem pani Ewa Munier niespodziewanie zapukała do Magnusa, oznajmiając, że dłużej nie będzie czekać. Prosiła o pomoc, miała zamiar zawiadomić francuski konsulat. Zjechali windą do recepcji, by dostać od Magdy numer telefonu.

– Ale przecież... No tak, według pana powinnam sama zawiadomić policję? I to ma być francuski konsulat? Nie dotarło do pana, że Claude Munier jest Francuzem. – Wymawiała *Munier* z takim akcentem, że dałby jej na egzaminie piątkę. – A więc mam spokojnie siedzieć na tyłku, aż... Ewa Munier nie potrafiła się z tym pogodzić. Wściekła trzasnęła słuchawką w telefon, aż odleciał kawałek białego plastiku. – Wszyscy zmówili się przeciw mnie. – Patrzyła na Magnusa rozpalonym wzrokiem. – Najbardziej ten kretyński urzędnik z konsulatu. Merde! Najgorsze, że mąż zniknął z kartami płatniczymi i nie pozostawił nam żadnych, ale to żadnych pieniędzy. Biedny Jean-Pierre!

Piotr Magnus bez wahania, jak przystało na dżentelmena, zaproponował jej pożyczkę. Żona Claude'a niechętnie się zgodziła, zastrzegając honorowo, że zwróci wszystko co do grosza, gdy jej mąż pojawi się w hotelu. Miał już dość kibicowania blondynce w tarapatkach. Pokręcił głową, gdy zapytała go, czy ma zadzwonić na policję.

– Najlepiej będzie tam osobiście pojechać. Musi pani opisać wygląd męża. Będą wdzięczni, jeśli pokaże im pani jego zdjęcie. To rutynowe czynności. Profesjonaliści muszą od czegoś zacząć. – Ostatnie zdanie powiedział na wyrost, by przestała się martwić. Pani Munier natychmiast przyznała mu rację. Na początek pożyczyła od niego trzysta złotych, by zamówić taksówkę i zrobić jakieś niewielkie zakupy. Odbierała banknoty, ciężko wzdychając. Przed wyjściem miała kolejną prośbę: by do jej powrotu pan Piotruś posiedział z jej synkiem w apartamencie.

– On pana uwielbia, to widać – powiedziała słodko. Poszli do jej pokoju. Blondynka nałożyła czarną skórzaną kurtkę, poprawiła przed



lustrem włosy, uszmiłkowała na czerwono usta (wydymając przesadnie wargi) i znikła.

Magnus został z Jean-Pierre'em. Przymusowa sytuacja nie nastrajała ich do zabawy. Coś między nimi się popsuło, jakby to właśnie Piotr odpowiadał za zniknięcie jego ojca. Chłopak włączył telewizor i skakał po kanałach, ale zarówno sport, filmy, jak i muzyka nudziły go. Raz zatrzymał się na dłużej, by obejrzeć program o człowieku, który od urodzenia nie ścinał włosów. Widok Hindusa z trzymetrowym warkoczem upchanym w plecaku zaciekawił ich obu, lecz mały, widząc reakcję opiekuna, złośliwie przełączył stację. Na pytania odpowiadał półsłówkami, dając do zrozumienia, by pan Piotr lepiej się zajął sobą. Minęła dwudziesta trzecia. Magnus nadal siedział w fotelu i gapił się przez okno na drugą kamienicę. Na poddaszu ktoś zapalił światło. Obrócony tyłem wykonywał szalone ruchy, jakby dostał ataku epilepsji.

– Breakdance – wyrwało się chłopakowi fachowe określenie. – Gościu jest niezły!

Siedzieli tak i gaworzyli, aż mały padł ze zmęczenia przy ryczącym telewizorze. Magnus przykrył go kocem i przyciszył fonię. Niemy prezenter zapowiadał pogodę, pokazując wskazówką na Włochy i Bałkany. Piotr znieczcierpliwiony nacisnął czerwony przycisk pilota, a potem wstał z fotela i podszedł do terrarium, by obejrzeć Leona. Roślinożerca zwinnie się piął po szybie i syczał na niego, jakby Magnus naprawdę chciał mu odebrać kawałek banana.

Okolo północy wróciła pani Munier. Była roztrzęsiona. Pod oczami miała rozmazane strumyczki tuszu. Wyszeptała, spoglądając na śpiącego synka, że dopiero na policji zorientowała się, że nie zabrała ze sobą zdjęcia męża. Żaliła się, że zarozumiali policjanci nie chcieli jej w ogóle słuchać i że dopiero, gdy pogroziła im francuskim konsulem, zdecydowali się coś zrobić w tej sprawie. Zjawił się ich przełożony i poprosił ją do swego gabinetu. Ten starał się być miły. Przedstawił się, jakoś na „er”. Zrobił jej

nawet sypaną kawę i poczęstował słonymi paluszkami. Obiecał przysłać kogoś z rana do hotelu, by uściślić jej zeznania. Potem zaprowadził ją do komputerowej pracowni, gdzie na ścianach wisiały portrety przestępców. W takich okropnych warunkach rysownik przez ponad godzinę sporządzał pamięciowy portret Claude'a na podstawie jej wskazówek.

Dla potwierdzenia wyjęła z torebki skserowany rysunek, rozwinęła go, jak dowód w sprawie, prosząc, by pan Piotr go obejrzał. Magnus rzucił okiem na produkt wyobraźni policyjnego rysownika, stwierdzając, że portret jest nieudolną, szkolną wprawką i przedstawia kogoś, kto od biedy mógłby być panem Claude'em. Blondynka ziewała bez skrępowania. Obiecała gościowi opowiedzieć o wszystkim jutro. Teraz jej jedynym marzeniem był sen. Zgasiła jedną lampkę i, bezwiednie, zapominając o gościu, zrzuciła sukienkę i zaczęła odpinać biustonosz. Magnus pożegnał się z nią i zbiegł po schodach do swego pokoju. On także był bardzo senny. Rzucił się na łóżko i natychmiast zasnął, mając pod powiekami ponętne kobiece ciało.

Następnego dnia przed śniadaniem sprawdził internetową pocztę. Prócz elektronicznych spamów, które wyrzucił do wirtualnego kosza, znalazł list od

LMG. Zaciekawiony otworzył przesyłkę i natychmiast zagłębił się w lekturze:

*Drogi Panie Piotrze! – przeczytał. – Wszystko tu jest. Te same różowe krzesła z plecionymi oparciami wystawione na chodnik, skrzynki w oknach z bratkami i przyklepione do szyby plastikowe usta, przypominające kształtem wargi stojącej za ladą Murzynki o dźwięcznym imieniu Odile. Jest też kot, co wabi się Jopu (szary dachowiec, zwinięty w kłębek na taborecie) i nieruchomy Murzyn w skórzanym kapeluszu, tak zaczytany w „Amsterdam Times”, że pomyliłem go z rzeźbą w „Cafe-Frontline-Pub” przy kanale Geldersekkade. Zanim się tam znalazłem z Pańską Schizmą w plecaku, odwiedziłem chińską świątynię, HE HUA TEMPLE, położoną na skraju*

dzielnicy Czerwonych Latarni. Lubię takie wypadki. Niespodziewane wizyty uczą mnie dystansu i pokory. Zapaliłem kadzidełko pod ołtarzem Buddy, wrzuciłem jedno euro do skarbonki i sięgnąłem do skrzynki po los. Nie wierzę we wróżby, a jednak to, co wylosowałem, kazało mi, Panie Piotrze, napisać do Pana ten list, by wiedział Pan, że znam całą prawdę. Łysa mniszka śpieszyła się. Dochodziła osiemnasta i szykowała się do zamykania wejściowej bramy. Na moją prośbę rozwinęła papierowy różowy rulonik i przetłumaczyła z chińskiego na angielski, że wszystko się wkrótce wyjaśni, lecz muszę natychmiast iść za głosem swego serca po czyichś śladach. Więc z Pana Schizmą przeszedłem przez most i dotarłem spragniony do „Frontline”, a teraz siedzę dokładnie na Pana miejscu przy ladzie, popijając drugi kufel schłodzonego Amstela. Nie wiem, od czego zacząć. Odile jest nieufna. Pokazuję jej pana książkę, lecz nie chce mnie mi wierzyć i podejrzewa, że jestem z policji. „Po co pan przyszedł? – pyta. – Do tego drania, François? Nic panu nie pomogę – mówi. – Widziałam wielu ludzi, dużo ludzi przychodzi tu i odchodzi w poszukiwaniu wrażeń. To taki lokal”.

Drogi Panie Piotrze! Ma Pan fotograficzną pamięć. Ta sama stalowa barka, „Nanchang”, w której mieszka Chińczyk z siwym warkoczem, cumuje w kanale przy pochylonej lipie. Na brezentowym dachu leżą dwie stare opony, a pomarańczowy odbój zwisa na grubej linie jak wielki nieruchomy spławik. Teraz przybiła do niej błękitna motorówka portowej straży i dwóch strażników wspina się po trapie. Jestem dokładnie tu, gdzie Irma, bohaterka Pana książki. Ona też, jak ja, wypila Amstela, zapłaciła dwa euro, a potem podjechała wózkiem na brzeg kanału... Podróż życia, wymarzona wycieczka do Amsterdamu? Dlaczego pozwolił jej Pan wspominać? Widzieć w małym lokaliku „Frontline” kudłatego kuca, który ciekawie wsadzał głowę do otwartego okna? Irma budzi się we wspomnieniach. Ryża klacz przekrzywia łeb, prosząc ją o cukier. Jej pani drepcze do stołu i bierze z cukiernicy trzy kostki. Jedną zjada sama, a dwie kładzie na dłoni, pozwalając, by Musztarda schwyciła je grubymi wargami.

*Zadowolona klacz podrzuca grzywę. Irma gładzi ją po miękkich nozdrzach i z tym obezwładniającym uczuciem, wspomnieniem tego uczucia, najmielszym wspomnieniem spada na dno kanału, w muł, między stare rowery. Drogi Panie Piotrze! Kocham Amsterdam. Dlatego, załatwiając służbowe sprawy, chciałem poczuć klimat miasta, który Pan opisał. Wstąpiłem do tego przekłętego pubu i teraz wiem, że ona zrobiła to naprawdę! Tak powiedziała Odile. Chciałbym teraz, proszę mnie dobrze zrozumieć, mieć więcej czasu od Irmy, by mój kucyk wziął z mojej dłoni kostkę cukru, w tym dziwnym miejscu, gdzie stary rower czeka na właściciela, korodując w deszczu, i gdzie nie zawahał się Pan dopić piwa, odwrócić głowę i wyjść z baru z tą potworną sceną zapisaną w myślach.*

*Pozdrawiam Pana, LMG*

*PS Stworzył pan w tej swojej książce przejmującą biografię, mam nadzieję, że pisze Pan teraz moją. Chciałem jeszcze poinformować, że obiecana zaliczka jest już na Pana koncie.*

Magnus szybko wpisał w komputerze nazwę swojego banku, a potem hasło. Nie mógł uwierzyć. Na jego koncie w rubryczce przelewy, w tabelce operacje bieżące widniała połowa obiecanej mu przez LMG gaży, nazwana pokrętnie „zaliczką”. Był pewien, że nie podawał Guardianowi numeru swego konta. W jaki więc cudowny sposób pieniądze mogły na nie trafić? Wylogował się ze swego konta, zamknął laptopa i przejęty zszedł do „Obłoku” na śniadanie.

W recepcji trafił na listonosza, który postawił na ladzie przesyłkę i głośno komentował jakieś zdarzenie. Pocztowiec był rozgorączkowany, najwyraźniej brakowało mu rozmówców.

– Wie pani? Czekałem na takie coś przez całe życie! – Pochwalił się, poprawiając czapkę. – Do wczoraj to inni mieli szczęście, ale teraz ja sam mogę o tym opowiedzieć...

– No, niech pan wreszcie przestanie być taki tajemniczy – niecierpliwiła się Kasia, która tego dnia stała za ladą.

– Na pewno nic państwo nie słyszeli? – zdziwił się. – Wszyscy wokół o tym trąbią. Wczoraj dwie przecznice stąd, z tyłu hotelu przy ceglanej kapliczce był pożar. Kiedy tam dobiegłem, ogień walił pod samo niebo.

Magnus siadł na kanapie przy akwariium i przysłuchiwał się, jak listonosz raczy Kasię tą wstrząsającą opowieścią.

– Palił się samochód!

– Samochód?

– A jak? Widziałem słup ognia. Dym był tak gęsty, że myślałem, że zwariuję.

– I co?

– Za kierownicą siedział człowiek. Nie widziałem jego twarzy, bo samochód miał na szybach naklejoną folię. Pewnie próbował otworzyć drzwi, no ale się zacięły. Ludzie stali z boku i bali się pomóc. O, ten pan jest świadkiem, teraz sobie pana przypominam. – Magnus gwałtownie zaprzeczył. – Naturalnie, mogę się mylić, byłem wtedy zdenerwowany. – Doręczyciel popatrzył na niego przenikliwie. – Ludzie mówili, że straż przyjechała za późno. Na Świętego Filipa drogowcy rozkopali ulicę i zrobił się kilometrowy korek. Strażacy nic więc nie mogli zrobić, tylko dogasić pożar. Z samochodu zostały same blachy i rurki, a ten facet w środku wyparował.

– Niech pan przestanie, nie chcę tego słuchać! – Kasia zatkała uszy.

– Kiedy to szczerą prawdą – oznajmił pocztowiec i obrócił się do drugiego słuchacza. – Mogę was tam zaraz zaprowadzić i pokazać stopiony asfalt.

Magnus z recepcjonistką podziękowali za propozycję, a listonosz odszedł zawiedziony. Po tej przykrej rozmowie Magnus skierował się do „Obłoku”, lecz Kasia zawołała go i podała mu niewielką płaską paczkę.

– To dla pana od tego nawiedzonego listonosza. Swoim opowiadaniem całkiem zamieszał mi w głowie.

Zabrał przesyłkę i zszedł do biblioteki na śniadanie. W „Obłoku” był sam, widocznie hotelowi goście mieli rano ciekawsze plany. Zgłodniały podszedł do szwedzkiego stołu i zrobił sobie kanapkę z łososiem, dekorując ją grzybkiem w occie i czarną oliwką. Potem nalał kawy do filiżanki i siadł naprzeciwko portretu Magellana. Wpatrywał się w posępne oblicze Portugalczyka, jakby wielki odkrywca miał mu podsunąć odpowiedź na jego pytania.

Opowiadanie listonosza wywołało w nim bezzasadne poczucie winy. Nie mógł wykluczyć, że poprzedniego dnia przechodził koło ceglanej kapliczki. To prawda, że zanim pani Munier przyszła do niego wieczorem po pomoc, był w mieście. Wstąpił do fryzjera, a następnie zaszedł do greckiej restauracji, by coś zjeść i się ogrzać. Zamówił specjalność kuchni, gyros z kurczaka, i podwójną metaxę. Siadł w kącie, wyjął notes. Miał chęć naszkicować nowe rozdziały biografii Guardian, lecz pisanie wyraźnie mu nie szło. Grała głośna muzyka, przy której nie potrafił się skupić. Wyruszył więc w powrotną drogę do hotelu i wtedy najpewniej listonosz musiał go widzieć, lecz jakiegokolwiek łączenie go z tragicznym wypadkiem było, rzecz jasna, bezsensowne.

Magnus wypił kawę i wziął ze stołu przekazaną mu przez Kasię przesyłkę. Koperta była gruba. Zabezpieczała ją taśma klejąca. Pod palcami wyczuł nieduży twardy przedmiot. Na opakowaniu wydrukowane było jego imię i nazwisko, zaś niżej nazwa hotelu i adres. Brakowało tylko danych nadawcy.

Sięgnął po nóż. Miał właśnie zamiar rozciąć taśmę klejącą, gdy pojawiła się Ona. Wyglądała bardzo naturalnie. Ubrana w podkoszulek z bawełny i zwiewną spódnicę z tafty w kolorze electric blue, która przylegała do jej zgrabnego ciała. Szokowała go swym wglądem, lecz jeszcze bardziej onieśmiałała. Ukłonili się sobie, ale na rozmowę było za

wcześniej, choć widział ją już trzeci raz. Lubił jej ruchy. Były nieco sztywne, nacechowane dziewczęcą obawą. Nieznajoma, tak jak on, była spięta. Na jej policzkach widoczny był delikatny rumieniec. Powoli nabrała łyżeczką jogurt z kubeczka, oblizała ją i – jakby była w zмовie z LMG – otworzyła przed sobą powieść Magnusa, *Schizmę*, i zaczęła ją na jego oczach ostentacyjnie czytać. Pomyślał, że to nie jest przypadek, iż w tym momencie zjawiała się w „Obłoku” z jego książką.

Nieznajoma rzuciła mu pytające spojrzenie. Nieco pochylona, pozwalała gęstej burzy loków spokojnie spływać na ramiona, by po chwili nerwowo je podrzucić. Dzielił ich tylko oddech. Wolno odwróciła kartkę, śliniąc wskazujący palec. Była już w połowie powieści, musiała więc już się dowiedzieć, że jej bohater, Daniel, nadal spotyka się z Irma, że ich kłótnia i krótkie rozstanie było jedynie sprytną, ukartowaną przez kobietę grą, żeby go przy sobie zatrzymać. Po lekturze tego fragmentu nieznajoma wiedziała także, że Irma de Vries postawiła wszystko na jedną kartę i w nocy zakradła się naga do pokoju kochanka. Irma była uwodzicielska. Jej ciało pachniało kusząco olejkiem pomarańczowym, a jej usta nawilżone migdałową pomadką oferowały chłopakowi dziką rozkosz. Przed przyjściem do niego wypłukała usta szałwią i włożyła pod język podniecający smakiem goździk, tak jak uczyła ją babka.

Daniel był studentem z Polski, okupowanej przez III Rzeszę i od pół roku mieszkał u Irmy i Edwina de Vries na stacji. Chłopak był inteligentny. Studiował matematykę i fizykę, znał cztery języki, a po holendersku mówił bez obcego akcentu. Miał absolutny słuch i genialną pamięć. Irma (która była starsza od niego o pięć lat) położyła się przy nim na łóżku i pieściła jego sutki. Całowała go w kark, dotykała krocza, doprowadzając go do szału.

W niedużym pokoju wynajmowanym przez studenta stał pod oknem gabinetowy zegar w obudowie z czereśni – Gustaw Becker. Był to ślubny prezent dla Irmy od Edwina, z wygrawerowaną datą. Zegar był imponujący,

sięgał do sufitu. Głośno odmierzał czas i ten usypiający rytm, bezustanne tykanie wahadłowego mechanizmu z naciągami łańcuchowym zachęcało Daniela do przebiegania ruchliwymi palcami od szyi aż po delikatne włoski jej łona. Raz, dwa – liczył w myślach Daniel, czując pod opuszkami palców cudowną skórę kochanki i znowu – raz, dwa, bo tak tykał zegar. Daniel rozpływał się. Irma już nie istniała i istniała zarazem, jak czas i przestrzeń, którym można zaufać. Zaspokojona zsunęła się z łóżka i wróciła na palcach do swego pokoju, by następnego dnia z goździkiem w ustach na nowo podjąć ryzykowną próbę.

Oboje z Danielem zafundowali sobie szalony romans. Żyli teraz w zawieszeniu, w krótkich chwilach słabości jej męża, czekając na noc, gdy znowu wróci z pracy pijany. Ich bezwstydną gra, prowadzona, gdy mąż spał kamiennym snem, wciągnęła ich do reszty. Pewnego dnia Irma przeżyła szok, gdy dowiedziała się od męża, że jest ciężko chory. Edwin wyznał jej, że był u lekarza i usłyszał wyrok: miał przed sobą najwyżej dwa miesiące życia. Trawił go rak. Zaatakował już żołądek i nerki. Ból był nie do zniesienia i jedyną ucieczką przed nim była morfina lub butelka wódki, po których mógł zasnąć. Edwin wyznał jej, nie kryjąc łez, że od początku wiedział o ich podłym związku. Najgorsze było jednak to, czego od niej zażądał. Irma była wściekła. Ta myśl nigdy by jej nie przyszła do głowy. Po tej propozycji zrobiła mężowi scenę. Wymyślała mu od cholernych rogaczy, przeklinała go, lecz zdrada bez zdrady była kusząca. Szarpana wstydem i bólem w końcu się zgodziła. Obiecała zhańbionemu Edwinowi (starszemu od niej prawie o trzydzieści lat), że zapewni mu potomka, potomka, którego spłodzi im Daniel, i że będzie go wychowywać pod własnym nazwiskiem. Wydawać by się mogło, że ten nagły zwrot był dla kochanków wybawieniem. To, co było skryte, mogło stać się od tej pory jawne.

Nieznajoma na dobre pograżała się w powieści Magnusa. Wyobrażała sobie przebiegłą kochankę, która po wyznaniu męża przejęła inicjatywę. Irma postawiła wszystko na jedną kartę. Kiedy odkryła, że jest w ciąży,



namówiła Daniela, by uciekł z nią do Amsterdamu. Nie chciała być dłużej zakładnikiem śmierdzącego, bliskiego śmierci starucha. – Tylko silni zwyciężają – tłumaczyła. – Ty jesteś silny, Danielu, dlatego zostanę z tobą do końca życia. Ich romans domagał się ofiar. Nocą, gdy Edwin spał, jak zwykle zamroczony morfiną i alkoholem, Irma zaczęła realizować swój plan. Obróciła męża na plecy i zdjęła mu z szyi niewielki kluczyk przywiązany do rzemyka. Potem w jego gabinecie odsunęła dębowy stół i zrolowała leżący na podłodze dywan. Działała jak w transie. Podniosła deskę zakrywającą skrytkę i wyjęła z niej stalową skrzynkę. Włożyła kluczyk w otwór, obróciła dwa razy i usłyszała cichy trzask. Była podniecona. Opróżniła sejf. Zabrała z niego trzy zwitki guldenów, cztery złote naparstki, na których widok wybuchła śmiechem, przypominając sobie, jak kiedyś, zanim poznała męża, ślęczała nad robótkami w zakładzie krawieckim swoich rodziców. Dopisało jej szczęście. Na dnie stalowej skrzynki znalazła aksamitne granatowe pudzeczko, a w nim dwudziestokaratowy brylant. Kamień, o którym Edwin nigdy nie wspominał, miał szafirową barwę, precyzyjny szlif i nieskazitelną czystość.

Tej samej nocy kochankowie wyruszyli w podróż. Bez skrępowań zostawili pijanego Edwina. Jego czas i tak się kończył, a lombard nigdy Army nie obchodził. Jednokonna dorożka zawiozła Daniela z niewielkim bagażem na kolejowy dworzec. Po półgodzinie dołączyła do niego Irma, która wcześniej dla zmylenia pogoni zostawiła nad kanałem małą walizkę, z niepotrzebnym jej swetrem, butami i sukienką. Nie musieli się obawiać, nikt ich nie gonił. Miasto spało, gdy przytuleni do siebie kochankowie odjeżdżali pociągiem z dworca kolejowego. W taki właśnie sposób zamienili domek z ogródkiem w Utrechcie nad starym kanałem Oude Gracht na dwa pokoiki w Amsterdamie, nad „Cafe-Frontline” przy Geldersekaade. W wielkim portowym mieście, do którego przyjechali, królowała swoboda i nikt nie był ciekaw ich przeszłości. Po drugiej stronie kanału Geldersekaade, przy którym mieszkali, zaczynała się Dzielnica

Czerwonych Latarni, przyciągająca żadnych wrażeń hulaków z całego świata.

Irma była szczęśliwa. Pieniądze, które zabrali skąpemu Edwinowi, mogły starczyć im na długo, lecz musieli być oszczędni. Irma w tajemnicy przed kochankiem schowała brylant do doniczki z begonią i żeby nie wzbudzać podejrzeń u właściciela domu, zatrudniła się w sklepie rybnym jako pomoc sprzedawcy. Wstawiała rano, gdy pierwsze kutry przywoziły z morza świeże dorsze, śledzie i homary, a kończyła dzień, gdy właściciel sklepu oznajmiał mruknięciem, że już jej nie potrzebuje. Daniel także znalazł pracę. Zatrudnił się w stoczni remontowej przy zdzieraniu rdzy ze statków. Harował po dziesięć godzin dziennie i dodatkowo udzielał uczniom korepetycji z matematyki. Oboje zarabiali wystarczająco dużo, by się utrzymać. Za rok Daniel zamierzał podjąć studia, a po wojnie chciał się stać tak sławny jak niemiecki chemik Otto Hahn, który rozłożył jądro atomowe na składniki.

Irma liczyła dni. Za dwa tygodnie miało nastąpić rozwiązanie. Zrezygnowała więc z pracy i szykowała się do porodu. Nie była przesadna, chciała być tylko gotowa na wszystko. Przyszykowała becik i ubranka, kupiła na pchlim targu kołyskę. Była pewna, że urodzi ślicznego chłopca, takiego jak Daniel. W ostatnich dniach wyraźnie osłabła. Miała swędzącą wysypkę. Budziła się w nocy i drapała brzuch do krwi. Smarowała go oliwką i robiła okłady z rumianku, lecz te zabiegi niewiele pomagały. Pewnego dnia, gdy czekała z gorącym obiadem, stało się najgorsze. Daniel nie wrócił z pracy. Zginął? Uciekł? Nie dowiedziała się nigdy, bo nie dał więcej znaku życia. Zrozpaczona poszła pod bramę stoczni. Rozpytywała dokerów, lecz żaden nie pamiętał wysokiego, przystojnego chłopaka o piwnych oczach. Razem z nim znikło coś, co miało zabezpieczyć ich przyszłość – szafirowy brylant zakopany w doniczce z begonią. Irma była w szoku. Przeklęła siebie, Daniela i dziecko. Wiedziała, że wszystko, co się

stało po ucieczce od chorego Edwina de Vriesa, było karą boską. Sprawiedliwa kara musiała się dopełnić.

W nocy z niedzieli na poniedziałek, już nad ranem Irma urodziła chłopczyka, który nawet nie zapłakał, lecz tylko trząsł się panicznie, jakby znał myśli matki. Irma miotła się w bólu i rozpacz. Przyniosła z kuchni nóż. Opaliła go nad świecą. Sama przecięła i zawiązała pępowinę, sama umyła maleństwo w misce i sama utopiła je w kanale, dokładnie w tym miejscu, w którym po latach miało zakończyć się jej stare życie.

Gdyby znalazła siły, gdyby zechciała poczekać do rana, dowiedziałyby się od małego gazeciarza, że właśnie w tym dniu, gdy zniknął jej Daniel, kilkuset Żydów zostało wyrwanych z domów i z pracy, i że wywieziono ich w głąb Rzeszy, do założonego przez Himmlera Dachau albo gdzieś dalej, do Auschwitz w okupowanej Polsce. Irma straciła głowę. Wydało jej się, że wszyscy ją śledzą. Wypchała sukienkę poduszką, zapłaciła czynsz i ze spakowaną walizką poszła nad Amstel. Dopisało jej szczęście. Do Utrechtu odpływała barka z węglem. Irma wynajęła u kapitana osobną kajutę. Zaryglowała się w niej jak w celi. Po dwóch dniach podróży kanałami wróciła do pustego domu, do drzwi i okien zabitych deskami, które straszyły sąsiedztwo po śmierci męża. Jej rodzina nie chciała jej znać. Irma także nie chciała nikogo widzieć. Zamknęła się w czterech ścianach. Nie miała przyjaciół. Jedyłą jej pociechą była ruda klacz, Musztarda, którą kupiła na targu. Ona jedna ją rozumiała, stukwała do okna w nadziei, że gospodyni poda jej cukier, i rżała radośnie, gdy Irma przynosiła jej z kuchni kromkę razowego chleba. Umiała ją cierpliwie żuć, od czasu do czasu rozgrzebując kopytami trawę.

„Musztarda” – to słowo najczęściej słyhać było w domu Irmy. „Goede morgen! Musztarda, goede morgen!”. Tak zaczynał się dzień. Irma wołała przez okno kudłatą klacz, potem szła do pracy. Odtąd w zamian za wyżywienie myła, karmiła i podcierała niedołącznych starców.

Nagle nieznajoma obróciła książkę grzbietem do góry i wyszła gdzieś. Magnus mógł teraz dyskretnie podejść i sprawdzić, co robił jego bohater. Lecz kto naprawdę był jego bohaterem? Przystojny Daniel, którego spopielono w krematorium, czy zrozpaczona staruszka?

Nieznajoma wróciła z deserem w pucharku. Siadła szeroko, jakby była sama, i zaaferowana nabierała łyżeczką galaretkę z fioletowej morwy. Jadła, nie odrywając wzroku od książki, i na nowo stawiała się zaszczutą Irma, zmieniającą chorem pościel, wycierającą ściekającą z ich ust ślinę, opróżniającą nocniki, pewna, że o „tamym” nie uda jej się nigdy zapomnieć.

Nieznajoma chwyciła nagle kartkę i jednym ruchem wrywała ją z książki. Zakryła oczy dłonią. Piotr Magnus siedział odrętwiały, jakby to on odpowiadał za wszystkie grzechy Irmy. Nieznajoma podniosła się. Kiedy mijała go, położyła na stoliku pomietą kartkę. – „To jest twoja zapłata – zdawała się mówić. – To ty, draniu, zmarnowałeś jej życie!” Przez chwilę byli daleko, zaglądając do brudnych okien Irmy. Próbowali razem odnaleźć Daniela, na próżno.

Magnus spojrzał na surowe oblicze Magellana. Czy sławny żeglarz stawiał sobie podobne pytania? A może był poprawny, jak jego bohater, któremu dobroć wręcz kapała z ust. Szczeniak miał w życiu pecha. Rznął cudzą żonę, marzył o atomach i gwiazdach, aż dorwali go hitlerowcy. Szlachetny do obrzydzenia, a może tylko naiwny bohater.

Wrócił do swego pokoju z przesyłką i pomietą kartką. Położył paczkę na stole. Wygladził kartkę. Na sto dziewięćdziesiątej trzeciej stronie wydał kolejny wyrok. Stara Irma potknęła się na progu swego domu i złamała biodro. Od tej pory (bo tak kiedyś zechciał) miała poruszać się na wózku inwalidzkim. Zdecydował, że będzie walczyć z bólem i przypominać sobie zadany komuś ból. Postanowił za nią, że sprzeda dom w Utrechcie i pieniądze odda na hospicjum. Potem, pogodzona z losem, miała przyszykować się do ostatniej, wymyślonej przez niego podróży. Irma

schowa do torby blaszane pudełeczko z tajemniczym zawiniątkiem i zamówi taksówkę do Amsterdamu. Zaplanowała wyjazd o świcie, choć to tylko dwie godziny jazdy, i przez całą drogę zamierzała cicho się modlić.

Magnus wrzucił do kosza kartkę z podróżującą Irmą. Nie mógł (jak ona) stale żyć przeszłością. Jego myśli zaprzętała teraz nieznajoma. Zastanawiał się, jak wygląda jej zwyczajny dzień. Zjadła w jego towarzystwie śniadanie i... To „i” musiało mieć przecież swój ciąg dalszy.

Około południa Magnus otworzył przesyłkę. W środku znalazł krótki list z nonszalanckim podpisem LMG:

*Drogi Panie Piotrze! Pomocnik Odile, François, znalazł to pod stolikiem. Nie chciał tego dłużej trzymać w barze, bo pochodzi z Senegalu i jest przesądny. Powiedział, że miało to należeć do Pana. Wykupiłem więc tę pamiątkę za pięćdziesiąt euro.*

*Pozdrawiam serdecznie, LMG*

W ten prosty sposób stare blaszane pudełeczko po tytoniu Richmond Medium Navy Cut wraz ze swą drogocenną zawartością zaczęło teraz należeć do Magnusa. Jego tajemniczy zleceniodawca, Guardian, wspaniałomyślnie poświęcił na nie „kieszonkowe”! Piotr Magnus odchylił wieczko, na którym rdza zaczynała trawić płynący po morzu żaglowiec. Zajrzał do środka i z obrzydzeniem natychmiast je zamknął. Nie miał zamiaru brać przesyłki do ręki. To coś wyglądało na poczerńiałego, skręconego robala. Wiedział, co to jest, i jednocześnie nie chciał tego wiedzieć. Został właścicielem czegoś, z czym Irma nie miała odwagi rozstać się przez całe życie. Niszcząca siła *Schizmy* na nowo dopadła Magnusa. Jakby nie dość było opisanych przez niego tragedii, otrzymał w nagrodę od Guardianu wyrzut sumienia Irmy – odciętą i zasuszoną pępowinę.

Z premedytacją sięgnął do szafy po butelkę Ballantine'sa. Odkręcił nakrętkę i bez ceregieli wlał w siebie potężny strumień whisky. Z trudem złapał oddech i jeszcze raz powtórzył zabieg, by poczuć dławiący ogień. Wrzucił osuszoną butelkę do kosza i zwałił się na łóżko z mocnym postanowieniem wyłączenia szarych komórek. A im bardziej tego pragnął, tym szybciej nieproszone przetaczały się przed jego oczami sceny z jego książek. Pojawiali się zwichni bohaterowie z idiotycznymi, planami, roztaczając przed nim iluzoryczne zwycięstwa. Po godzinie myślowej galopady ocknął się. Z trudem zwałił się z łóżka, siadł przy stole i włączył laptopa. Stukał w klawiaturę, myśląc się raz po raz, aż w końcu otworzył swoją skrzynkę mailową. Nie wierzył własnym oczom, jakby zobaczył szarlatański trik. Przy czerwonej chorągiewce (oznaczającej najwyższy priorytet) mrugał wesoło nowiutki mail od LMG! Magnus zaklął szpetnie i kliknął na załącznik.

*Szanowny Panie Piotrze! – z trudem czytał rozwijający się tekst. – Wybrałem Pana, bo Pan łamie zasady. Jest Pan, jak ja, typem samotnika i nie miał Pan w życiu szczęścia do prawdziwych przyjaciół. Świat książek to co innego, w nim czuje się Pan jak ryba w wodzie. Zazdroszczę Panu. Ja nie potrafię wykrzesać z siebie tak ekscytujących myśli. Lubię więc przyglądać się innym. Obserwować ich, tak jak Pan obserwuje w „Obłoku Magellana” moje zasuszone owady; może nawet mam chęć nadziać ich na ostrą szpilę, by skrócić te niepotrzebne męki. Widział Pan w „Obłoku” tylko niewielką część mojej kolekcji. Idę o zakład, że wpierw dostrzegł Pan moją ulubioną Cicadę speciosę. Natura nie poskąpiła jej skrzydeł – umieściłem ją więc na środku, by szokować. Zaraz po niej największe wrażenie robi opalizujący zielenią, tajemniczy (niczym wykuty w metalu) Chrysochroa rajah. Pochodzi z Malezji. Czy Pan da wiarę, że kosztował mnie ponad pięćdziesiąt dolców? Pomyśli Pan, że jestem sknerą, lecz muszę wyjaśnić, że zakup egzotycznego chrząszcza niewiele ma wspólnego z prowadzeniem sieci hoteli. To niezrozumiała, wręcz obezwładniająca pasja. Zaraziłem się*

nią od Clive'a, drugiego oficera na „Wendy”. Wspaniały i skromny człowiek. Pochodził z Ulsteru. Niestety spadł z trapu w wietnamskim porcie Da Nang, a jego ciała nie znaleziono do dzisiaj. Jest też w mojej kolekcji *Heliocopris dominus* (ulubiony egzemplarz Clive'a), w szeroki barach, rozparty na macie jak japoński zawodnik sumo. Dostałem go w Tajlandii za jedną puszkę piwa. Można go też kupić bez fatygi w internecie na *Insect Price List*. Gatunki z odłowu, nigdy niehodowane. Ktoś je wszystkie łapie, uśmierca i – jak Pan zauważył – wysyła na drugi koniec świata, byśmy je podziwiali. Ta nierówna walka trwa od setek lat. Niektórym gościom właśnie on, *Heliocoris*, obrzydza jedzenie. Jest ogromny. Widać go z każdego kąta restauracji. Rozpisałem się. Jeśli znajdę czas, napiszę Panu o innych, nie mniej interesujących eksponatach.

Łączę wyrazy szacunku...

PS Czy Pańscy przodkowie nie pochodzili przypadkiem ze sławnej osady Kucbork, leżącej nad Sawicą, o której pisał znany podróżnik Ibrahim Ibn Jakub? Podobno była tam ogromna huta żelaza, a potem papiernia. Pod drugiej stronie rzeki jest, zdaje się, mały zaniedbany cmentarzyk. Widziałem na Facebooku zdjęcie nagrobka Augusta Magnusa, który zszedł z tego świata w wieku osiemnastu lat. Zardzewiałą żeliwną tablicę niszczy dziś pochylona sosna. Czytałem, że ktoś specjalnie wywiercił w niej dziurę i nalał do pnia żrącego kwasu. Tajemnicza historia, nieprawdaż? Zdaje się, że my obaj bardzo lubimy takie historie! LMG

I znowu to LMG na końcu listu. Kim pan jest, do kurwy nędzy, panie LMG? – przeklął Magnus w duchu i poszedł chwiejnym krokiem do toalety. – Wszyscy pana znają – mówił na głos, oglądając swoje obnażone odbicie – lecz nikt pana jakoś do tej pory nie widział. W internecie nie ma żadnego pańskiego zdjęcia; nie znalazłem go na Twitterach, Facebookach, portalach klasowych, jakby celowo pan zadbał, by pański wizerunek nie

przedostał się do gawiedzi. Ciekawe, bardzo ciekawe! Leo Maksymilian Guardian. Brzmi jak nazwa brytyjskiej firmy ubezpieczającej diamenty. Kto dał panu te arystokratyczne imiona i wyzywające nazwisko? Nie wiedziałem, że pana specjalnością jest entomologia!

Magnus strzepnął krople moczu, zapiął rozporek i, ziewając, wrócił do pokoju. Nie miał pojęcia o starożytnej osadzie Kucbork ani o jakimś Auguście Magnusie, który leżał pod usychającą sosną. Położył się na łóżku, spojrzął na sufit ze wzorzystym plafonem przedstawiającym zwycięską armadę Magellana, a potem zamknął oczy. Przypomnił sobie inny cmentarzyk, który widział przed kilkunastoma laty, gdy jak rockowa gwiazda jeździł po kraju i promował swoje książki. Wracał wtedy z gminnego ośrodka kultury w G., w którym przedstawił czytelnikom swoją powieść *Noc*. Pamiętał, że spotkanie przeciągnęło się do późna i że bolała go głowa. Wyjechał więc tak szybko, jak mógł, zostawiając za sobą górujący nad wsią kościół, przy którym na starym klonie pokazała się podobno kiedyś Niepokalana Paniienka.

Chciało mu się zapalić. Po kilku kilometrach zjechał z krajówki w alejkę brzozową. Traf chciał, że zaparkował samochód przy wiejskim cmentarzyku. Z papierosem w ustach szedł wzdłuż zmurszałego drewnianego płotu, spoglądając na porośnięte chwastami nagrobki. Zza pobliskiego jeziora docierały do niego odgłosy wsi: muczenie krów wracających z pastwisk, pianie kogutów i pijackie śpiewy. W zagłębieniach terenu ścieliła się mgła wieczorna. Zaciekawiony pchnął drewnianą furtkę. Tuż przy wyschniętej studni natknął się na trzy świeże mogiły. Zaintrygowały go białe tabliczki umieszczone na krzyżach. Starał się rozwikłać ich zagadkę. Z enigmatycznych napisów wyczytał, że leżeli tam pacjenci z pobliskiego domu opieki społecznej: jakiś Wiktor, Agata i Celestyn, którzy zeszli ze świata tego samego dnia. Może zginęli w pożarze, może zjedli truciznę na szczury, a może utopili się w pobliskim jeziorze, chodząc po kruchym lodzie? Na tabliczkach nie było nazwisk.



Domyślił się, że prawdziwa była tylko data śmierci, a imiona z pewnością ktoś z personelu wymyślił. To dziwne wspomnienie odeszło tak samo nagle, jak przyszło. Magnus z trudem otworzył prawe oko. Zwycięska armada płynęła na suficie w rytm wygrywanej przez kogoś na wiolonczeli melodii.

Obudził się w środku nocy ze zdrętwiałym jak kołek językiem. Wyjął z lodówki butelkę Żywca, podważył nożem kapsel i bez odrywania od ust, wypił je do dna. Potem włączył się u niego wyćwiczony instynkt. Zapalił lampkę przy łóżku i sięgnął po przysłany mu przez LMG poplamiony zeszyt. Otworzył go, by natychmiast zmierzyć się z rozpasaną wyobraźnią Guardian. Zaczął czytać. Z początku cicho, a później na głos z jakimś błazeńskim, aktorskim zacięciem. Kilkanaście nieczytelnych słów nie zniechęciło go do lektury. Wciąż czytał, przedrzeźniając patetyczny ton LMG:

*...on, profesor Heinrich Guardian (któremu komuniści zakazali pracy nauczyciela i zatrudnili w jego dawnej szkole na etacie woźnego) oprowadzał mnie po gabinetach, gdzie szkielet człowieka i butelka lejdejska, wypchany jastrząb i połyskująca mika dawały nam odpowiedź, po co wszyscy żyjemy, gdy chmury gnają na oślep, a rzeka uparcie płynie, księżyc oświetla łąkę, na którą młodziutka sarna wychodzi skubać trawę i myśliwy strzela, a potem zdziera skórę i śpiewa swą barbarzyńską pieśń o porządku, który sam ustanowił, tak jak żołnierz spragniony zwycięstwa, gdy pokonuje swą słabość i zamienia się w bestię, biegnącą napić się krwi, bo jej porażający zapach zaślepia jego sumienie... No, no, no! Zachciało się LMG filozofii! Zadowolony z siebie dalej przewracał kartki, by natknąć się w zeszyciku na kolejny smaczek: Pewnego popołudnia Charlotte Guardian, córka profesora, zabrała mnie do swego królestwa, by przypomnieć mi, że nie jestem jej bratem. Jej genialna kryjówka mieściła się pod sceną szkolnej auli i żeby się do niej dostać, należało niepostrzeżenie przemknąć się przez kotłownię, a potem bocznymi schodami wejść na wysoki parter i stamtąd*

pustymi korytarzami dojść na drugie piętro szkoły pod drzwi, do których miała dorobiony wytrych.

– Nie patrz się, teraz się nie patrz! – mówiła i majstrowała w zamku z taką wprawą, jak zawodowy kasiarz, by po chwili doprowadzić mnie pod scenę i nagle zniknąć pod nią, przeciskając się między drewnianymi stopniami schodów jak śliski wąż. W półmroku, w ciepłe bijącym od zakurzonych kaloryferów, Charlotte częstowała mnie sucharkami ze skórek chleba, które wieszała w płóciennym worku przy okrągłym oknie z widokiem na stację kolejową i poniemieckie koszary, a kiedy miała dobry humor, wyciągała spod desek, ze skrytki suflera, stary anatomiczny atlas i rozkładała ryciny, tak jak się otwiera kościelny ołtarz, lecz zamiast Matki Bożej widać było czerwoną wątrobę, a zamiast Jezuska jaśniała w nim ślepa kiszka, żołądek i serce, zaś na innych kolorowych kartach Charlotte pokazywała mi odarte ze skóry mięśnie i przekrojonego męskiego penisa, z którego podśmiewała się, nie mogąc uwierzyć, że jej kochany tatuś splodził ją z tej cherlawej armatki, a kiedy zabierała mnie ze sobą pod scenę, powtarzała z powagą, że zawsze może mnie wydać, bo jestem bękartem i nie mam prawdziwego imienia i nazwiska tylko durne przydomko – Szczurek – więc mam być jej posłuszny, ile razy zechce, kiedy będzie mnie rozbierać i dotykać mojego przyrodzenia, bawiąc się w lekarza i rozkazując, bym także ją dotknął i dmuchał jej w sutki, udając wiatr na brzegu jeziora, gdy rozchyła jej sukienkę, a ona biegnie do wody, bryzga nią wokół, a potem rzuca się na mnie na oślep, całując do krwi, i zawsze wstydziałem się tego i bałem, że mnie wyda, że jej ojciec wyrzuci mnie z domu i znowu będę uciekał, szukając nowych miejsc, przed wspomnieniami z ochronki, jak przed powszechnym szaleństwem, o którym opowiadał mi Guardian, który w piwnicznym laboratorium wystawił mi metrykę urodzin (specjalnie zmieniając nazwisko!), dobierając imiona sławnych ludzi – Leo, od Leó Szilárda, który błagał na klęczkach Trumana, by nie pozwolił na użycie pierwszej bomby atomowej, i Maksymilian, od

księdza Maksymiliana, który dobrowolnie poszedł do bunkra na głodową śmierć – bo dość miał cierpień i marzył o tym, bym przejął część ich tajemnic, których sam poszukuje, katalogując płatki śniegu, tak piękne jak wielki kosmos, obojętny na wszystko, gdy tu na ziemi od stuleci dzieje się horror. Pewnie dlatego Charlotte Guardian znalazła swoją kryjówkę pod sceną i kiedy dzieci wychodziły ze szkoły, ona zanurzała się ze mną w ciemność wolna od szyderstw, że jest „głupią Niemką”, żując skórki od chleba przy małym oknie z widokiem na kolejową stację, oglądała eszelony z polskim wojskiem i węglarki, którymi jechał węgiel posypany wapnem z Czerwonego Śląska do elektrowni Skandawa albo zboże od ludu pracującego z Polski dla Kraju Rad, i spoglądała na płataninę szyn z zakładów Kruppa, z których jeden tor skręcał ostro w stronę Ziegenberg (Koziej Góry), po którym jej matka została wyprawiona na Sybir i którym miała wrócić, bo Charlotte nigdy nie pogodziła się z jej śmiercią, tak samo jak ja nie wierzyłem w śmierć swojej matki, której nie znałem, a której profesor Heinrich Guardian dał w mojej metryce na imię Teresa, żebym pamiętał o św. Teresie z Francji, co uczyniła tysiące cudów, wracając do życia zmarłych, uzdrawiając ślepych i dając wiarę tym, co zwątpili w to, że na tym świecie można jeszcze znaleźć misterny szyfr – zrzuconą przez Pana Boga śnieżynkę i ogromnego Murzyna z Mali, który założył to miasto, o czym profesor Guardian był święcie przekonany, gdy oglądał pod lupą wykonaną z kości słoniowej pieczęć. I mówił jeszcze coś, co brzmiało jak rojenia, że bardzo blisko, tak blisko, że większość ludzi w to wątpi, istnieje wspaniały świat, który pewnego dnia otworzy się dla wszystkich, by on, Charlotte i jej matka podali sobie ręce, dlatego on uczyni mnie swoim uczniem i przekaże mi całą swoją wiedzę, lecz tego samego dnia, gdy profesor ujawnił mi swoją tajemnicę, po południu przetoczyła się nad miasteczkiem potężna burza i powyrywała drzewa w parku jak rzodkiewki i wtedy Charlotte Guardian zdradziła mi jeszcze większy sekret: „deszczowych skarbów” i zdjęła buty, i przemierzyła ze mną bosą metr po

*metrze wybrukowane podwórko za kościołem św. Piotra i Pawła, by znaleźć na moich oczach zardzewiały guzik od munduru kolejarza, zaśniedziały szeląg i bursztynowy kamyk, który wzięła pod słońce, i mówiła o rzeczach, których nie rozumiałem, że dokładnie w tym miejscu, gdzie byliśmy, z widokiem na fosę i krzyżacki zamek, szumiało kiedyś morze i pływał w nim gruby wieloryb, i że kiedyś znowu tak będzie, bo jej ojciec wyczytał to wszystko z jednej zamarznętej kropli. A potem, z kieszeniami pełnymi deszczowych skarbów, zaciągnęła mnie do kościoła, by pokazać swoje ulubione miejsce pod cudnym reliefem Arki, skąd jej wystraszone myśli uciekały w popłochu przed poślaczanym lwem, antylopą i gołębicą (która sfrunęła na dach największej w świecie pływającej stodoły, by zdążyć przed nadciągającym potopem), i była tak samo zamyślona, jak JGH, sławny filozof, który urodził się w naszym miasteczku i z tego samego miejsca jako mały chłopiec podziwiał barokową ambonę, z której ksiądz wypatrywał grzeszników, zasypiających nad modlitewnikiem, ziewających skrycie i kierujących poządlivy wzrok na gruby warkocz, spleciony jak żydowska chała.*

Przed śniadaniem ktoś zapukał cicho do drzwi. Magnus wyszedł zaspany na korytarz i zobaczył panią Ewę Munier. Blondynka błagała go, by wysłuchał historii, którą niedawno opowiedział jej syn. Ubrał się więc szybko i zszedł do recepcji, gotowy zamienić się w słuch, lecz Jean-Pierre się zawstydził. Obecność pisarza nie ułatwiała mu zadania. Ze spuszczonego wzrokiem oznajmił, że jego ojciec wszedł do hotelu, a potem schował się za akwarium.

– A jeśli on nie fantazjuje? – zapytała pani Munier, wbijając wzrok w Magnusa. – Co wtedy? Nie można lekceważyć najmniejszej wskazówki. Za akwarium są jakieś drzwi. Trzeba sprawdzić, co się za nimi kryje.

– Z pewnością można przypuszczać... – zaczął.

– No właśnie... – Nie dała mu skończyć. – To jest jakiś ślad. Trzeba będzie zawiadomić policję. Cała trójka stanęła za akwarium na końcu

krótkiego korytarza, przed pomalowanymi na biało drzwiami. Mały nie wytrzymał i złapał za mosiężną klamkę.

– Tata musiał tam wejść! – krzyczał, szarpiąc. – Tata musiał tam wejść! Mamo, trzeba je zaraz otworzyć!

Kasia się uśmiechnęła.

– To są przedwojenne drzwi – wyjaśniła. – W naszej kamienicy mieszkała artystyczna bohema. Sławny malarz, który malował nagie kobiety na koniu, zapomniałam jego nazwiska, i jeden operowy śpiewak, na „zet”, co występował w Paryżu, na pewno o nim słyszeliście. Przed przebudową prawego skrzydła było tu dodatkowe, nierzucające się w oczy wejście. Lokatorzy nie chcieli, by te panienki... hm, hm. – Zakaszłała znacząco. – Stary, zardzewiały zamek. Niestety nie mam do niego klucza. Z początku pan Gaurdian miał zamiar drzwi zamurować, lecz potem zmienił zdanie. Stwierdził, że przydadzą się, gdy wykupi resztę kamienicy. Drzwi były okazałe. Wyrzeźbiony w drewnie roślinny motyw przypominał świetność secesyjnej kamienicy. Jean-Pierre szarpnął ze złości za klamkę, a potem zajrzał przez dziurkę od klucza i niemal natychmiast odskoczył jak oparzony.

– Co się stało? – zapytała pani Munier.

– Tam ktoś jest i...

– I co? – Kasia ciągnęła go za język.

– Miał ohydne oko, którym na mnie patrzył.

Przestraszony malec schował się za matkę. Pani Ewa Munier spojrzała na Magnusa znacząco. Byli pewni, że chłopak fantazjuje.

– Pewnie dostał w nie kamieniem i zalała go krew – powiedział Magnus z grobową miną, zaglądając przez dziurkę od klucza.

– Niech pan głupio nie żartuje! – upomniała go Munier, a potem przytuliła syna i by odwrócić jego uwagę, zaprowadziła go do automatu z colą. Wrzuciła dwie monety; słychać było łoskot, potem huk spadającej puszkę, a na końcu okrzyk radości małego Jean-Pierre’a. Ewa Munier cicho

rozmawiała ze swoim synkiem, po czym, obrażona, oddaliła się bez pożegnania.

– Ta ma niezły tupet – rzuciła za nią Kasia. – Tylko po co udaje przed panem niewiniątko?

Magnus wrócił do pokoju. Otworzył brudnopis i szybko naszkicował flamastrem rzut parteru z zaznaczeniem ślepego korytarza. Za nieużywanyymi drzwiami była klatka schodowa, z której korzystali lokatorzy drugiego skrzydła kamienicy. Można byłoby się przez nią dostać do niewykupionych przez LMG mieszkań lub też na podwórze albo wyjść na ulicę obok piekarni. Załóżmy, że pan Claude naprawdę wyszedł tymi drzwiami i znalazł się na klatce schodowej. Czy kogoś spotkał? Musiał przejść przez podwórko, bo na ulicy jego żona czekała z synem w taksówce. Magnus przemyślał trzy wersje wydarzeń. Pierwsza zakładała, że pan Claude znalazł się na sąsiednim podwórku, druga, że zniknął w którymś z mieszkań, a trzecia, że niezauważony wmieszał się w tłum na ulicy. Ta ostatnia wydała mu się najmniej prawdopodobna. Im bardziej się nad tym zastanawiał, tym większą miał chęć zabawić się w detektywa. Postanowił pod jakimś pretekstem dostać się do mieszkań i przepytac lokatorów. Planował też dokładnie rozejrzeć się na podwórku. To wszystko miał zamiar zrobić jeszcze tego samego dnia po południu.

Po śniadaniu w „Obłoku” przez ponad trzy godziny męczył się nad kilkustronicowym fragmentem biografii Guardiana i wciąż nie potrafił znaleźć do niego właściwego klucza. W końcu Magnus się poddał. Wyłączył laptopa i nałożył płaszcz. Zabrał z półki kapelusz i wyszedł do miasta na spacer. Miał chęć przejść się wzdłuż murów obronnych, ulicą św. Krzyża do Bernardyńskiej, trasą, którą przemierzał niezliczoną ilość razy, gdy był studentem. Pod Wawelem postanowił wydłużyć spacer. Stromymi schodkami wspiał się na Wzgórze Królewskie, by zobaczyć panoramę miasta, lecz tego dnia powietrze zanieczyszczone było smogiem. Na domiar złego wiał lodowaty wiatr, więc postawił kołnierz i nacisnął kapelusz na

oczy. Szybkim krokiem zszedł do Smoczej i, widząc płynącą po rzece krę, całkiem stracił ochotę na dalszą wędrówkę. Pierwszy raz pisał na zamówienie. Nie odpowiadała mu rola wyrobnika. Zamiast tworzyć, był zmuszony przepisywać myśli Guardiana jak średniowieczny skryba. Kierując się w stronę Miodowej, sięgnął do kieszeni po komórkę i wystukał numer syna. Chciał mu oznajmić, że niedługo przyjeżdża, że zrobi sobie w pisaniu przerwę, lecz telefon Pawła milczał. Po kilku minutach ponownie wybrał jego numer. W słuchawce odezwał się niespodziewanie kobiecy głos, a potem Magnus usłyszał przyciszone: „Zdaje się, że to do ciebie!”. Paweł długo się ociągał, jakby nie chciał rozmawiać.

– Czy coś się stało? – wydusił z siebie wreszcie.

Magnus wyczuwał jego niechęć do rozmowy.

– Pomyślałem, że wpadnę do domu. Chciałem, byś...

– Rozumiem... – Chłopak zastanawiał się nad czymś. – Sądziłem, że zadzwonisz w piątek.

– Dlaczego akurat w piątek?

– Nieważne, w piątek miałem urodziny.

Magnus nie mógł znaleźć słów.

– Przepraszam. Byłem zapracowany – powiedział.

– Ciągle...- ... jesteś zapracowany, jasne! – Nie dał mu skończyć. – Dobrze się składa, że dzwonicz, bo i tak miałem zamiar ci o tym powiedzieć. Obaj milczeli, zbierając myśli. – Jest u mnie Sylwia. Mówiłem ci o niej. Studiujemy na jednym roku. Powinieneś ją poznać, bo...

– Bo? – rzucił Piotr do słuchawki.

– Będziemy mieli dziecko – Paweł mówił bez zająknienia – a ty zostaniesz dziadkiem.

Magnus obrócił się w stronę synagogi Tempel. Nie odzywał się przez kilka sekund, próbując zebrać myśli. Na tle otwartych wejściowych drzwi jakaś szkolna wycieczka robiła sobie zdjęcie. Krzykliwa chuda

nauczycielka starała się zapanować nad rozwydrzoną młodzieżą i wywoływała opornych po nazwisku.

– Tato? – Usłyszał w słuchawce głos syna i wiedział, że teraz będzie najtrudniejsze, że Paweł będzie chciał go o coś poprosić.

– Tak?

– Powiedz o tym matce. Ty masz z nią lepsze układy. Obiecuj, że jej o nas powiesz.

Zabolały go te słowa. Brzmiały, jak pożegnanie z nim i z Martą. Odebrał je jak rechot historii, która mściła się na nim po latach. Był taki sam jak Paweł i nie mógł się tego wyprzeć. Pamiętał, że tak jak on za wszelką cenę chciał być dorosły. Tylko dlatego wybrał uczelnię na drugim końcu kraju, by uwolnić się od rodziców. Chciał dać im i sobie święty spokój. Przez całą szkołę średnią interesowała go technika. Marzył, by zostać inżynierem, budować mosty, lecz z jakiejś wewnętrznej idiotycznej przekory, gdy zdał maturę, postanowił studiować filozofię. Udało się i na kilka lat zadomowił się na Grodzkiej. Potem nie mógł już się poddać. Dniami i nocami ślęczał nad podręcznikami. By sprostać swojej chorobliwej ambicji, czytał Arystotelesa, Kanta i Kierkegaarda. Jego naiwność nie znała granic. Chciał przenieść świat i dać innym swój przepis na życie. Na piątym semestrze jego esej o światach równoległych został opublikowany po angielsku w prestiżowym europejskim piśmie. Niespodziewanie dostał zaproszenie na konferencję do Wiednia i honorarium w szylingach. Nadarzyła się wyjątkowa okazja, aby wyjechać z kraju. W całej sprawie był jeden mały szkopuł: miał się tam udać w towarzystwie sprawdzonego przez komunistyczny reżim opiekuna. Piotr Magnus zaliczył kolokwia i zdał egzaminy. Dostał pozwolenie od dziekana, potem zaś odpowiedział na dziesiątki pytań w biurze paszportów. Już wtedy miał swój cel, którego nikomu nie zdradził. Zrealizował go w pełni po konferencji. W trakcie uroczystego bankietu pod pozorem wyjścia do toalety wrócił do hotelu. Zabrał z pokoju walizkę i udał się do kościoła



Świętego Krzyża, przy którym działała Polska Misja Katolicka. Po miesiącu, dzięki wsparciu księży, wyjechał do Królestwa Niderlandów. Był wolny, lecz wciąż zastanawiał się nad skutkami swojej decyzji i miał wyrzuty sumienia, że jego rodzinę nachodzi bezpieka. Był jednak przekonany o swojej racji. Rzucił studia, by wziąć się za bary z życiem. Na początku upojony wolnością przyłączył się do komuny międzynarodowej. Z takimi samymi jak on godzinami bujał się na ulicach, podśpiewując „Hare, hare”. Potem gdy skończyły się pieniądze, zmywał naczynia w nocnych barach, sprzedawał gazety, remontował mieszkania i pracował w stoczni. Był jednym z miliona wolnych i nikogo nie interesowały jego poglądy. Magnus chłonał ten wielki obcy świat, który połknął go i po trzech latach wypłuł na brzeg, jak wieloryb Jonasza.

Wrócił do kraju po wolnych wyborach i nikt nie miał zamiaru go ścigać. Obóz socjalistyczny trzeszczał w szwach. Padł berliński mur, Czesi i Słowacy świętowali aksamitną rewolucję, nawet u Rosjan zapanowała moda na *glasnost*. W atmosferze tych przeobrażeń skończył studia i schwycił za pióro. Jego debiutancką powieść *Noc*, w której opisał przemiany władzy, krytyka okrzyknęła prawdziwym świadectwem odnowy. Zapraszano go na salony, udzielał wywiadów. Tym sposobem mógł wreszcie dawać innym własny przepis na życie. Był z siebie dumny. Zdobył dyplom i wyjechał na obóz narciarski w góry. W schronisku na Polanie Chochołowskiej poznał Martę. Spodobała mu się czarnowłosa dziennikarka z „Rzepy”, jej zaś imponował brodaty i przystojny literat. Nie odstępowali się na krok, a po roku pojawił się Paweł, owoc ich szalonej miłości.

Magnus obrócił się na pięcie i pomaszerował w stronę rzeki. Kiedy dotarł nad obetonowany brzeg, wyjął z kieszeni telefon i kolejny raz wystukał numer syna. Paweł odebrał natychmiast, jakby czekał na przeprosiny. Mówili jednocześnie. Nie mogli się sobą nacieszyć. Piotr Magnus pogratulował synowi i Sylwii. Oświadczył, że rola dziadka bardzo mu odpowiada. Paweł z dumą przyjął te gratulacje i po chwili podzielił się

swoimi spostrzeżeniami związanymi z plikami przechowywanymi na komputerze ojca.

- Muszę cię zmartwić, nie byłem sam!
- Co to znaczy? – Czekał na wyjaśnienia.
- Ktoś włamał się do twojego systemu.
- Czy skopiował dane?
- Wszystko miał na tacy. Czy otwierałeś ostatnio jakąś przesyłkę?

Jakieś „ciasteczko”, zdjęcie, prezentację?

- Pewnie tak, nie pamiętam.
- Czy sprawdzałeś pocztę?
- Wiele razy, pisał do mnie mój Guardian.
- Podaj mi jego adres. Spróbuję coś ustalić. Piotr Magnus podyktował

synowi mailowy adres LMG, a potem uspokojony ruszył w drogę powrotną do hotelu. Paweł oddzwonił po półgodzinie.

- Co ustaliłeś?
- Miałem rację. Twoja przeglądarka ma lukę.
- Jaką lukę?
- Niekontrolowany dostęp do twojej książki adresowej, do twoich zdjęć i bazy danych. To bardzo chytry lis, użył keyloggera.

- To znaczy?
- Że wszystko o tobie wie. Przeskanował twój twardy dysk, zrobił zrzuty ekranu. Musiało mu na czymś zależeć.

– Ktoś czyta biografię Guar...

– Spokojnie, staruszkule, bez paniki. Pozwoliłeś hakerom kontrolować swego kompa. Wysłali ci załącznik, a ty nieświadomie go otworzyłeś. To jakaś zakamufLOWANA firma. Ma sto zabezpieczeń. Kody dostępu i podwójne hasła.

– I co teraz?

– Są cholernie przebiegli, przynajmniej tak im się wydaje. Kiedy wrócisz do hotelu, napisz coś do mnie, a ja będę ich cierpliwie namierzał.

– Co?

– Cokolwiek. W ich systemie musi być jakaś szczelina, moja w tym głowa, żeby ją odnaleźć. Paweł nagle zmienił temat. – Tato, co z matką? Co ci powiedziała?

– Nie było jej. – Magnus skłamał bez zająknięcia i natychmiast dodał, że zadzwoni do niej później. Schował komórkę do kieszeni i ruszył w stronę Grodzkiej. Na Bernardyńskiej, po drugiej stronie ulicy, dostrzegł kobietę w czarnym płaszczu, pchającą w stronę przychodni lekarskiej wózek inwalidzki ze zgarbionym starcem. Sam nie wiedział, dlaczego obejrzał się za tą parą. Po kilku sekundach ponownie obrócił wzrok, lecz wtedy stracił ich z oczu, bo wejście do przychodni zasłonił grafitowy passat. Samochód szybko odjechał. Magnus już go wcześniej widział, jednak nie mógł sobie przypomnieć gdzie.

Nie pamiętał, kiedy ostatnio rozmawiał z Martą. Na dobre stracił ją z oczu ponad rok temu. Ich zerwanie zbiegło się z jego wyjazdem do Francji i chorobą jego ojca. W maju, kiedy ciężko chory ojciec leżał w szpitalu, Piotr Magnus udał się na kilka dni do Paryża odebrać nagrodę krytyków francuskich za powieść *Ostatni szept*. Po powrocie pojechał taksówką prosto do szpitala, by sprawdzić, jak ojciec się czuje, i zdać mu relację ze swojej podróży. Gdy powtórzył Marcie rozmowę z nim, powiedziała, że konfabuluje. Nie mogła uwierzyć, że Piotr ostatniego dnia wizyty, gdy zwiedzał bazylikę Sacré-Cœur, zobaczył sobowtóra zmarłej przed dwoma laty matki.

– Stała jak żywa na schodach prowadzących na szczyt wzgórza – opowiadał. – Ubrana była w swoją szarą podomkę i znoszone klapki. Jedną ręką trzymała się stalowej poręczy, a w drugiej ścisnęła plastikowy kubek. Kiedy spojrzała mi w oczy, przebiegły mnie ciarki. Nie odzywała się i gestem poprosiła o jałmużnę. Wrzuciłem jej do kubka kilka euro. Myślałem, że zwariowałem. Zbiegłem w dół, w stronę Rue Muller, i nie oglądałem się za siebie.

Marta słuchała jego opowieści z kamienną twarzą.

– Ojciec wcale nie był zaskoczony. Powiedział, że on też tam był.

– Gdzie? W Paryżu? Opowiadasz bzdury!

– Wcale nie i na dowód opowiedział mi swój sen.

– Jaki znowu sen?

– Kiedy byłem w Paryżu, przyśnił mu się cmentarz Père-Lachaise i grób Abelarda i Heloizy, przy którym ja zatrzymałem się na chwilę. Ojciec miał gorączkę, więc byłem pewien, że fantazjuje, lecz on upierał się, że to najszczęśliwsza prawda. Wtedy wyjąłem z kieszeni zdjęcia, a on bezbłędnie wybrał to, które przedstawiało grobowiec nieszczęśliwej pary.

Marta wyśmiała go. Powiedziała, że zostawił swego ojca w najważniejszym momencie i że ten nie mógł spokojnie umrzeć, bo jego synalkowi zechciało się zabrać cztery litery i ruszyć w świat. Dodała, że przez wszystkie lata, gdy żyli ze sobą, nigdy nie był dla niej podporą. Nie mieli wspólnych wakacji jak normalni ludzie, bo wszystko podporządkowane było jego cholernej twórczości. Ledwie przyjeżdżał i od razu gdzieś znikał, wierny bohaterom swoich książek, a nie rodzinie. Potem otwarcie przyznała się, że w ciągu tych czterech dni, gdy był w Paryżu, spotykała się ze swoim kolegą z redakcji. Wkrótce przeniosła się do niego i wystąpiła o rozwód. Na sali sądowej zamiast zachować powściągliwość opowiadała wciąż te same bzdury, jakby chciała się na nim publicznie zemścić.

Zaabsorbowany wspomnieniami, dotarł do swego hotelu i sięgnął do kieszeni po plastikowy klucz. Nagle zmienił zamiar. Zaciekawiony go wejściowe drzwi do sąsiedniej kamienicy. Były na wpół otwarte i wręcz prowokowały go, by wszedł do środka.

Tylko przez sekundę wahał się, a potem zrobił krok w śmierdzącą fekaliami sień. Chciał się dowiedzieć czegoś w sprawie Claude'a Muniera. Nadarzała się okazja, by wyjaśnić jego zniknięcie. Musiał sprawdzić rojenia

Jeana-Pierre'a i ustalić, czy faktycznie ojciec chłopca wszedł przez drzwi w recepcji do sąsiadującej z hotelem kamienicy.

Postawił kolejne kroki, by przekonać się, że klatka schodowa od wielu lat nie była odnawiana i że farba odpadała wraz z tynkiem, tworząc na lamperii wieloramienny, liszajowaty wzór. Ktoś narysował nad nim ogromnego czarnego fallusa i namazał różowym sprayem, przypominającym wyciekającą spernę: *Zapomniałem o was – Bóg*.

Cofnął się. Stał przy oplutej i stłuczonej gablocie. Na pożółkłym papierze widniały tylko dwa ledwie czytelne imiona i nazwiska: Zofia Góra i Aleksander Mosich. Według Magdy, recepcjonistki, pozostałe mieszkania w kamienicy zaanektował na swe potrzeby rozbudowujący się hotel.

Nie wiedzieć dlaczego przypomniał sobie w tym momencie pewien obrazek ze studenckich czasów, gdy był ankierem spisu powszechnego. Odwiedził wtedy kilkadziesiąt rodzin na Krowodrzy, jednej z dzielnic Krakowa. W ciągu tygodnia dowiedział się o życiu więcej, niż ze wszystkich przeczytanych książek. Szczególnie zapamiętał jeden wieczór, gdy z arkuszem spisowym i długopisem przydziałowym trafił do sutereny, mieszczącej się w przedwojennym bloku pod drewnianymi schodami. Żarówka zwisająca na kablu była przepalona, więc dopiero gdy jego oczy przywykły do półmroku, ujrzał w barłogu stwory przypominające ludzi. Na jego widok zamroczeni alkoholem lokatorzy wyczołgali się z pościeli. Nie pamiętali dat swoich urodzin ani tego, skąd się tam wzięli. Żyli, jakby ich nie było, tworząc przed nim przerażającą, „kantorowską” dekorację.

Magnus zastukał pod jedynekę, do obitych blachą drzwi, a kiedy nikt mu nie odpowiedział, ruszył na górę. Na półpiętrze natknął się na niespodziewaną przeszkodę: drogę zagraadzał mu rozciągnięty w poprzek schodów pijany jak bela chłopak.

Nachylił się nad leżącym. Pijaczek miał wysokie czoło i spadające na ramiona kucze włosy. Głowa, niczym antyczna rzeźba, spoczywała na

poduszce (skąd poduszka na korytarzu?), koszula wyszła mu ze spodni, a jeden wykoślawiony but leżał kilka stopni niżej.

Najzabawniejsze było to, że chłopak nie był sam. Pilnował go skrzydlaty strażnik: siwy gołąb. Zdenerwowany ptak dreptał przy głowie pana i bacznie obserwował intruza, śmiesznie przekrzywiając głowę. Kiedy Piotr zrobił krok, by przejść nad pijackiem, skrzydlaty obrońca wzbił się w powietrze i z furią go zaatakował.

Magnus przeskoczył kilka stopni wyżej, zawadzając nogą o poręcz. Gołąb miał niespożytą energię. Jak nurkujący myśliwiec przeprowadzał atak za atakiem na jego głowę. Magnus spróbował go odpędzić; na szczęście chłopak nagle ocknął się i podniósł głowę znad poduszki. Wtedy gołąb stracił zainteresowanie nieznanym i przysiadł na ramieniu młodzieńca.

– Stało się coś? – bełkotał chłopak. – Co tu się, do jasnej cholery, dzieje?

– Szukam Mosicha, pana Mosicha – skłamał, przypominając sobie nazwisko lokatora spod trójki.

– To powodzenia! – Chłopak poprawił poduszkę i zamknął oczy. Po chwili otworzył jedno oko i przyjrzał się podejrzliwie gościowi spod długich rzęs. – A może przyszedł pan po obraz?

– Jaki obraz? – zapytał Magnus, powoli wycofując się.

Kiedy był na półpiętrze, usłyszał pijacki krzyk.

– Panie ciekawski, przyjdź pan jutro. Jutro obraz będzie gotowy!

Wrócił do hotelu i kiedy zastanawiał się przy windzie nad komicznym zdarzeniem, niespodziewanie wyrosła przy nim pani Munier i poprosiła (który to już raz?), by pomógł jej uspokoić Jean-Pierre'a.

Kiedy weszli do jej apartamentu, blondynka wskazała mu fotel przed kominkiem. Zapaliła pachnącą kokosem świecę i przyniosła z lodówki butelkę czerwonego martini, którego nie znosił. Otworzyła bombonierkę

z czekoladkami, on zaś usłużnie odkręcił nakrętkę i napełnił dwie lampki do połowy.

– Pomyślałam, że już dawno powinniśmy się napić – powiedziała, przewracając oczami. – Znamy się przecież wystarczająco długo i nie widzę powodu, byśmy przed sobą udawali. Tak w ogóle, to mam na imię Ewa i przepraszam za całe zamieszanie.

– Piotr! – Odpowiedział, całując się z nią w ekspresowym tempie.

Ewa Munier zawołała syna, który tarzał się w drugim pokoju na podłodze z Leonem. Patrzyła wyrozumiale, jak mały garściami wybrał z pudełka czekoladki, a potem włożył palec do jej kieliszka i szybko go oblizał. Wtedy czule dała mu po łapie i zaczęła opowiadać, jakby przed chwilą przerwali rozmowę.

– Widzisz, przy tobie od razu jest inny. To chyba prawda, że do wychowania chłopców potrzeba mężczyzn.

Magnus uśmiechnął się uprzejmie.

– Sama nie wiem, po co tu przyjechałam – powiedziała, poprawiając kokieteryjnie uczesanie. – Przekonywałam go, że to bez sensu wyjeżdżać z Paryża do Polski, ale on się uparł. Mówił, że wreszcie został doceniony. Za osiągnięcia w pracy dostał w nagrodę dyplom i czek na... – Ewa ugryzła się szybko w język – ...od jakiego ważnego sponsora, no i jeszcze zaproszenie do tego hotelu. Tydzień w hotelu „Guardian”. *All inclusive*. Pięknie brzmi, szkoda gadać!

– I nie powiedział ci – to „ci” ledwie przeszło mu przez gardło – od kogo?

Ewa wypła pokaźny łyk.

– Claude? – obruszyła się. – Chyba żartujesz? To prawdziwy macho! Myśli, że wszystko wie, nawet co mam włożyć pod sukienkę.

Do rozmowy wtrącił się Jean-Pierre, który wdrapywał się matce na kolana. Ewa delikatnie odepchnęła go, pozwalając mu tylko uwiesić się

rękami na swojej szyi. Wtedy chłopiec z tajemniczą miną szepnął jej coś do ucha.

– Dlaczego mi wcześniej o tym nie powiedziałaś? Powiedz głośno, w tej chwili! Pan Piotr czeka.

Mały czuł się panem sytuacji. Ze wzrokiem utkwionym w gościa, wyraźnie akcentując każde słowo, oznajmił przemądrzale:

– Kiedy schodziliśmy do taksówki, widziałem, jak mój tata odebrał esemesa!

– No to mamy kolejną zagadkę. Może zechciałbyś nam zdradzić, synku, co tam było napisane, a nie mądrzył się przed panem Piotrem – powiedziała, patrząc na Magnusa inaczej niż zwykle, zalotnie.

Mały jak aktor wykorzystywał sytuację. Zamykał oczy i przykładał do nich zaciśnięte pięści.

– Tata miał coś od kogoś kupić! Sam mi powiedział, że na coś czeka.

– Na coś, od kogoś! Ociwiści, tylko wy, menźciźni – parodiowała wymowę Claude’a – wiecie o wszystkim, bo ja jestem dla was głupia blondynka.

– Wcale nie! – powiedział przemądrzale chłopczyk. – Tata chciał kupić sobie miecz i rycerską zbroję!

– Zbroję? – zapytał poważnie Magnus.

Jean-Pierre uśmiechnął się i zaraz dodał, że tylko żartował. Na wszelki wypadek, widząc podniesiony palec matki, który oznaczał zagrożenie, wybiegł do drugiego pokoju męczyć gada.

– Ja chyba z tym gówniarzem zwariuję! Mam uwierzyć, że jego ojciec zostawił nas – Ewa mrugnęła znacząco do Piotra – bo zamarzyła mu się skrzypiąca zbroja? Chciał ją chyba zapakować razem z mieczem do swojej rakiety i wysłać ufoludkom w kosmos.

Pośmiała się ze swego dowcipu i zaraz umilkła. Niecierpliwie naląła martini po brzegi do pustych lampek, trąciła się z gościem i całkiem przypadkowo położyła dłoń na jego udzie. Trwało to tylko tyle, by mogła



sprawdzić jego reakcję. Poniosło ją. Po jej minie Magnus widział, że więcej tego testu nie powtórzy. Właściwie mógłby już pójść, lecz Ewa Munier błagała go, by jeszcze został.

– Czuję się obco w tym mieście – wyznała. – Gdybyś wiedział, Piotr, jak ja kocham Paryż i nienawidzę Claude’a!

Po tym wybuchu zaczęła mu się raptem zwierzać. Opowiedziała, jak poznała swego męża, i jeszcze raz przeżywała ten moment, gdy po pokazie mody w Rouen Claude wręczył jej pod drzwiami do garderoby swój wizytowy bilet.

– Ze szczęścia myślałam, że ocipię, a moja matka po moim telefonie ryczała jak bóbr! Natychmiast rozwiązałam kontrakt z agencją, przestałam kręcić tyłkiem na wybiegu i zostałam z nim aż do... no, sam wiesz... – Nie skończyła, bo nagle znowu coś sobie przypomniała. – Tylko mnie za to nie zabij! On zawsze rano, o tej samej porze, wychodził z hotelu. Na punkcie sportu miał niezłego fisia. Codziennie biegał po kilka kilometrów, zostało mu to z czasów, gdy grał w koszykówkę, więc kiedy jeszcze z małym spaliśmy, on wkładał dres i wybiegał do miasta.

Magnus udawał, że pije. Przysłuchiwał się opowieściom i oczami wyobraźni widział Claude’a biegnącego pustymi ulicami.

– Może kogoś spotkał? – Ewa pociągnęła łyk. – On bardzo łatwo nawiązywał kontakty. Co o tym sądzisz?

Magnus zastanawiał się przez moment. Wiedział, że w tak dużym skupisku ludzkim, jakim był Kraków, można było bez trudu spotkać ogolonych na łyso „nazioli”. Groźni byli też kibole, którzy jak szarańcza potrafili zrujnować witryny sklepów i pogruchotać kości swoim przeciwnikom. Pamiętał z doniesień prasowych, że w mieście zdarzały się pojedyncze ataki na czarnoskórych studentów, ale kiedy przypomniał sobie ogromny wzrost i muskularną budowę Muniera, nie miał wątpliwości, że w trudnej sytuacji poradziłby sobie. Pomyślał też, że jeśli mąż blondynki przez kilka dni pokonywał tę trasę, musiał zwrócić na siebie czyjąś uwagę.

– Pewnie nie będzie to pocieszające, co powiem – zaczął, spoglądając na Ewę – lecz corocznie znika w naszym kraju kilkadziesiąt tysięcy osób. Z różnych przyczyn. Sporo jest przypadków związanych z demencją. Niektórzy próbują zerwać z przeszłością i budować od nowa swoje życie. Policyjne statystyki podają, że zaledwie dwóch procent z zaginionych nie udaje się odnaleźć. Wierz mi, to tylko kwestia czasu. Musimy...

– Czekać!?! – Ewa Munier przerwała mu z pretensją w głosie i nalała sobie kolejną lampkę. – Ale ja nienawidzę czekać. Całe życie na coś czekałam, rozumiesz mnie, Piotr? Jak będę teraz bez niego żyć? Nawet nie wiem, czy był, skurwieli, ubezpieczony.

Munier rozpłakała się. Rozmazał się jej makijaż i wyglądała jak zombie. Magnus nie miał już u niej nic do roboty. Podał jej rękę (którą ona przytrzymała o wiele za długo) i bez słowa wyszedł.

Wrócił do swego pokoju ze wstrętnym uczuciem w gardle i od razu wszedł do łazienki, by wymyć zęby, lecz ohydny smak martini po tym zabiegu wciąż pozostawał na czubku języka.

Dopiero teraz przypomniał sobie rozmowę z synem i jego zalecenia. Włączył komputer, zalogował się na swojej poczcie i napisał krótki list do Pawła, tak jak prosił. Potem siadł przy stole i zaczął przeglądać stertę rekwizytów, które przysłał mu Guardian. Jego humor poprawiał się z minuty na minutę. W końcu przełamał kryzys i udało mu się naszkicować plan biografii.

Wykorzystał starą hollywoodzką sztuczkę, polegającą na stopniowaniu emocji i nagłym zwrocie akcji. Zaznaczył kilka akcentów, które upodobniły życiorys Guardiania do filmowego scenariusza. Znalazł pierwszy punkt zwrotny, wyznaczył punkt środkowy, potem drugi punkt zwrotny i zmierzał ku ostatecznemu rozwiązaniu, fundując hotelarzowi kolejny życiowy wiraż. Dobry humor go nie opuszczał. Powodowany emocjami przypomniał sobie o obietnicy, którą złożył synowi.

Sięgnął po telefon i wystukał numer do swojej byłej żony. Chciał podzielić się z nią nowiną i powiedzieć, że niedługo będzie babcią. Marta odebrała niemal natychmiast. Była oburzona, że zakłóca jej spokój. Po rozwodzie dali sobie słowo, że wzajemnie uszanują nowe życie.

– Mam mokre ręce – sarknęła zamiast przywitania. – Płukałam sałatę. Czy to coś ważnego?

– To wyjątkowa sprawa – zaczął się usprawiedliwiać.

Cisza w słuchawce dłużyła się. Marta najpewniej zakryła mikrofon, jakby z kimś się naradzała.

– Nie jestem, Piotr, sama! – powiedziała po chwili. – Muszę kończyć, chyba rozumiesz?

– Rozumiem, ale...

Magnus powiedział jej o Pawle, a ona ostro zripostowała:

– Współczuję tej biednej dziewczynie, jesteście sobie warci!

Zaskoczony obrotem sprawy chciał zakończyć rozmowę, lecz z rozpędu pochwalił się jej nowym wyzwaniem.

– Piszę biografię – powiedział. – To wyjątkowa sprawa. Przed chwilą...

– Pisz, pisz! – szydziła. – Dziękuję Bogu, że od ciebie odeszłam. Zmarnowałeś mi życie. Nie było dla ciebie żadnej świętości... – To był koniec ich rozmowy. Czując gwałtowny łomot w skroniach, nadusił czerwony przycisk.

Po tej wymianie zdań stracił ochotę na dalszą pracę. Miał sprawdzony sposób na chandrę. Wiedział, że tylko solidna porcja wody może ukoić jego zszargane nerwy. Ubrał się pośpiesznie i wyszedł do sklepu monopolowego. Kwadrans przed dwudziestą wrócił do pokoju z zapasem trzech butelek. Wciąż dźwięczał mu w uszach nienawistny głos byłej żony. Zastanawiał się, popijając whisky wprost z butelki, kiedy ich romantyczna miłość zamieniła się w nienawiść. Kiedy w jego życiu nastąpił ten pierwszy punkt zwrotny, który zlekceważył? Jak to się stało, że po dwudziestu latach

małżeństwa potrafili jedynie się ranić? Na te pytania Piotr nie znalazł odpowiedzi.

Pół godziny przed północą wrywał go z fotela dziki wrzask. Zataczając się, podszedł do okna. Przez szparę w żaluzjach dostrzegł w uchylonych balkonowych drzwiach na parterze ludzki cień. Kobieta w nocnej koszuli poruszała się jak zjawą.

– Morderco! – wrzeszczała i waliła trzonkiem od szczotki w balkon nad głową. – Uciekasz stąd jak szczur! Ty śmierdzący tchórze, jeszcze mnie popamiętasz!

Nagła pobudka zakończyła się głośnym trzaśnięciem drzwi i brzękiem tłuczonej szyby. Magnus rzucił się w ubraniu na łóżko, a kiedy wreszcie jego serce przestało walić jak młot, usłyszał cichą melodię, graną na wiolonczeli. Płynęła z niedaleka, lecz nie potrafił ustalić skąd. Była tak smutna, że łzy cisnęły mu się same do oczu, więc zatkał palcami uszy, by jej nie słyszeć.

Obrócił się na drugi bok i jak dziecko zwinął w kłębek, próbując przywołać sen, lecz ten nie nadchodził, za to dotarła do niego inna, dobrze znana melodia, przyniesiona przez wiatr. Była północ, hejnalista na wieży kościoła Mariackiego grał na trąbce średniowieczne ostrzeżenie.

Następnego dnia około czternastej wreszcie doszedł do siebie i choć pękała mu głowa, zwałował się z łóżka, wziął prysznic i ogolił się. Odświeżony opuścił swoją kryjówkę hotelową tylko po to, by zjeść w „Obłoku” obiad, a potem szybko wycofał się do niej, jak rak, by zająć się na nowo biografiami.

Jego wzrok powędrował do pudła. Wśród zgromadzonych dokumentów przyniesionych przez posłańca dostrzegł list w niebieskiej kopercie, zaadresowany do LMG. Zaciekawiony wyjął z niego kartkę zapisaną drobnym maczkiem. Przeczytał wstęp, z którego wynikało, że autorem listu jest jakiś pan Juliusz, niedoszły pacjent szpitala na

krakowskim Podgórzu, którego Leo wspaniałomyślnie zgodził się przyjąć do siebie.

Ten dokument zirytował Magnusa. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego Guardian dołączył do swej biografii takie śmieci.

Pan Juliusz uniżenie dziękował w tym liście Guardianowi za to, że dzięki niemu poznał tajemniczego pana Karola, który skończył przed wojną elitarne liceum Hipolita Wawelberga i *był maszynistą najpiękniejszej w świecie lokomotywy*. – Pisał równo, zapewne od liniuszka.

*– Bo zawsze fascynowały mnie pociągi sunące z Berlina do Moskwy, ożywiające mój gówniany horyzont, gdy jako szczeniak pasłem chude krowy pod Terespołem. (...) Tym bardziej Panu dziękuję, że dobroć poznaje się właśnie w takich przypadkach, gdy nie ma nadziei, a bagaż życia zapełnia ogromną walizę, której w żaden sposób nie można domknąć.*

I dalej dziękował, ale już inaczej, za najsmutniejszą opowieść, jaką słyszał w swoim życiu, tę o ochronce, *gdy płakaliście wściekli z głodu, a on, Świr, mówił do was łagodnie, dzieląc się sucharami, że każdy powinien marzyć, bo marzenia dają słabym siłę, więc jeśli pomyśli się marzenie, to stanie się cud, bo nawet w najbardziej podłym miejscu stoi za każdym jego Anioł Stróż i cudem jest zapach łąki i bzyczenie trzmieli, dlatego z całego serca dziękuję Panu, Panie Guardian, za tę opowieść, którą pocieszał Was Świr, który naprawdę miał na imię Hans, zaś nazywał się Kochanek, o historii ochronki, którą założył sam N., wędrując na wschód Europy, pędząc przed sobą generałów i wojsko, a za sobą ciągnąc już tylko rannych i śmierć, dlatego ochronka, którą w maju 1807 roku zbudował kuzyn cesarzowej Józefiny, Maurycy de Tascher, w obcej dla niego ziemi, stała się zapomnianą wyspą, której nikt ze strachu nie chciał pomóc, i dlatego mocno wierzę, że cesarski kurier, którego wypatrywali przez lata, wciąż galopuje do ochronki i nadal żyje nadzieja, że przywiezie rozkaz ewakuacji albo złote napoleony, by kupić za nie w miasteczku ser i chleb, by naprawić drogę do Raju, którą przyjedzie ogrodnik z D., a może*

*nawet sam profesor Reisch z Koenigsbergu, ten o spojrzeniu sępa, który mierzył krągłość głów, szerokość nosów, katalogując je jak chemiczne pierwiastki, by nie myliła się ludzkość, posądzając Niemców o butę, Polaków o lenistwo, Rosjan o pijaństwo, a Żydów o chciwość, bo są to ich właściwości, podgatunki gatunków, które sam Pan Bóg skatalogował, a on, profesor Reisch, pozwolił sobie jedynie skromnie o tym przypomnieć, i Pan, Panie Leo, podzielił się ze mną wspaniałomyślnie tą wiedzą, a kiedy miałem gorączkę, pan Karol wyciągnął swój rodzinny album i pokazał zdjęcie, na którym stał między szynami obrotnicy na tle „Pięknej Heleny”, lokomotywy Pm36, która na światowej wystawie w Paryżu zdobyła złoty medal! Bo nikt wtedy nie myślał o jakichś zakichanych rakietach, szanując czas i przestrzeń, polegając na fotografiach, tych w kolorze sepii, więc ja mogę być tylko Panu wdzięczny za te opowieści bez końca, od których (jak Pan mówił) same zamykały się oczy, gdy z obietnicą poprawy (ileż już ich było) zdradzaliście Aniołowi Stróżowi swój wielki sekret...*

Dość tej błazenady! Magnus podniósł wzrok znad fałszywki. Styl od początku zdradzał LMG. Nie zamierzał się tym przejmować – ostatecznie za to mu płacił!

Po siedemnastej przerwał pisanie i postanowił ponownie się zająć rozwiązaniem tajemniczego zniknięcia Claude’a. Ta przedziwna historia wciąż nie dawała mu spokoju, a Ewa Munier swoją obecnością mu o tym przypominała. Z trudem dopasowywał fakty, lecz jak dotąd w żaden sposób nie układały się w logiczną całość. Przypomniawszy sobie wieczór u Ewy Munier i ostatnią opowieść Jeana-Pierre’a o mieczu i zbroi, którą jego ojciec miał od kogoś odebrać. Mogła być dziecięcą konfabulacją, lecz co, jeśli mały mówił prawdę?

Po co konstruktorowi rakiet średniowieczny miecz i zbroja? – zastanawiał się.

Aby sprawdzić wersję Jean-Pierre’a, włączył wyszukiwarkę. Po chwili na ekranie komputera wyświetliły się dane rzemieślników trudniących się

wyrobem zbroi rycerskich. Okazało się, że w Krakowie jest tylko dwóch płatnerzy. Magnus wyjął z kieszeni komórkę.

Pierwszy zapytany, do którego się dodzwonił, wyjaśnił, że wykuwa jedynie samurajskie miecze, więc Magnus grzecznie mu podziękował. Drugi zaś był nawet gotów wykonać średniowieczną zbroję na wymiar, lecz oferował półroczny termin i chciał wysoką zaliczkę. W trakcie rozmowy płatnerz przypomniał sobie o pewnym znajomym, który w wolnych chwilach zajmował się amatorsko wyrobem zbroi i średniowiecznych mieczy. Podyktował numer telefonu komórkowego do pana Łukasza, lecz poprosił, by na niego się nie powoływać.

Magnus wystukał zapisany numer i czekał. Telefon odebrała dziewczynka. Wysłuchała go i zawołała ojca. Mężczyzna był bardzo nieufny. Dopytywał się, skąd jego rozmówca ma jego telefon, a potem po co mu zbroja. Nie chciał uwierzyć, że rozmawia z pisarzem. Magnus wymyślił więc bajeczkę o rycerskim turnieju i filmowym scenariuszu, nad którym pracuje. Na koniec zaś zapytał, czy nie odwiedził go ostatnio Claude Munier, wysoki, dobrze zbudowany Murzyn.

Pan Łukasz natychmiast zaprzeczył. Oświadczył nerwowo, że nie ma nic wspólnego z tą sprawą, że to jakaś pomyłka i że zbroję widział ostatni raz na Wawelu. Po tych słowach wyłączył się.

To niejasne tłumaczenie się zelektryzowało Magnusa. Przyjął, że ojciec małego Jean-Pierre'a mógł naprawdę otrzymać od kogoś esemesa i wrócił po coś do hotelu, a potem sobie tylko znanym sposobem przedostał się do sąsiedniej kamienicy.

Było kilka minut po siedemnastej, gdy nałożył czarny płaszcz i jak szpieg z Krainy Deszczowców wysunął się na ulicę, by natychmiast się skryć za odrapanymi drzwiami sąsiedniej kamienicy. Na klatce schodowej panował półmrok. Niezrażony, wyjął z kieszeni zapalniczkę i w świetle płomyka jeszcze raz zlustrował potłuczoną gablotę, w której widniały nazwiska dwóch lokatorów.

Zrobił trzy kroki i zatrzymał się przed drzwiami obitymi stalową blachą. Nadusił dzwonek do Zofii Góry, która poprzedniej nocy przeklinała sąsiada. Przycisnął go ponownie, w końcu głośno zapukał i w odpowiedzi usłyszał przeciągłe miauczenie kota.

Ruszył po schodach na pierwsze piętro. Miał nadzieję, że zastanie Aleksandra Mosicha i będzie mógł zapytać go o ciemnoskórego gościa, który niedawno wyszedł z hotelu i zaginął. Przy drzwiach nie było dzwonka, lecz starodawna mosiężna kołatka. Magnus schwycił ciężkie metalowe kółko i kilka razy zastukał, czyniąc taki hałas, że mógłby obudzić umarłego. Nasłuchiwał, lecz tak jak na parterze nikt nie odpowiadał. Podrażniony złapał za klamkę, a wtedy drzwi niespodziewanie ustąpiły.

Zawahał się, a potem przekroczył próg. W środku, dla formalności, kilka razy powiedział głośno „dzień dobry”, lecz nie było odzewu. Rozejrzał się. Mieszkanie wyglądało jak po przeprowadzce. W przedpokoju zwinięto chodniki, ze ścian zdjęto obrazy, po których pozostały ciemnozielone prostokąty różnej wielkości. Ośmielony zajrzał do łazienki i kuchni, a potem wszedł do wielkiego pokoju, z którego wyniesiono meble.

Gdzie był lokator? – zastanawiał się. Dlaczego opuścił mieszkanie, nie zamykając go na klucz? Przypomniał sobie słowa kobiety z parteru, która urządziła hotelowym gościom dziką pobudkę. Wygrażała sąsiadowi z góry od śmierdzących tchórzy i szczurów.

Podszedł do okna i oparł się o parapet. Z góry miał kapitalny widok na hotel i na patio. Podziwiał je wiele razy ze swego pokoju. Na placyku stała mała kamienna fontanna, przedstawiająca dziewczynkę z koszem owoców na głowie. Wokół niej rosły przystrzyżone krzewy śnieguliczki, między którymi ustawione były drewniane ławki. Magnus podniósł wzrok na swój pokój. Zobaczył stół z komputerem i rozłożone papiery. Potem spojrział w prawo i oniemiał. Na wysokości drugiego piętra wisiała „kosmiczna” winda, a w niej, za szklaną szybą, stała nieznajoma i obserwowała go przez



lornetkę. Magnus podniósł rękę, by ją pozdrowić, lecz wtedy dziewczyna obróciła się do niego plecami, wcisnęła guzik i szybko zjechała na parter.

Postanowił natychmiast spotkać się z nieznaną i zadać jej kilka pytań w sprawie Claude'a Muniera. Chciał się też dowiedzieć, jakim prawem go śledzi. Kiedy opuszczał mieszkanie Mosicha, odkrył jeszcze jedno niewielkie pomieszczenie na końcu korytarza. Zawahał się, a gdy ciekawość zwyciężyła, uchylił drzwi. Puste wnętrze bez okien pełniło zapewne funkcję spiżarni albo garderoby. Kiedy jego wzrok przywykł do półmroku, zobaczył na podłodze pakunek. Przypomniał sobie, że poprzedniego dnia pijaczek z gołębim wspominał o jakimś obrazie. Ktoś miał go właśnie dziś wieczorem odebrać.

Nachylił się i podniósł go z podłogi, a kiedy wyszedł na korytarz, zdziwiony dostrzegł swoje imię i nazwisko wykaligrafowane redisówką na szarym papierze. Nie mógł zrozumieć, dlaczego ktoś bawi się z nim w kotka i myszkę.

Z pakunkiem pod pachą wrócił do hotelu. Rozglądał się za nieznaną, lecz nigdzie jej nie było. Nie czekał na windę, która znowu pojechała na górę. Rozgorączkowany wbiegł po schodach, omal nie mijając swego piętra. Cofnął się. Wsunął kartę do czytnika i pchnął drzwi do pokoju. Zniecierpliwiony miał zamiar rozerwać papier i obejrzeć obraz, lecz coś było nie tak. Od progu uderzył go jednostajny szum wody, dobiegający z łazienki.

Stanął i nasłuchiwał. Zaaferowany schował obraz do szafy, powiesił płaszcz, a potem ostrożnie zajrzał do łazienki. Spodziewał się, że to sprzątająca pokojowa, ale przekonał się, że w zaparowanej kabinie ktoś bierze prysznic. Już miał zamiar wycofać się i sprawdzić numer pokoju, lecz w tym momencie został przywołany do porządku.

– No, nie stój jak słup soli – usłyszał głos Ewy Munier. – Bądź, Piotrze, dżentelmenem i podaj mi ręcznik.

Posłusznie zdjął ręcznik z wieszaka. Drzwiczki rozsunęły się. Mokra ręka chwyciła go i wciągnęła do kabiny. Przez chwilę Ewa wycierała się w milczeniu, a potem rzuciła drwiąco:

– Już mnie sobie obejrzałeś?

Okryła się ręcznikiem, pozostawiając odsłonięte ramiona. Miód i mleko. Jego ulubiony zapach. Roztaczała wokół tak kuszącą woń, że miał nieodpartą chęć ugryźć ją w szyję.

– Przepraszam cię, Piotruś, za najście. – Pocałowała go w policzek. – Ja bym się wkurzyła, gdyby jakiś facet nachodził mnie bez zaproszenia, ale ty się na mnie przecież nie gniewasz. – Patrzyła na jego spodnie napięte w okolicy krocza.

– Boże, ty chyba jesteś podniecony?!

Magnus próbował coś wybąkać, lecz Munier miała melodię do gadania.

– Czułam przez skórę, że ten świntuch wykręci mi taki numer! *Merde!*

Niby niechcący otarła się o niego biustem i nachyliła, by wytrzeć stopy, tak że przez ułamek sekundy widział jej pośladki i wygolone krocze. Była niebywale zgrabna. Doskonale wiedziała, że po tej scenie stanie się jej niewolnikiem.

– Nie myślisz chyba, Piotr, że... Wstydzilibyś się! – Wybuchła głośnym śmiechem. – To wszystko przez Jean-Pierre’a. Wpuścił do wanny tego ohydneho Leona, a ja nie miałam zamiaru kapać się po śmierdzącym smoku. OK, powinnam ci zameldować, że „pożyczyłam” sobie twoją kartę z portierni. Nie będziesz chyba z tego powodu robił mi scen. Taki poukładany facet jak ty... – Przerwała, rzucając okiem na laptopa i notatki rozłożone na stole. – Zdradzisz mi tytuł nowej książki, co? – Prosiła uwodzicielsko. – No, uśmiechnij się. Nie bądź takim ponurakiem!

Odrzuciła do tyłu wilgotne włosy, włożyła szlafrok na gołe ciało i wyszła bez pożegnania.

Magnus spojrział na zegarek; nie było go w pokoju zaledwie dwadzieścia minut. Czyżby Ewa Munier była w zмовie z nieznaną?

Po wyjściu blondynki postanowił obejrzeć obraz, który znalazł w mieszkaniu Mosicha. Wyjął pakunek z szafy i zerwał papier. Przy okazji oderwał niechcący czarną tekturę, która była wciśnięta od tyłu w ramę. I stało się! Jego nieostrożny ruch spowodował prawdziwe trzęsienie ziemi.

Przyglądał się zdumiony swemu odkryciu, lecz to, co widział, było bliskie halucynacji. Zamiast jednego obrazu miał przed sobą dwa, namalowane po obu stronach prostokątnej deski.

Pierwszy obraz przedstawiał Claude'a w rycerskiej zbroi, zaś na jego odwrocie namalowana była nieznaną! Ktoś, kto namalował te portrety, miał niewiarygodny talent i smak. Magnus znał się na tym. Prócz wymyślania powieści zajmował się (za godziwe pieniądze) krytyką artystyczną. Bywał na wernisażach i publikował w dziesiątkach kolorowych pism swoje relacje. Jego zdanie liczyło się i gdyby teraz miał napisać kilka słów, z pewnością byłyby to same pochwały.

Natychmiast zwrócił uwagę na genialną stylistykę, na trójkątny układ kompozycji pozwalający odbiorcy podziwiać błękit nieba i ginącą perspektywę. Postawił obraz pod oknem. Nie chciał używać porównań, lecz od razu nasunęło mu się skojarzenie z finezyjną grą malarską Lucasa Cranacha Starszego.

Zafascynowany postawił portret na stole, by z oddali oglądać Claude'a. Na jego czekoladowym czole połyskiwały kropelki potu, a w kąciakach oczu czerwieniły się pajęczynki żyłek. Na drugim planie pyszniło się średniowieczne miasto, schowane za ceglanymi murami obronnymi, przed którymi rozlewała się błękitna toń jeziora o porośniętym trzciniami brzegu.

Magnus obrócił portret. Teraz miał przed sobą nieznaną, tak samo zachwycającą, jak przedstawiona przez Cranacha Judyta.

Dziewczyna namalowana była z profilu. Na głowie miała upięty welon, spod którego spływały na ramiona połyskujące rude włosy. Udrapowana kremowa tkanina przypominała delikatne skrzydło ważki. W ręku trzymała gałązkę kopru. Jej wzrok spod wyskubanych brwi wskazywał jakiś odległy punkt.

Magnus ponownie obrócił deskę. Kilkakrotnie oglądał ją z obu stron. Dzięki temu dokonał ważnego odkrycia: chłodne spojrzenie Claude'a podążało w tę samą stronę, co spojrzenie Nieznajomej. To rozwiązanie coś oznaczało, lecz co? Tajemnicę bez wątpienia znał autor!

Żeby to zbadać, uruchomił swoje komputerowe laboratorium. Wyjął z szafy cyfrowy aparat i zrobił dwa zbliżenia. Przeniósł obrazy z cyfrówki do laptopa. Prostym ruchem kursora, za pomocą programu graficznego połączył jedno zdjęcie z drugim, tworząc panoramę. Powiększył ją na cały ekran i wtedy spostrzegł, że w kompozycji brakuje środkowego elementu i prawdopodobnie jeszcze jednej postaci, lecz nie wiedział jakiej.

Skakał wzrokiem ze szczegółu na szczegół. Skupił się na światłocieniach, które ożywiały owocującą morwę. Widział fantastyczny różowy pióropusz na hełmie Claude'a, który wydawał się ogonem rajskiego ptaka. Ponownie zanurzył się w średniowieczną, fantastyczną przestrzeń. Dostrzegł skręcony powój, który jak chytry wąż ślizgał się za plecami nieznajomej w stronę zakutego w zbroję rycerza. Powój zamienił się w języki ognia, otaczające go zewsząd. Było jasne, że malarz w obu obrazach odwoływał się do średniowiecznej symboliki. Ukryty Bóg patrzył na ludzi z wysoka, kontrolując ustanowiony przez siebie porządek. Powietrze zdawało się drgać nad domami, a woda w jeziorze chłonać ciepło, które słońce łaskawie jej zsyłało.

Piotr Magnus zazdrościł tej dwójce i żałował, że go tam z nimi nie ma. Z czystej przekory sprofanował obraz i domalował na nim w wyobraźni butelkę czerwonego wina, śnieżnobiały obrus i leżącą na talerzyku nadgryzioną szarlotkę. Siadł na wymyślonym kocu, między Claude'em

a nieznajomą, gapiąc się na okolicę. Bez pośpiechu wyjął zębami korek i wypluł go za siebie. Wypił łyk wymyślonego wina, czując w gardle jego wymyśloną słodycz. Wtedy wrócił mu smak szczenięcych lat. Smak pierwszego wypitego na prywatce „jabola” i odbierającego rozum pocałunku.

Znowu spojrział w lewo. Jeden z karłowatych jałowców przypominał mu zgarbioną postać w sutannie (podszluchującą zamyśloną parę), zaś dalsze smukłe i gęste krzewy przywodziły na myśl dwa czarne skrzydła. To skojarzenie przyszło natychmiast, niczym głośna podpowiedź Drągala z zeszytiku LMG.

Ogarniał go niepokój. Zaczął nawet podejrzewać, że artysta malarz wzmowie z Guardianem wytyka mu jego fobie. Rzecz jasna nie było mowy o tym, by pokazać Ewie Munier portret męża w średniowiecznej zbroi. Byłaby gotowa posądzić go o jakieś ciemne machinacje, a nawet zareagować szokiem. Na razie więc, do czasu ostatecznego wyjaśnienia zagadki zaginięcia Claude’a, Magnus postanowił zatrzymać tę tajemnicę dla siebie.

Rzucił się na łóżko. Claude Munier i nieznajoma przesuwali się pod jego powiekami jak cienie w jaskini Platona. Po kilkunastu minutach złość mu przeszła, a rozsądek podpowiedział, że to on sam zaaferowany lekturą dziennika Guardiania połączył przeszłość i terażniejszość, ludzi i zdarzenia. Jeśli nawet istniał między nimi jakiś ukryty związek, prawdziwej odpowiedzi mógł udzielić jedynie ktoś, kto namalował obrazy. Nie od rzeczy byłoby odszukać artystę i sprowokować go do zwierzeń kilkoma pytaniami.

Z tym postanowieniem przebrał się w jeansy, granatowy t-shirt i zszedł na kolację do „Obłoku”. Trafił tam na dwóch nowych gości hotelowych, ubranych w czarne garnitury, białe koszule i jednakowe czerwone krawaty. Panowie nosili okulary z czarnymi oprawkami i mieli identyfikatory

przypięte do klap marynarek. Ubrani byli sztywno i tak też się zachowywali.

Magnus obserwował ich kątem oka. Profesor habilitowany Andrzej Żerski podawał dżem z morwy docentowi Kazimierzowi Perle. Docent Perła, mężczyzna o zapadłych policzkach i szpakowatych skroniach, odpowiadał króciutkim skinieniem głowy. Obaj certolili się z jedzeniem. Chrupali bułeczki, popijając je herbatą z filiżanek. Białe serwetki na kolanach zwisały w najwyższym pogotowiu. Słowa „mit” i „historia” nieustannie krążyły między nimi. Odmawiali je przez wszystkie przypadki, poszukując prawdy. Magnus nie słyszał początku rozmowy, lecz wywnioskował, że dyskutowali o jakimś zdarzeniu, które miało miejsce w średniowiecznym mieście na terenie Prus Górnych. Cuda świata, które zgromadził w bibliotece LMG, zdawały się tylko czekać na tę okazję. Japoński miecz typu katana mógł w każdej sekundzie wysunąć się z pochwy i zadać komuś śmiertelne cięcie, a namalowany na filiżance żuraw wzbić się i zatoczyć pod sufitem „Obłoku” kręgi. Piotr zjadł grahamkę z żółtym serem, wypił sok z czarnej porzeczkii i przeniósł się ze swoim *mitem* do recepcji.

Za ladą stała obcięta na chłopaka Magda i udawała, że rozwiązuje krzyżówkę. Kiedy spostrzegła Magnusa, wyjęła z ust długopis i rzuciła w jego stronę, nie podnosząc głowy,:

- Cztery poziomo: „szeroki chodnik na siedem liter”.
- Trotuar – podpowiedział głośno i czekając, aż Magda wpisze hasło, siadł na wysokim obrotowym stołku.
- Ja też potrzebuję pomocy – dodał tajemniczo, patrząc jej w oczy.
- Na ile liter? – odpowiedziała, wytrzymując jego spojrzenie.
- Na dziesięć.
- Zamieniam się w słuch.
- Nieznajoma.
- Czyżby pani Munier? – Magda puściła do niego szelmowskie oko.

Magnus spoważniał.

– Pudło! Interesuje mnie ta pani, która co rano przychodzi na śniadanie do restauracji, a potem gdzieś znika.

Nie wiadomo dlaczego Magda skrzywiła się.

– To beznadziejna sprawa. Mówiłam już, że nie mogę udzielać informacji o...

– Dla mnie może pani zrobić wyjątek.

Wahała się. Z zacięciem obgryzała paznokcie i kalkulowała, czy warto się narażać.

– Przecież pan wie.

– O czym? – Magnus patrzył przenikliwie.

– Niech pan nie udaje. – Zniżyła głos. – Ona tu mieszka.

– Ja też – odpowiedział tak samo cicho.

Magda z przekąsem się uśmiechnęła.

– Pan mieszka tu czasowo! – skwitowała i siadła przy komputerze, by odpowiedzieć na odebrane maile.

Magnus się poddał. Wiedział, że Magda nic więcej nie powie. Zabrał z lady „Dziennik”. Potem rzucił okiem na niestrudzonego jesiota w akwarium i jak on zrobił zwrot, by obrać kurs do swego pokoju na drugim piętrze.

Wieczór w czterech ścianach zapowiadał się fatalnie. Na samą myśl, że znowu ma pisać na zamówienie, zbierało mu się na wymioty. Automatycznie sprawdził pocztę mailową. Spodziewał się informacji od syna, lecz tak jak poprzedniego dnia jego skrzynka była pusta. Zawiedziony wlał do szklanki pokaźną porcję Ballantine’*sa*, rozparł się wygodnie w fotelu i zaczął przeglądać zabrany z recepcji „Dziennik”, lecz nie mógł się skupić. Skoki narciarskie nie robiły na nim wrażenia. Wiadomości kulturalne ograniczały się do recenzji płyt francuskich benedyktynek, zaś informacje z Iraku różniły się od doniesień z Afganistanu tylko liczbą zabitych i rannych.

Zniechęcony rzucił gazetę na podłogę, przełknął alkohol i zamknął oczy. Kolejny raz naszła go idiotyczna myśl, że jego życie straciło sens, jak pęknięte lustro, którego nie da się już skleić. Wszystkiemu była winna Marta. Po rozstaniu z nią nie mógł znaleźć sobie miejsca. Postanowił wymazać przeszłość i wziąć rozbrat z literaturą. To odkrycie przychodziło tylekroć, ilekroć zaglądał do kieliszka. Cóż z tego, że próbował szczęścia z innymi kobietami. Te, które poznał po Marcie, nigdy go nie rozumiały. Był im potrzebny jako elegancki reklamowy gadżet. Widziały w nim Piotra Magnusa – pisarza, z którym bywa się na salonach, o którego twórczości pisze się i dyskutuje. Uciekał od tych przygodnych znajomości, był zbyt dobrym obserwatorem. Mógł wiele powiedzieć o kobietach, nawet tych z hotelu. Chociażby to, że Magda pachnie dyskretnie, Kasia zaś wyzywająco, a Ewa Munier jak kotka roztacza wokół siebie ostry zapach piżma. Mógł też opisać ich usta, nosy, kolory oczu i kształty podbródków – katalogować je jak profesor Reisch z Koenigsbergu – by stworzyć nową, lepszą od pierwowzoru postać literacką, lecz...

Przerwał na chwilę rozważania, bo znowu dotarła do niego z podwórka ta sama, przygnębiająca melodia grana na wiolonczeli. Komuś wyraźnie zależało, by obrzydzić mu do reszty wieczór!

Magnus wstał z fotela i zamknął z trzaskiem uchylone okno. Przystawił nos do szyby. Przez chwilę wpatrywał się w ciemność, na próżno starając się dojrzeć zarys żeliwnej fontanny, i wtedy niespodziewanie pomyślał o nieznajomej. Widział ją zaledwie kilka razy. Zachowywała się jak zbuntowana, wymyślona przez niego postać. Przynosiła ze sobą do „Obłoku” obcą, niepojęcą woń, której nie rozumiał. Coś, czego bał się instynktownie, jak...

Nie dokończył tej myśli. Wlał w siebie dwa potężne łyki whisky z butelki. Potem zgasił światło i rzucił się w ubraniu na łóżko. Coś z nim się stało, bo nie mógł o nieznajomej zapomnieć.



Następnego dnia nie zszedł na śniadanie. Nieogolony pił w łazience wodę prosto z kranu, a gdy podniósł wzrok, zobaczył w lustrze przepitego faceta, spoglądającego na niego spode łba Z przekleństwem przywitał nowy dzień. Znał ten stan aż nazbyt dobrze i żeby nie oszaleć, musiał natychmiast rzucić się w wir pracy. Uciec od siebie, jak przed najgorszym wrogiem.

Dopił resztkę whisky z butelki, a potem włączył komputer. Nerwowo sprawdził pocztę i znowu zawiedziony brakiem informacji zabrał się za zyciorys Guardiana. Na początku szło mu nieskładnie. Wreszcie przełamał się i jak w transie stukał w klawiaturę, wyczarowując młodość LMG. Opisywał jego szkolnych kolegów, węgry, grę „w puchę”, a także pierwsze randki w ruinach krzyżackiego zamku i w jedynej w mieście kawiarni, „Colombinie”.

Na moment przerwał pisanie, by przejrzeć wyblakłe zdjęcia z wycieczek i ze studniówki, na których ulizany Leo tańczył ze zgrabną nauczycielką. Potem na nowo dał upust wyobraźni. Kilka zdań w biografii Guardiana poświęcił jego maturze. Temat pracy z polskiego wzbudził w nim podziw. Nie omieszkał zaznaczyć, że LMG był nadzwyczaj konsekwentny. Wybrał ostatni, wolny temat, w którym na przykładzie swego bohatera udawał wierność ideom. Tym niezłomnym bohaterem był oczywiście Magellan, który (tak jak Leo) wcześniej stracił rodziców.

*Życie bez celu – pisał Leo – jest jak droga przez ocean bez gwiazd.* Górnolotnie to ujął. Magnus wypisał mu za to w biografii laurkę i kiedy gwiazdy nad Magellanem stały się wielkie jak groch, a flagowy statek „Trinidad” rozbijał dziobem fale w Cieśninie Wszystkich Świętych, z leżącego na stole telefonu odezwała się skoczna melodyjka.

Dzwonił wydawca jego ostatniej książki Hieronim B. Na początek rzucił mu irytujące pytanie – „jak się czujemy?” – i nie czekając na odpowiedź, przystąpił do frontalnego ataku.

- No i narobiło się! Mamy, panie Piotrze, problem!
- My? – Nie potrafił skryć niechęci.

– Ja i pan! Proszę mi dać, na Boga, powiedzieć. Otóż pan Anzelm van der Gardeen, nasz holenderski wydawca wycofał się wczoraj z kontraktu. Nie i nie. Tylko tyle z niego wydusiłem. Powiedział, że nie będzie już dłużej na pana czekać. Oczywiście jest skłonny zmienić zdanie, jeśli tylko...

Magnus miał chęć posłać gadułę do wszystkich diabłów. Wydawca nie mógł przeżyć, że nie zdąży wystawić nowej książki na targach we Frankfurcie.

– I co teraz zrobimy? – zapytał załamany. – Jestem absolutnie pewien, że ta nowa powieść będzie rewelacyjna. Już sam temat przenikania się światów jest powalający. Dobrze, postaram się ostatni raz przesunąć termin o dwa miesiące, ale musi mi pan uroczyście obiecać, że...

– Nie będzie już żadnych powieści. Pisanie przestało mnie to interesować!

– Nie rozumiem?

– Przestałem pisać. Czy to tak trudno, kurwa, zrozumieć? Powiedziałem publicznie, że nie napiszę już ani jednego zdania.

Hieronim B. chrząknął głośno.

– Pana chyba pogięło? Podpisaliśmy umowę. Jeśli nie dostanę tej książki do końca czerwca, sprawa zakończy się w sądzie. Uważam, że w dalszym ciągu istnieje wielka szansa, by...

Magnus nie był ciekaw dalszego ciągu i wcisnął czerwony guzik.

Jeszcze przez moment siedział bez ruchu przy stole. Po tej rozmowie stracił zupełnie zapał do pracy. Zapisał plik o Magellanie na komputerze, a potem (jak mu radził syn) zrobił jego kopię na pendrivie, którego schował do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Przyszedł mu do głowy pomysł, by na kilka dni wyrwać się z hotelu. Pojechać w Tatry, do schroniska, w którym po raz pierwszy spotkał się z Martą. Mógłby zaszyć się tam, schować przed ludźmi i z widokiem na góry spokojnie pisać biografię hotelarza. Kiedy snuł te zuchwałe plany, usłyszał ciche pukanie.

Otworzył drzwi i zobaczył uśmiechniętą Kasię.

– Przepraszam, że przeszkadzam. – Recepcjonistka śmiało weszła do pokoju. – Mam ważny faks dla pana.

Piotr Magnus wziął z jej rąk śliski papier i podszedł do okna.

*Szanowny Panie! - przeczytał. – Moja nieoczekiwana prośba z pewnością przekreśli Pańskie dzisiejsze plany, lecz wyjątkowość sytuacji w najwyższym stopniu ją uzasadnia. Proszę serdecznie, by udał się Pan o jedenastej trzydzieści na Mały Rynek do „Shisha Clubu”, obok „Księgarni Hiszpańskiej”. Proszę siąść w sali na parterze, w której widać żeliwny kominek, i zamówić głośno waniliowe lody. Wszystko wyjaśnię później!*

*Z poważaniem, LMG*

A co tu jeszcze, do cholery, wyjaśniać? Magnus wyrzucił faks do kosza. Pomyślał, że z taką „pomocą” będzie się babrać w biografii Guardiana przez wieczność. Ogarniała go wściekłość, lecz jeszcze bardziej zżerała ciekawość. Czekał na taki sygnał od dawna i oto w jego jałowy pejzaż godzin i dni wkradła się raptem ekscytująca wiadomość.

Kiedy Kasia wyszła, zostawiając wyzywający zapach dezodorantu, Magnus nałożył płaszcz i kapelusz. Musiał się śpieszyć, do jedenastej trzydzieści został niecały kwadrans.

Wyszedł z hotelu i szybkim krokiem skierował się na skróty w stronę Plant. Skręcił ze św. Tomasza w Szpitalną, przeciął na ukos Mały Rynek i spóźniony o minutę znalazł się w orientalnym świecie, który fundował gościom aromatyczne fajki wodne i ekscytujący taniec brzucha.

Zdyszany przeszedł przez hol, poszukując sali z żeliwnym kominkiem. Rozejrzał się. Przestronne wnętrza dekorowały ciężkie drewniane meble. Ściany zdobiły malowidła arabskie, zaś niskie sufity podtrzymywane były

przez potężne sosnowe belki, podkreślające swą surowością wyjątkowość tego miejsca.

Łatwo znalazł opisaną przez Guardiana salę. Mieściła się po prawej stronie baru, za którym uwijała się kelnerka ubrana w pomarańczowe sari. Magnus wszedł do środka przez szerokie drewniane ościeże, zaskoczony panującym w środku tłokiem. Po prawej stronie dostrzegł żeliwne drzwi, zasłaniające czeluść kominka.

Rozejrzał się i wypatrzył jedno wolne miejsce przy stole stojącym pod oknem. Zajął je pośpiesznie i w tym momencie kobieta siedząca naprzeciw niego wolno podniosła głowę znad talerza. Patrzyła na niego jak na intruza. Odsunęła na bok szklankę z pomidorowym sokiem i zestaw przypraw. Natychmiast też wróciła do przerwanej jedzenia, nadziejąc na widelec kopytko okraszone skwarkami.

W tym niechcianym towarzystwie czuł się jak złapane w potrzask zwierzę. Z opresji wyratowała go na moment filigranowa kelnerka. Zarzuciła na plecy płowy warkocz i w biegu podała mu menu. Ruszyła dalej, lecz w porę podniósł rękę i głośno zamówił waniliowe lody.

– I nic więcej? – zaśmiała się, biegnąc w stronę baru.

Miał ochotę zamówić ziemniaczane placki ze śmietaną i z cukrem, takie, jakie lubił. Kiedy o tym pomyślał, otyła kobieta siedząca naprzeciw wytarła serwetką usta, odłożyła widelec i niespodziewanie zwróciła się do niego z pytaniem:

– Czy pan wie, kim jestem?

Powiedziała to z taką powagą, że Magnus stracił rezon. Patrzył na jej nalane policzki, które sprawiały wrażenie, jakby pod nimi ukryte były wszystkie zjedzone kluchy.

– Naprawdę nie domyśla się pan, kim jestem? – zapytała i podała mu nad stołem spuchniętą dłoń.

Bezskutecznie szukał odpowiedzi, dotykając pulchnych, spoconych palców. Miała sztuczną szczękę, która obluzowała się i wydawała

denerwujący klekot.

– Jestem siostrą bliźniaczką Marii – powiedziała z rozbijającą miną. – Teraz pan wie?

Kobieta spojrzała na zegarek, odsłaniając obrzękły nadgarstek.

– Moja siostra bliźniaczka utopiła się w jeziorze Maurin w samą Wigilię – wyznała akurat wtedy, gdy kelnerka postawiła przed Magnusem pucharek lodów, ozdobionych czekoladową falbanką i dwoma listkami mięty. Powoli zagłębiał łyżeczkę w waniliowej gałce. Kiedy uniósł zmrożony deser z zielonym listkiem do ust, zauważył, że wargi kobiety wykrzywia ból.

– To jest pamiątka po niej. – Wyjęła zza bluzki, spomiędzy wielkich piersi, złoty medalik.

Magnus dostrzegł w jej przygaszonym spojrzeniu cień winy. Spuścił wzrok. Trafiony jej słowami jak obuchem, miał zamiar wreszcie się przedstawić, lecz w tym samym momencie ona również spostrzegła, że popełniła gafę. Przez krótką chwilę milczeli.

– Wszystko o panu wiem – oświadczyła z dumą. – Od razu pana rozpoznałam. Pan nazywa się Piotr Magnus i jest pan pisarzem, prawda?

Magnus przytaknął niechętnie.

– Te lody sama wymyśliłam. Jakoś tak wyszło, gdy pan Guardian opowiedział mi o Maryjce. Pamięta pan, jak szli przez jezioro i ona wspomniała mu podobno o tych waniliowych lodach. Pan Guardian mówił mi, że opisał to w swoim zeszyciku. Jestem śmieszna?

Po tym pytaniu wbiła w niego szare, smutne oczy w oprawie grubych spuchniętych powiek. Opowieść z zeszytu LMG nagle ożyła. Znowu była zima i świszczwał lodowaty wiatr. Magnus słyszał ostrzegawczy trzask lodu na środku jeziora. Za chwilę pod Maryjką otworzy się lodowata głębia i przestraszony Leo będzie czołgać się z płaczem na daleki drugi brzeg.

Rozmówczyni Magnusa była ubrana z prowincjonalną elegancją w różową bluzkę i brązowe elastyczne spodnie. Miała na imię Daria.

Przyjechała autobusem z parafialną wycieczką, która odjeżdżała z placu za dziesięć minut. Przez tydzień podróżowała po Włoszech. Była w Bolonii, przy grobie Ojca Pio w San Giovanni Rotondo, a także w Rzymie, by modlić się za Marię, „bo im więcej mam lat – powiedziała – tym bardziej jestem przekonana, że ją Kocham”.

Opowiedziała o bracie, Łukaszu, którego ojciec po pijaku zadusił poduszką, i o matce, która (jak Maryjka) wyszła pewnego dnia z domu w poszukiwaniu Nieba, otwierając dla nich na wiele lat Piekło.

– Teraz jest już dobrze – oznajmiła, lecz Magnus nie wiedział, co to ma znaczyć. Patrzył na jej grube palce, które nerwowo gniotły serwetkę. – Proszę mi wierzyć – dodała – teraz jest już dobrze! Mama mówiła, że siostrę znaleźli rybacy. Ciało wypłynęło na wiosnę. Było pogryzione przez węgorze. Kiedy przynieśli Maryjkę do kostnicy, miała na szyi właśnie ten medalik. Przedwczoraj poświęcił go papież. Pan Guardian powiedział, że oni nie wiedzieli, że przez jezioro płynie rzeka.

Trzymał w gardle zimną kulę lodu. W końcu ją połknął i wtedy pani Daria ze łzami w oczach zdjęła z szyi medalik i włożyła mu go do ręki.

– Opisz to pan? – zapytała, wysuwając się ciężko zza stołu.

Magnus kiwnął głową, a potem podniósł się i nieporadnie pocałował jej wielką spoconą dłoń, jakby całował posoloną pajdę chleba. Kiedy siadł z powrotem, siostra Maryjki przeciskała się już do wyjścia, rozsiewając wokół kwaśny zapach potu.

– Błagam, niech to pan opisz! – zawołała, stojąc w drzwiach.

Zaledwie dwie przecznice dzieliły go od antykwariatu Adama Piskorza i Magnus wiedział, że właśnie teraz musi go odwiedzić. Ze złości, przekornie pragnął przyjrzeć się jeszcze raz tej przygastej, końskiej fizjonomii, zanim wróci do hotelu i będzie na nowo pastwić się nad biografią Guardian. Chciał zapytać antykwariusza o jego cholerny pergamin. Koń snuł tamtego dnia opowieść o uwięzionym Murzynie.

Mówił o rudowłosej dziewicy i o tajemniczym osobniku, który śledził każdy jej krok.

Kiedy Magnus maszerował do antykwariatu, przypomniał sobie, że jest sobota. Już dawno stracił rachubę czasu, stale cofając się w przeszłość.

Daria – Maria, Maria – Daria – machinalnie powtarzał imiona, poszukując cienkiego spoiwa łączącego dwa pojebane życiorysy. Waniliowe lody? Sprawiedliwość po śmierci? Chciało mu się wyć! Po cholere się zgodził przyjąć jej drogocenną pamiątkę?

Jak wściekły wilk z medalikiem w garści przesuwał się pod ścianami domów, roztrącając ludzi. Uciekał, co tchu, byle dalej od waniliowych lodów i od wrednej kostuchy. I miał za swoje. Kiedy wszedł na piętro, dostrzegł na miodowej szybie okrągłą, urzędową pieczęć komornika rewiru IV.

Adam Piskorz był zlicytowany. A jeszcze niedawno zdawało mu się, że złapał Pana Boga za nogi. Co stało się ze zbiorem jego książek? Z wyjątkowym pergaminem, który pochodził z Prus Zakonnych, z pismami i albumami, które były sensem jego życia?

Jakiś student wpadł na niego na schodach.

– Chryste, co za popieprzony kraj! – krzyczał. – Komuś przeszkadzał najlepszy w mieście antykwariat!?

Magnus wyszedł z sieni na oświetloną słońcem ulicę i przystanął przed kantorem walut. Kiedy zapytał waluciarza o antykwariat, dowiedział się, że „pan Adaś zwiął na kolejowy dworzec. Teraz opyla tam książki w przejściu podziemnym, ale obiecał, że jak się odkuje, to wróci!”.

Jak na jeden dzień aż nadto było niespodzianek. Niczym zachłanny turysta machnął na przejeżdżającą dorożkę. Wskoczył na kozioł obok dziewczyny w czerwonym fraku i czarnym kapelusiku i kazał się wieźć traktem królewskim, byle dalej od przytłaczających go nieszczęść.

Słuchał historii miasta. Dziewczyna szczebiotała wyuczoną na pamięć lekcję. Mijały wieki, umierali królowie. Dwa końskie zady podrygiwały

zgodnie w rytm toczących się wojen. Andulka i Sinulka wystukiwały podkowami na bruku skoczną melodię. Zapach spoconej końskiej skóry i siana w worku podziały na niego jak balsam. Jeździł z rozgadaną panienką przez godzinę, gapiąc się na śmigające nad kopytami czerwone owijki. LMG nie liczył się z forszą i za niego płacił!

Przed hotelem wyskoczył z dorożki. Wyjął z kieszeni magnetyczną kartę i przystawił ją do zielonych plastikowych drzwi. Kiedy skierował się do windy, na jego drodze wyrosła Kasia.

– Co za efektowny podjazd – uśmiechnęła się kpiąco. – Osiem minut spóźnienia. Nie chce pan wyjaśnień?

– A co tu jest do wyjaśniania?

– Pani Munier!

– Co znowu z Ewą Munier? Jean-Pierre zymiotował, Leon pożarł jej stringi?

– Oboje wsiedli do srebrnego mercedesa i wyjechali.

Gapił się na recepcjonistkę.

– Co to ma znaczyć?

– Myślałam, że pan wie! Pani Ewa Munier powiedziała, że „pan Piotruś w takich przypadkach umie się honorowo znaleźć”. Wiem, że nie tylko pana nabrała. Od Magdy ta cwaniara też pożyczyła dwie stówki.

Siadł na skórzanej kanapie z tępym spojrzeniem wbitym w langustę. Mieszkanka akwarium miała wielką ochotę wdrapać się na niewielki pagórek. Przebierała szybko kończynami, kopiąc w piasku dołki.

– Nie pożegnała się? – Kasia wypuściła celne żądło. – I nic pan naprawdę nie wiedział?

– A pan Claude?

– Co: pan Claude?! O czym pan mówi? Nie widziałam go od dnia jego zniknięcia! Zresztą, samochód miał ciemne szyby – dodała – a w dzisiejszych czasach lepiej za dużo nie wiedzieć!



Musiał mieć zbaraniałą minę, bo recepcjonistka zostawiła go w spokoju. Z rękami w kieszeniach siedział jeszcze kilka minut bez ruchu. Nie mógł sobie darować, że dał się oszukać sprytniej blondynce.

Nagle, jakby za czyimś podszeptem, wstał i podszedł do langusty. Miał dla niej ekstra niespodziankę. Wyjął z kieszeni „wizytówkę” Muniera, wykonaną z połyskującego niklu. Otworzył dłoń i mała rakiетка Ariane wylądowała na piasku obok rdzawo zielonego pancerza.

W wisielczym humorze wrócił do pokoju i zamiast zejść do „Obłoku” na obiad, zamknął się w swej sterylnej klatce i zabrał za pisanie. Przez godzinę ślęczał nad ostatnim zdaniem, na próżno poszukując jednego wyrazu. Był gotów okładać się pięściami, byleby wreszcie wyprowadzić biografię Guardiania ze wstrętnego dołka. Wszystko na nic.

Skundlony, sprawdził internetową pocztę. Zamiast maila od syna znalazł list od Guardiania.

*Szanowny Panie Piotrze! – przeczytał. – Dziękuję za już i proszę o jeszcze. Pani Daria była Panem zachwycona. Podkreśla Pański profesjonalizm i nieudawaną skromność. Przed godziną zadzwoniła do mnie, błogosławiąc za szlachetny pomysł. Niewielki fragment biografii należy bez wątplenia do niej i z tej przyczyny nie może Pan jej zawieść.*

*Teraz ogarnia mnie, Panie Piotrze, euforia, choć to, co zrobiłem, zasługuje być może na słowa potępienia! Czy pamięta Pan ten epizod w życiorysie Magellana, gdy kapitanowie trzech okrętów podnieśli bunt nad Rio de la Plata? Mój Mistrz został wtedy zdradzony, lecz nie wyrzekł się idei! Z jego rozkazu Mendoza i Quesada zostali straceni, zaś Cartagenę mój Kapitan wspaniałomyślnie kazał wysadzić na niegościnnie ląd.*

*Przypominam o tym, ponieważ ostatnia ofiara na mej drodze była bez wątplenia konieczna! Wspomnę jedynie, że od wielu lat poszukiwałem pewnego dokumentu. Dla mnie bezcenny, dla tego kogoś był tylko powodem*

*ślepego uporu. Przedwczoraj żarty z mojego Mistrza się skończyły. Zdobyłem wreszcie upragniony dokument!*

*Mam w mieście oddanego przyjaciela, który zrobi dla mnie wszystko. W przeszłości planował skończyć konserwatorium, jednak za namową rodziców ukończył wydział prawa i dziś łączy pożyteczne zajęcie komornika z grą na altówce. Kiedy dowiedział się, czego szukam, nie wahał się ani chwili. Mój skarb był własnością zachłannego antykwariusza. Jego upór był tak samo niepotrzebny, jak bunt niewdzięczników przeciwko Magellanowi. Mam nadzieję, że Adam Piskorz wkrótce zrozumie swój błąd i że zechce się z nami pojednać.*

*Po tym niezbędnym wstępie należy się Panu nagroda. Proszę otworzyć załącznik. To, co Pan widzi, to skan autentycznego zapisu nutowego szanty ze statku Magellana. Może Pan już dziś odłożyć na bok inne zajęcia i w spokoju go podziwiać.*

*Pan Krystian obiecał mi zagrać tę melodię, więc kiedy spełni swoją obietnicę, dźwięki z przeszłości popłyną do nas jak ożywcza bryza.*

*Ahoj!*

*LMG*

Magnus kliknął na załącznik. Ekran wypełnił zeskanowany pożółkły arkusz, na którym widniało kilka taktów muzyki niestarannie zapisanych gęsim piórem. Klucz wiolinowy wyglądał jak złamane wiosło, a pięciolinie jakiś dowcipniś wygiął na kształt fali. Sześć linijek marynarskiej piosenki po hiszpańsku, niżej zaś Magnus znalazł jej polskie tłumaczenie:

*Wypłynąłem raz na ocean  
Zostawiłem w porcie piękną Carmen  
Marynarza los to woda  
A dziewczyny śpiew*

*Jak mewy śmiech*

*Zostawiłem w porcie piękną Carmen*

– Cudownie! – Uniósł się. – Za taki śmieć LMG czyimiś rękami, z drugiego krańca Europy zlicytował Konia. Gdziekolwiek sięga, sieje zamęt i niepokój.

Magnus miał chęć zrobić mu na złość i nafaszerować jego biografię wrednymi aluzjami. Przystąpił nawet do tej koronkowej akcji i właśnie w tym momencie zadzwonił telefon.

– Ma pan gości, panie Piotrze! – usłyszał podekscytowany głos Magdy, która musiała zastąpić Kasię. – Pytają, czy mają wejść na górę, czy poczekać.

Magnus postanowił pofatygować się na dół. Recepcjonistka przekazała komuś jego odpowiedź, a on w tym czasie nałożył sportową bluzę, dzinsy i po minucie zjechał windą do holu.

Przy automacie do coli stało dwóch rosyłych facetów, którzy na widok Magnusa natychmiast ruszyli w jego stronę.

Mieli kanciaste ruchy i było w nich coś, co sprawiało, że łańcuchowy burek obnaża poźółkłe kły.

– Pan Piotr? Sławny pan Piotr Magnus, prawda? Chcieliśmy powiedzieć panu dzień dobry. – Brunet w stalowej, opiętej marynarce siłił się na grzeczność.

– To bardzo delikatna sprawa – dodał jego kumpel, blondyn w dzinsach, brązowej skórzanej kamizelce i koszuli w odcieniu khaki. – Gdzie moglibyśmy spokojnie porozmawiać?

Jedynym miejscem, gdzie mogli pogadać bez świadków, był „Obłok Magellana”, przed kwadransem skończono tam serwowanie obiadu. Magnus wskazał drogę gościom.

Blondyn zastanawiał się, czy ma iść pierwszy. W końcu uznał, że bezpieczniej będzie przepuścić pisarza przodem. Wykonał przy tym

komiczny gest, jakby mu czapkował.

Zeszli, trzymając się okrętowej liny, i usiedli w bocznej, lustrzanej salce. Obaj panowie ociągali się z prezentacją i zamiast prawić uprzejmości, szybko przeszli do konkretów.

Brunet zakaszłał manierycznie, by wydobyć z siebie urzędowy ton.

– Spotkaliśmy się z panem, panie Piotrze, by panu pomóc.

– Nie rozumiem. Czyżbym potrzebował czyjejs pomocy?

– Mamy powody sądzić, że został pan wciągnięty do niezwykle ryzykownej gry.

Kiedy to mówił, jego kolega, blondyn, podszedł do rzeźby Magellana i wyjął z drewnianych palców kapitana kościaną fajkę. Oglądał ją pod światło, nie jak artystyczny eksponat, lecz absurdalny dowód w sprawie, który należałby zabezpieczyć.

– I dlatego chcielibyśmy, żeby pan z nami współpracował – usłyszał zaskakującą propozycję bruneta.

– Współpracował? Z kim?

– Na to pytanie niechętnie udzielamy odpowiedzi! – rzucił filozoficznie blondyn, zwracając fajkę Magellanowi.

– Jeśli nie będzie nam pan przerywał – dodał brunet – wszystko stanie się dla pana jasne.

Magnus obserwował opaloną twarz bruneta i nagle przypomniał sobie, skąd ją zna: z synagogi. Na jego wieczorze autorskim ten facet siedział przy wejściowych drzwiach. Był wtedy nieogolony. Nosił rozciągnięty sweter w norweskie wzory i wytarte džinsy. Magnus wziął go wtedy za dziennikarza, gdyż fotografował go i nagrywał. Wydawało mu się także, że widział blondyna miesiąc temu przy Basztowej, gdy mężczyzna zrobił mu zdjęcie niedaleko przejścia dla pieszych, a potem wsiadł do samochodu, który z piskiem opon odjechał. Czemu miała służyć cała ta maskarada?

– Nie zauważył pan czegoś niepokojącego w hotelu?

– Hotel jak hotel – odpowiedział Magnus. – Jest idealnie położony. Mieszka się w centrum, a jednocześnie jakby na uboczu.

– A goście? Czy nie wydaje się panu dziwne, że nikt z obecnych tu gości nie płaci właścicielowi hotelu?

– Nie sprawdzam czyichś rachunków – odpowiedział butnie Magnus, zaniepokojony formą rozmowy. Wydało mu się nieprawdopodobne, by pani profesor Erica Höfn, wybitna znawczyni życia puchaczy, a także historycy: Perła i Żerski (eksperti w dziedzinie średniowiecznego prawa), i wszyscy ci, których codziennie pozdrawiał przy śniadaniu, korzystali z takiego jak on przywileju.

– Czy widział pan kiedyś swojego zleceniodawcę? – Brunet położył na stole cyfrowy dyktafon i wcisnął guzik.

– Kogo ma pan na myśli?

Brunet stracił cierpliwość.

– Umówmy się, że to ja będę zadawał pytania! – rzucił oschle.

Ta reprimenda zbiła Magnusa z pantałyku. Patrzył na migające cyferki na wyświetlaczu. Miał ochotę skłamać i powiedzieć, że widzieli się kiedyś przelotnie, że był mu przedstawiony, lecz teraz nie ma to znaczenia, ponieważ kontaktują się wyłącznie przez telefon i internet.

– A więc nie widział go pan?! – zapytał i jednocześnie stwierdził. – Zastanawiające, jeśli wziąć pod uwagę wysokość pańskiego honorarium.

– Skąd pan to wie? – Magnus zacisnął szczęki ze złości.

Brunet nie odpowiedział.

– Pański przyjazd do hotelu pokrywa się z odlotem tej osoby do Zurychu. Interesujący zbieg okoliczności!

– Czy mógłby pan wyrażać się jaśniej?

Mężczyzna przejechał dłonią po nażelowanych włosach i popatrzył na pisarza z politowaniem.

– Czy przypomina pan sobie swój pobyt w Amsterdamie? Nie ten z lat młodości – brunet uśmiechnął się chytrze, dając do zrozumienia, że

świetnie opanował życiorys rozmówcy – lecz ten, po którym powstała pańska fenomenalna książka.

– Pamiętam w najdrobniejszych szczegółach – zaryzykował Magnus. Dał mężczyźnie czas na to, by splótł owłosione dłonie na brzuchu i rozwalił się na krześle. – Cóż... – zaczął, przypominając sobie beżową kopertę z pieczęcią królewskiej ambasady. – Wielkie Towarzystwo Księgarzy Królestwa Niderlandów, doceniając mój dorobek, postanowiło zorganizować mi wieczór autorski. Zagwarantowano mi honorarium, opłacono koszty przelotu, dojazdu i hotel.

– Sprawdziliśmy: Wielkie Towarzystwo Księgarzy, czy jak się tam zwie, nie istnieje. Ślady prowadzą do kogoś, kto...

– To zaczyna być zabawne!

– Zabawne jest to – blondyn przeciągnął się leniwie – że osoba, którą pan kryje, nie ma takich jak pan skrupułów, podążając pańskim śladem. Barmanka Odile z „Cafe-Frontline” przy kanale Geldersekaade zeznała, że jakiś starszy mężczyzna ze wschodnim akcentem rozmawiał z nią o panu. Interesowało go wszystko. Dowiedzieliśmy się, że pani Irma, którą pan przedstawił w swojej powieści, coś panu zostawiła, lecz pan zapomniał to „coś” odebrać. I właśnie po tę rzecz zgłosił się niedawno pański zleceniodawca. Czy może pan nam powiedzieć, co to właściwie było?

– Nie mam bladego pojęcia – odpowiedział Magnus. Chciało mu się śmiać, lecz sytuacja wcale nie była śmieszna.

– Czy mógłby pan nam pomóc także w innej sprawie? – Blondyn patrzył na swoje odbicie w lustrze, obracając twarz profilem.

– Oczywiście, jeśli tylko będę mógł...

– Oczywiście, że oczywiście! – parodiował go. – Czy domyśla się pan, gdzie przebywa teraz pan Claude Munier, francuski specjalista od rakiet kosmicznych? Mieszkał tu razem z żoną i synem. Z tego, co wiem...

– Ja też chciałbym to wiedzieć.

– Przeprowadziliśmy rozmowę z jego synem. Wie pan, co nam powiedział? Zeznał w obecności psychologa, że to pan!

– Co: ja?

– Że bywał pan w pokoju jego mamusi, a ona często zachodziła do pana. – Blondyn zamknął oczy i bez pośpiechu masował palcami powieki.

– Pani Munier również potwierdziła, że się pan z nią spotykał – uzupełnił brunet. – Proponował pan jej kolejne spotkania, już po zaginięciu męża, lecz ona, jak twierdzi, stanowczo się temu sprzeciwiła. Dlaczego nie mówi pan prawdy?

– To jakieś bzdurne insynuacje!

– Śledztwo, ze względu na pozycję pana Munier, objęte jest specjalną klauzulą – powiedział blondyn przyciszonym głosem.

– Co to znaczy?

– To, że nie może pan opuszczać miasta.

Brunet wyjął z kieszeni marynarki długopis. Wyrwał kartkę z notesu i szybko nabazgrał na niej kilka cyfr.

– Pani Munier jest teraz bezpieczna, wywieźliśmy ją stąd wraz z synkiem. Jak się pan domyśla, wszystkie te sprawy łączy osoba, której pan pomaga. Niech pan będzie ostrożny! Pański telefon znamy. Adres mailowy też. Gdyby zmienił pan zdanie albo coś sobie przypomniał, bardzo proszę o kontakt.

– Jest pan, panie Piotrze, jak my, zawodowcem i dokładnie analizuje każdy swój krok. Dlatego postępujemy z panem inaczej.

– Jak?

Faceci zareagowali śmiechem. Wyciągnęli z kieszeni nowiutkie egzemplarze *Schizmy* i podsunęli mu do podpisu. Magnus złożył dwa zamaszyste autografy i zrobiło mu się trochę lżej.

Wyszli z „Obłoku” do holu. Recepcjonistka odprowadziła przystojniaków wzrokiem do drzwi wyjściowych. Po chwili jej maślane spojrzenie rozbiło się brutalnie o niebieski tramwaj.

– Zazdroszczę panu, panie Piotrze – powiedziała, wzdychając. – Ja też chciałabym być pisarką i tak jak pan udzielać wywiadów przystojnym dziennikarzom.

Kiedy faceci udający dziennikarzy zapadali się pod ziemię, Magda zamrugała do Magnusa porozumiewawczo i, przyciszając głos, powiedziała że otrzymała przed chwilą polecenie od swego szefa, by zaprowadzić go do apartamentu pani Munier. Nazywała go tak dalej, choć od ponad dwóch godzin wielki pokój z kominkiem i dużą łazienką był pusty.

Nie protestował. Wsiedli z recepcjonistką do windy i zatrzymali się przed pokojem żony Claude’a. Magda przystawiła kartę do zamka i wpuściła go do środka, a sama dyskretnie się wycofała.

Magnus został sam. W przestronnym pokoju, w którym odwiedzał kiedyś blondynkę, panowała teraz hotelowa cisza. W powietrzu nadal unosił się dobrze mu znany zapach jej perfum, zmieszany z wonią świeżej wypranej pościeli.

Stapał po granatowej wykładzinie, szukając jakichś iluzorycznych śladów Jean-Pierre’a i jego niewyżytej matki. Zaskakujące, że złość do uciekiniarki minęła mu, gdy jak uczeń na nowo przypominał sobie jej seksowne kształty. Ewa Munier. Widział ją, jak prowokująco wyciera się za zaparowaną szybą w jego łazience. Właśnie wyobrażał sobie jej nabrzmiałe sutki, gdy jak grom z jasnego nieba odezwał się stojący na sekretarzyku telefon. Magnus podniósł słuchawkę.

– Gratuluję postawy, panie Piotrze! – Poznał ten jedyny na świecie głos należący do LMG. – Postaram się za to odwdziżyć. Honor i odwaga to najważniejsze cechy u ludzi. Proszę o tym spotkaniu w „Obłoku” nikomu nie mówić. Niedługo ktoś się z panem skontaktuje. Enrique! Narożny kominek, niech pan zajrzy do niego... – zabuczał do słuchawki jak trzmiel i raptem rozłączył się.

Honor i odwaga? O czym znowu ten namolny hotelarz bredzi!? Bez wątplenia dowiedział o jego rozmowie z przedstawicielami „firmy”. Jak?



Zwyczajnie! Magda, udająca aniołka, podsłuchiwała z ukrycia ich rozmowę i przed chwilą zdała swemu szefowi relację.

Zastanawiało go, jakież to nowe zadanie wymyśli mu Guardian i jakie jeszcze szatańskie eksponaty kryje ów hotel. A może on sam był już takim eksponatem? Od kilku lat Guardian cierpliwie namierzał go, by w końcu zamknąć w hotelu, jak *Heliocoprisa dominusa* – ogromnego chrząszcza, nadzianego na szpilę.

Odrzucił tę śmiałą teorię, lecz nie dawało mu spokoju kolejne pytanie: kim był Enrique? Czyżby był nim ów tajemniczy niewolnik, o którym Leo pisał w swoim dzienniczku? Postanowił zastosować się do wskazówki Guardiania i przeszukać narożny komin.

Klęknął na terakocie, przypominającej bukowe klepki, i uchylił ognioodporną szybę. Zajrzał do paleniska, wsuwając do niego pogrzebacz i poruszając nim na różne strony. Opukał z zewnątrz czerwone cegły i pokręcił kilka razy czopuchem. Przełożył poukładane równo polana na miedzianą blachę i w końcu, kiedy już wydawało mu się, że Guardian z niego zakpił, naszała go myśl, by sprawdzić jeszcze otwór wentylacyjny.

Podstawił krzesło, wszedł na nie i zajrzał do środka przez prostokątną, plastikową kratkę. Szczeliny między żeberkami były zbyt wąskie i obraz wnętrza pozostawał zaciemiony. Podważył palcami kratkę i z całej siły pociągnął. Plastikowa przesłona lekko drgnęła. Spróbował ponownie, jeszcze mocniej. Tym razem udało się.

Położył wyrwaną osłonkę na marmurowym gzymsie i zajrzał do otworu. Kiedy jego wzrok przyzwyczaił się do ciemności, zobaczył w środku zarys jakiegoś przedmiotu. Nie zastanawiając się, podciągnął rękaw kurtki i włożył rękę aż po łokieć. W przewodzie kominowym wyczuł pod palcami nieregularny kształt wielkości małego kalafiora. Schwycił zdobycz za splątane nitki, odczepił od haka i wstawił naienne światło.

Kiedy spojrział na znalezisko, z wrażenia omal nie spadł na podłogę. Trzymał w palcach tsantse, obrzydliwą spreparowaną ludzką głowę, którą

ktoś powiesił za splecione włosy.

Znalezisko miało ziemisty kolor, lekko zadarty nos i gęste czarne brwi o lekko uniesionych końcach, które nadawały twarzy wyraz zdziwienia. Główka wyglądała tak, jakby została odcięta od ohydnej marionetki.

Ów „skarb” Guardiania musiał być oblegany przez pająki i pozostawał miłą przystanią dla niewidocznych, wszechobecnych roztoczy. Mógł też stać się łatwym łupem wścibskiego Leona. Magnus widział już przerażoną minę Jean-Pierre’a, gdy zielony legwan aportuje uwędzony w kominie ludzki łebek. Na samą myśl o tym miał chęć splunąć z obrzydzenia na podłogę.

Wcisnął kratkę w otwór wentylacyjny, zszedł z krzesła i odstawił je na miejsce. Wsunął tsantse do kieszeni bluzy, starając się na nią nie patrzeć.

Pukanie do drzwi zakończyło tę brawurową akcję. Magda uśmiechała się do niego porozumiewawczo, jakby w apartamencie Ewy Munier spotkał się z kochanką. Odpowiedział jej takim samym uśmiechem, a potem z ulgą wrócił do swego pokoju. Odłożył spreparowaną główkę do kartonowego pudła i przykrył ją starą gazetą. Potem wszedł do łazienki, nacisnął aplikator z mydłem i długo szorował ręce szczotką.

Właśnie w tym momencie przypomniał sobie pewne zdarzenie. Miało ono miejsce niecały miesiąc przed maturą. Na jakiejś przerwie, wyraźnie nudząc się, rzucił pomysł, by wyznaczyć osobę z klasy, która pójdzie o północy na stary ewangelicki cmentarz i wykopie ludzką czaszkę. Jego plan nie był zbyt oryginalny, lecz za to jego wykonanie jednogłośnie przypadło w udziale najzdolniejszemu uczniowi z klasy, Ediemu Chemikowi. Wszystkim było wiadomo, że ten czarnowłosy przystojniaczek zgodnie z rodzinną tradycją wybiera się na medycynę. Jego dziadek był felczerem, ojciec wziętym chirurgiem, a matka anestezjologiem, więc lekcja z prosektorium, zdaniem „życzliwych” kolegów, powinna go do tego zachęcić.

Na początku Edi nie chciał o tym słyszeć. Jego ścisły umysł nie przyjmował do wiadomości absurdałnego pomysłu, lecz klasa dotąd go urabiała, aż wreszcie się zgodził i dał się odprowadzić do bramy cementarnej. Przed wejściem między groby prymus wypił na odwagę setkę wódki i wesoło pogwizdując, zniknął w mroku ze szpadlem na ramieniu, niczym żołnierz.

Nazajutrz znaleziono Ediego w centrum miasta, pod fontanną nazywaną przez mieszkańców „Barbapapa”. Podobno moczył w wodzie bosc nogi. Mówiono, że miał na sobie uwalany w glinie sweter i podarte zdżinsy. Z nieprzytomnym wzrokiem bawił się ludzką czaszką, trzymając na sznurku jakiegoś parszywego kundla, który się do niego przybłąkał. Edi Chemik wygrał zakład, lecz przegrał siebie. Nigdy nie podszedł do matury, nie mówiąc o studiach, i zniknął im z oczu.

Widmo udręczonego kolegi prześladowało Magnusa przez lata, i nagle wróciło, jak czkawka, gdy sam trzymał pod stołem spreparowany ludzki łebek.

Teraz brzydził się sobą. Czuł się winien, jak po wielkanocnej spowiedzi. Rozpamiętywał dzień: godzina po godzinie, minuta po minucie. Rozmowę z wydawcą, spotkanie ze schorowaną Darią, wizytę u antykwariusza, ucieczkę Ewy Munier i najście dwóch bezczelnych typów z „firmy”. Do tych wrażeń dopisał ostatnie, makabryczne odkrycie. Czyżby miał teraz doświadczyć bólu, który kiedyś sam komuś zadał?

Zaczął wierzyć, że jego zleceniodawca cierpi na paranoję, którą zaraża innych. Czy to możliwe, że na wyciągnięcie ręki leżał przed nim złożony bez należnego szacunku w kartonowym pudle Enrique? Najważniejszy bohater wyprawy Magellana? To właśnie ów filipiński niewolnik był cichym bohaterem Guardiana zapisanej w niebieskim zeszytiku opowieści. On pierwszy na świecie (za sprawą portugalskich łotrów, którzy porwali go z rodzinnego domu) opłynął dookoła ziemski

glob! Widział wielbłąda bez garbu (lamę) i „czarną gęś” (pingwina), którą marynarze obdarli ze skóry i upiekli na ruszcie.

Fantazja Guardiana nie dawała Magnusowi spokoju. Wydawało się, że hotelarz jest wszędzie i o wszystkim wie. To nie mógł być przypadek. Kolejny raz dzwonił do niego z interwencją i podsuwał mu swoje rady, akurat wtedy, gdy potrzebował jego pomocy. Był w ciągłym pogotowiu, jak *bodyguard*. Musiał mieć informatora, podsłuch, a może nawet system sprzężonych z komputerem kamer internetowych.

Całe szczęście, że nie słyszy jeszcze moich myśli, pomyślał Magnus i zszedł do biblioteki coś przekąsić.

W niedużej sali, pełnej książek i luster siedział japoński turysta. Mały elegancik w garniturze i krawacie uśmiechał się przepraszająco. Magnus odklonił mu się, a potem, udając, że wybiera którąś z książek, dyskretnie obserwował skośnookiego. Japoniec pstrykał zdjęcia i robił jakieś notatki. Podziwiał sufit – wymalowany szlak wędrowki Magellana, przypominający zacieki.

Magnus zostawił Azjatę i wszedł do drugiego pomieszczenia, w którym ustawiony był szwedzki stół. Nałożył sobie na talerzyk ulubioną szarlotkę i nalał do filiżanki zielonej herbaty. Kiedy wrócił do „Obłoku”, po skośnookim gościu nie było już śladu. Postawił deser na stoliku i sięgnął na półkę po oprawioną w bordową skórę *Britannicę*. Cienkie kartki stawiały jego palcom podniecający opór. Sumatra, Malakka, Borneo, Indie, Lizbona... Geograficzne nazwy wyznaczały trasę nadzwyczajnej przygody malajskiego niewolnika, który przybrał imię Enrique. Jak naprawdę nazywał się pierwszy człowiek, który okrążył ziemski glob, nie wiedział nikt.

Mógł teraz wrócić na górę i spojrzeć w jego zapadniętą, spreparowaną twarz, jeśli wszystko to, co działo się wokół, nie było jakąś totalną paranoją.

Nagle na otwarte kartki encyklopedii padł czyjś cień. Obrócił głowę. Za jego plecami stała nieznajoma. Nie spodziewał się jej. Podeszła do niego cicho jak duch. Skąd się wzięła? Na kilka dni znikła mu z oczu, a teraz miał idealną okazję zapytać, dlaczego go śledzi. Dlaczego obserwowała go przez lornetkę, gdy był w mieszkaniu Mosicha? Nie zdążył.

– Chciałam się z panem spotkać i coś wyjaśnić – odezwała się pierwsza, unikając jego wzroku. – Ta okropna scena z kartką. Pamięta pan? Niepotrzebnie ją wydarłam. Przemyślałam to raz jeszcze i teraz...

Zamilkła zakłopotana.

Rzucił okiem na jej dłonie, oparte o brzeg stołu. Jego spojrzenie jeszcze bardziej ją speszyło. Natychmiast obciągnęła rękawy czarnej bluzki i jak uczennica schowała w nich zaplamione na fioletowo palce.

Widząc tę reakcję, zaproponował jej kawę, a gdy skinęła głową, wyszedł do baru i przyniósł gorący, aromatyczny napój, cukierniczkę i śmietankę w dzbanuszkach ustawione na plastikowej tacy.

Była ostrożna. Siedziała naprzeciwko ze wzrokiem skierowanym na filiżankę, nad którą unosił się obłoczek pary. Wyglądała dokładnie tak, jak na obrazie znalezionym w mieszkaniu Mosicha. Miała lekko uniesiony nos, pełne wargi i opalizujące oliwkowe oczy. Brakowało tylko upiętego welonu i gałązki kopru w dłoni.

Nerwowo odsunęła filiżankę, jakby szykowała się do wyjścia, lecz ciekawość zwyciężyła. Pozostała, by zapytać go o pewien detal z przeczytanej powieści.

– Czy mógłby pan powiedzieć, co się stało z kudłatą Musztardą? No, z tym kucem, którym zajmowała się pani Irma w *Schizmie*? Nie można oszukiwać czytelnika!

Magnus przyznał jej rację.

– Kiedy przed wyjazdem do Amsterdamu pakowałem z panią Irmą walizkę, nie miałem czasu o tym pomyśleć.

– Widział pan się z nią, naprawdę? – zapytała, wlewając śmietankę do kawy.

Magnus kiwnął głową.

– I walizkę?

– Walizkę wymyśliłem.

– A więc pana książka nie jest do końca prawdziwa?

Magnus znowu przytaknął.

– A kucyk, czy on jest prawdziwy? – zapytała, mieszając kawę, aby cukier się rozpuścił.

– Zapewne mógł istnieć – odpowiedział wymijająco z uśmiechem. – Przepraszam, ale...

– Kiedyś gdy byłam w zoo, karmiłam kuca. Miał takie miękkie wargi i prychał. Dałam mu do jedzenia kawałek chleba. Ściągnął go bardzo delikatnie, o tak – pokazała ręką – jakby się bał, że może mi coś zrobić. Myśli pan, że to dziecinada?

– Co?

– No, że właśnie tego wszystkiego się czepiam?

– Ależ skąd. Czasem sam nie mam wyboru – próbowałam wyjaśnić naprędce. – Muszę oszukiwać. Zresztą, moi bohaterowie nic o mnie nie wiedzą.

Milczała zakłopotana. Ta wypróbowana wolta podziałała na nią jak zimny prysznic.

– To taki żart – uspokoił ją. – Czytelnicy dają mi po takiej odpowiedzi święty spokój. Wychodzą ze spotkania dezorientowani, nie wiedząc, czy z nich zakpiłem.

– A ja? – zapytała i podniosła do ust filiżankę. – Dlaczego ukrywa pan przede mną prawdę?

– A pani?

Nieznajoma znowu próbowała schować dłonie pod stołem.

– To pioktanina – tłumaczyła, obciągając rękawy. – Wata szybko przesiąka, a potem trudno ją zmyć.

Niepotrzebnie się wygadała. Wypiła kolejny łyk kawy i spojrzała na zegarek, jakby chcąc się usprawiedliwić, że nadużyła jego cierpliwości.

– Zastanawiałam się nad jej życiem i teraz ją rozumiem. Panią Irmę – dodała szybko. – Niech pan się na mnie nie gniewa, ja na jej miejscu zrobiłabym to samo!

Po tym wyznaniu wstała, podała mu zabrudzoną dłoń i wyszła.

Magnus został przy stoliku z jeszcze większym mętlikiem w głowie, gapiąc się na fioletowe odciski palców na filizance. Żałował, że pozwolił dziewczynie odejść, że wdał się z nią w błahą dysputę, zamiast próbować dowiedzieć się czegoś więcej o niej samej i o zaginionym Claudzie. Dziwne, że oboje zapomnieli się sobie przedstawić. Magnus jak najszybciej chciał naprawić swój błąd i poznać jej imię.

Nie przypominał sobie, by spotkał kiedyś kobietę, która poruszałaby się tak ostrożnie, jak nieznajoma. W jej ruchach kryła się jakaś tajemnica, której nie mógł zrozumieć. Była chwilami aż nazbyt poważna na swój wiek, a za moment znów dziecinna.

Odstawił encyklopedię na półkę. Zerknął na oblicze Magellana i poruszony spojrzeniem wyłupiastych oczu, skierował się do wyjścia, trzymając się okrętowej liny.

Zdawał sobie sprawę, że najważniejszym ogniwem w jego prywatnym śledztwie jest obraz, a właściwie dwa obrazy. Śledztwo? Po wyjeździe Ewy Munier mógłby dać sobie spokój z poszukiwaniem jej męża. Coś go jednak niepokoiło. Chciał znać odpowiedź na proste pytanie: czemu zniknął Claude – i dlatego musiał odszukać czarnowłosego pijaczka, którego pilnował gołąb, i zapytać o kilka spraw. Chciał wiedzieć, skąd w mieszkaniu Mosicha wzięły się te dwa dziwne portrety. Kto je zamówił, a także kto i w jakim celu sportretował niezwykłą parę.

Minął recepcję i wyszedł na ulicę. Po wiosennym słońcu nie było śladu. Wiał teraz porywisty wiatr i padał rześisty deszcz, lecz mimo to ulica tętniła życiem. Był szczyt popołudniowy. Samochody z włączonymi wycieraczkami przesuwały się w żółtym tempie za tramwajem, którego okna oklejone były reklamą brazylijskiej kawy, a przechodnie schowani pod parasolkami gromadzili się na przystanku lub zachodzili do sklepów po zakupy.

Minął kałużę, która wylewała się z jezdni na chodnik. Przebiegł kilkanaście kroków pod ścianą, omal nie potracając dziewczyny z wózkiem, i wpadł do sąsiedniej klatki schodowej. Odgarnął znad czoła mokre włosy. Wziął dwa głębokie oddechy i zapukał do drzwi obitych stalową blachą, pod jedynekę.

Tym razem dopisało mu szczęście. Ktoś obserwował go przez stary, mosiężny wizjer. Czarna kropka przykryła otwór, by po chwili się oderwać i odsłonić bladą iskierkę światła. Głośno szczęknęły zamki. Drzwi nieznacznie uchyliły się, lecz bronił ich solidny łańcuch. W szparze widać było połówkę czyjejś twarzy i nieruchome oko o świdrującym spojrzeniu. Pokazał się też nos. Wielki i napuchnięty, jak hamulec od karuzeli.

Tłumiąc śmiech wywołany przypadkowym skojarzeniem, powiedział grzecznie „dzień dobry”, potem przedstawił się i zapytał o Mosicha. Dodał szybko, że niedawno spotkał na schodach czarnowłosego chłopaka, lecz to, co usłyszał z połowy pomarszczonych ust, wystawiło jego cierpliwość na kolejną próbę.

– On wcale nie nazywa się Mosich, tylko Mój-sewitz! Aleksander Mój-sewitz! Rozumie pan? I jest wnukiem Jehudy Mojsewitzaa, rabina z Kazimierza – zaakcentowało stare gardło. – Mieszkam tu od przedwojnia i wiem o nim wszystko!

Kobieta odkaszlnęła głośno i przełknęła coś, co zabulgotało w jej gardle, jak w syfonie pod zlewem.



– Panie Magnus! Matka małego Aleksandra, Sara Mojsewitz ze swoim mężem Jakubem zgotowali synkowi prawdziwe piekło. W ogóle ich nie obchodził. Zostawili go wujowi i wyjechali do Izraela budować kibuce. Chłopak wychowywał się sam. Wuj był za słaby na takiego diabła i zmarł zeszłego roku na raka pęcherza. Młodego przezywają Piękny Aleksander. Tylko niech pan nie da się zwieść jego słodkim słówkom.

– Czy Piękny Aleksander jest malarzem?

Stara ręka machnęła ze złością w szparze drzwi.

– Aleksander jest tchórzem, co sprzedał mieszkanie po wuju na hotel. Za to, co zrobił, spotka tego szczura kara boska!

Po tej przepowiedni stare oko mrugało ospale, czekając na dalsze pytania.

– Co zrobił?

– Zrobił to, że była tu policja!

Głos obniżył się o oktawę.

– Przyszli dwaj tajniacy i pytali się, czy nie widziałam, no wie pan...

– Niech pani powie!

Trzęsąca się ręka wykonała znak krzyża. .

– Murzyna! Podobno gdzieś tu w okolicy im przepadł! W kółko o tym gadają. Pewnie ktoś go zaciukał. Musiałam ich wpuścić. Weszli do łazienki, a potem ten bezczelny brunecik włożył głowę pod wannę.

– I co?

Stare oko zamrugało nerwowo.

– I nic, wygarnął uchem pajęczynę.

– Czy pan Aleksander nie zostawił pani swego nowego adresu? Muszę się z nim spotkać.

– A co ja jestem: matka tego czarta? – Połowa ust wykrzywiła się. – Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy! Za karę mieszkanie tego drania przerobią na hotel!

Zofia Góra straciła cierpliwość i zatrzasnęła drzwi.

Magnus stał zaaferowany na klatce schodowej. Zamierzał znów zapukać, by zadać kobiecie jeszcze kilka pytań, lecz akurat w tym momencie w kieszeni jego kurtki odezwał się telefon komórkowy.

Dzwonił jego wydawca, który zawsze znajdował sobie odpowiednią porę na rozmowę.

– Pomyślałem, że nudzi się pan, panie Piotrze! – powiedział, przetykając coś. – A ja mam dla pana rewelacyjną wiadomość! Bo ja mam dla pana same rewelacyjne wiadomości. Jutro na wiosennych targach książki w stolicy otrzyma pan nagrodę.

– Jaką?

– To jest wielka tajemnica, dlatego dzwonię i pozwalam sobie zaprosić pana na nasze stoisko do Pałacu Kultury, z prawej strony holu, gdzie będzie pan podpisywał *Schizmę*. Jutro w samo południe telewizja zrobi z panem naprawdę ostatni wywiad. OK? Zarezerwowałem już pokój w hotelu. Sheraton panu odpowiada?

– Muszę się zastanowić – powiedział Magnus, przypominając sobie zakaz opuszczania miasta.

– Teraz niech pan nie wybrzydza! – Głos wydawcy się zmienił. – Intercity jedzie dwie i pół godziny. Dziś pan się pakuje, a jutro rano... Niech pan nie zapomina, że to ja wypromowałem pana książki i...

– A ja: co? – rzucił wściekły do słuchawki. – Ja tylko je po nocach, kurwa, dla pana po kimś przepisywałem!?

– Cofam, co powiedziałem. Odsuńmy na bok emocje. Więc jak? Będzie zgoda?

Magnus zaczął się łamać.

– W zasadzie jeden dzień przerwy dobrze mi robi – oświadczył – ale...

– Znowu jakieś „ale”? Ja gwarantuję: będzie pan zadowolony!

Wszedł do recepcji właśnie wtedy, gdy mały Japończyk w garniturze kładł na ladzie plastikowy klucz. Azjata pożegnał się, wydając serię

wysokich dźwięków jak wiewiórka, i Magda życzyła mu po angielsku szczęśliwej podróży. Potem zaznaczyła w komputerze zwolniony pokój. W tym momencie dostrzegła stałego gościa i poinformowała go, że pokojowa zachorowała na grypę.

– Przyjeliśmy nową dziewczynę i od jutra będzie u pana sprzątać. Ale jeśli pan chce, mogę sama przyjść po dyżurze i pomóc panu zrobić porządek. Może być?

Magnus podziękował jej grzecznie, a potem usłyszał kolejne pytanie: czy nie wyjeżdża na Wielkanoc.

Sprowadzony tym na ziemię natychmiast przypomniał sobie Pawła, Sylwię i Martę, a potem zwała się na niego nowa fala wątpliwości, która podważała sens jego pisaniny. Co takiego się stało, że zamknął się w pokoju jak w celi? Został kupiony przez Guardian? Od ponad dwóch miesięcy jego domem był hotel i naprawdę nie odczuwał potrzeby powrotu. Poruszał się utartymi ścieżkami: z pokoju do „Obłoku” i z „Obłoku” do swego legowiska, jak laboratoryjna mysz, uwikłany w dziwaczne zdarzenia.

– Jeszcze nie wiem – odpowiedział wykrętnie i wziął cukrowego baranka opakowanego w folię, przewiązanego różową wstążką, którego recepcjonistka ustawiła dla niego na ladzie. – Może powinienem odwiedzić syna? – zapytał i w tym momencie między nim i Magdą pojawiła się cienka nić porozumienia. Spróbował to wykorzystać.

– Czy słyszała pani nazwisko Mojsewitz? Aleksander Mojsewitz? Mówią na niego Piękny Aleksander.

– Nie przypominam sobie takiego przystojnego gościa – odparła, patrząc mu w oczy. – Zresztą, gdyby nawet u nas się zatrzymał i tak bym nic panu o nim nie powiedziała. Już mówiłam, że udzielanie informacji o gościach jest surowo zabronione.

Po powrocie do pokoju włączył laptopa i sprawdził pocztę, lecz znowu nie było wiadomości od Pawła. Potem wpisał do wyszukiwarki imię i nazwisko lokatora z sąsiedztwa. Ku jego zaskoczeniu ukazało się

kilkadziesiąt odsyłaczy do wystaw indywidualnych w Mediolanie, Paryżu, Frankfurcie i Nowym Jorku. Otworzył jeden z nich, potem drugi i kolejne. Magnus był zszokowany: chłopak, którego poznał przypadkowo na schodach w sąsiedniej kamienicy, okazał się cenionym na świecie artystą. Specjalizował się w portretach. Jego obrazy kosztowały już od kilku do kilkunastu tysięcy euro. Tym bardziej więc nie mógł zrozumieć, dlaczego został wciągnięty przez kogoś do tej dziwnej gry. Był wściekły na siebie, że wcześniej o nim nie słyszał.

Przez pół godziny drzemał w fotelu, a kiedy otworzył oczy, zobaczył między dachami domów błękitne niebo z białym warkoczem spalin splecionym przez silnik samolotu. Była za kwadrans osiemnasta. Sięgnął ręką po baranka z czerwoną chorągiewką, którego dostał od recepcjonistki. Rozwiązał różową wstążeczkę i rozpakował folię. Wystawił język i polizał cukrowy łeb. Mdły smak lukru zmieszanego z farbą natychmiast przypomniał mu dzieciństwo. Pamiętał, że nigdy nie lubił Świąt Wielkanocnych naznaczonych męczeńską śmiercią. Bał się wiszącego na krzyżu Jezusa, odartego z szat, wystawiającego krwawiące rany na widok tłumów. Nie był w stanie sobie wyobrazić okropnego bólu i grubych gwoździ wbijanych w jego własne stopy i dłonie. Na samą myśl o tym przechodziły go ciarki. Jego lęków nie uśmierzała radość zmartwychwstania ani sprytny zajaczek, który chował do butów prezenty.

Wspomnienia z dzieciństwa wyparowały niespodziewanie, gdy nagle odezwał się dzwonek telefonu. Magnus poderwał się z fotela i podniósł słuchawkę. Kasia (która zastąpiła Magdę) poinformowała go o czekającym w recepcji gościu.

– Pan doktor Furt do pana. Pyta, czy pan go, panie Piotrze, przyjmie.  
Magnus milczał.

– Halo?! Pan Furt twierdzi, że właśnie teraz pan go oczekuje.

– Zejdę do recepcji – oznajmił zniecierpliwiony, lecz natychmiast zmienił zdanie i poprosił Kasię, by gość się pofatygował do niego na górę.

Nie był to najlepszy moment na odwiedziny. W pokoju panował bajzel. Magnus poprawił naprędcę kołdrę, schował skarpety i koszulę do szafy. Zebrał z podłogi rozrzucone gazety i właśnie wtedy, gdy wbijał je na siłę do kosza, usłyszał za drzwiami nieoczekiwany dźwięk, jak chrząknięcie wieprza. Po drugim chrząknięciu przekręcił gałkę i stanął twarzą w twarz z niskim mężczyzną w popielatym prochowcu, który trzymał dwie metalowe walizki.

Dr Furt uśmiechał się cierpko, nie spuszczać go z oczu.

– Telefonował do pana pan Guardian – powiedział, sepleniąc. – Zapowiedział, że będzie miał pan gościa. To właśnie ja!

Nieznajomy wyglądał upiornie. Jego twarz musiała zostać poddana operacji plastycznej. Przeszczepiona skóra na czole i policzkach tworzyła jakby karnawałową maskę, odcinającą się kolorem i fakturą od naturalnej skóry. W miejscu, gdzie powinny być brwi, widniały podłużne, rozszerzające się ku skroniom blizny.

– Nazywam się Ernest... Furt, doktor... Furt – przedstawił się z wyraźnym niemieckim akcentem. – Proszę się mnie nie bać – dorzucił – doskonale wiem, że jestem odrażający.

Kurdupel rozglądał się po pokoju. Postawił walizki i milcząc, podszedł do okna. Patrzył na podwórze, jakby kogoś lub czegoś szukał, a potem zaciągnął zasłony. Uspokojony zrobił kilka kroków w stronę Magnusa i siadł bez pytania w fotelu.

Doktor Furt chwalił świetną lokalizację hotelu. Twierdził, że jest idealnie położony, że nie zwraca niczyjej uwagi, jak zwyczajna kamienica, i że właśnie o to teraz chodzi.

Gospodarz przyglądał się jego twarzy i zauważył, że gość nie mruga. Miał powieki jak plastikowa lalka, która zamyka je, kiedy się ją położy. Nie były to z pewnością jego prawdziwe powieki, lecz coś, co chirurdzy mogliby nazwać genialną imitacją.

Im dłużej się na niego gapił, tym bardziej żałował, że zgodził się go przyjąć. Nie był to wstręt do jego pokiereszowanej facjaty, lecz raczej wściekłość na siebie, że w beznadziejny sposób pozwolił sobie przed chwilą odebrać inicjatywę.

– Przepraszam bardzo, ale czy mógłby pan być tak miły i zamówić mi kawę? – gość zwrócił się do niego grzecznie. – Mam wielką ochotę na podwójne espresso, bez cukru! – zaznaczył.

Zgodnie z jego życzeniem Magnus zadzwonił do Kasi i poprosił, by przyniosła do pokoju podwójną kawę. W tym czasie doktor Furt zdjął płaszcz, złożył go wpół i przerzucił przez poręcz krzesła.

– Mamy mało czasu – poinformował rzeczowo. – Przyleciałem z Dortmundu, za trzy godziny mam powrotny lot. Jeśli pan pozwoli, chciałbym od razu przejść do rzeczy. Czy mógłby mi pan go dać?

– Kogo? Nie wiem, o kim pan mówi.

– To dziwne! Pan Guardian powiedział, że jest pan we wszystko wtajemniczony. Nie widzę powodów, byśmy byli wobec siebie nieufni. Na początek sugerowałbym sprzątnąć ze stołu, bo inaczej cała aparatura się na nim nie zmieści.

– Jaka aparatura?

– Chyba pan nie sądzi, że przyjechałem wygłosić referat? – Gość zanosił się metalicznym śmiechem. – Sprzęt przyleciał ze mną w walizkach. Bez obawy, to doskonałe narzędziowe walizki. Mają podwójne aluminiowe ścianki, zaś między nimi umieszczony jest rdzeń z tytanu. *Hofbauer Megabag*. Czy ta nazwa coś panu mówi?

Kurdupel sam się zabrał za sprzątanie. Przeniósł laptopa na łóżko, a kartonowe pudło postawił pod oknem, za fotelem. Delikatnie chwycił wielkanocnego baranka i powąchał.

– Osobiście się staram nie łączyć wiary z nauką, choć mocno wierzę, że można się cieszyć radością z odzyskania wiary – powiedział do siebie

i znowu głośno się zaśmiał. – Pan Guardian ma do pana pełne zaufanie! Byłoby mu miło, gdyby zechciał pan obserwować przebieg procesu.

– Jakiego procesu?

– Pan Guardian miał rację, jest pan naprawdę zabawny. Obiecuję solennie, że zaraz po powrocie przeczytam wszystkie pańskie książki.

Jego przemądrzałe wstawki nie bawiły Magnusa. Najchętniej by się go pozbył, lecz niespodziewany gość czuł się w jego pokoju jak ryba w wodzie.

– Lubię z nim współpracować – oświadczył, luzując krawat. – To on zafundował mi nową twarz. On jeden po eksplozji w laboratorium w Halle dał mi nadzieję. Reszta postawiła już na mnie krzyżyk. Teraz jestem jego niewolnikiem i tak jak pan haruję dla niego od świtu do zmroku.

Magnus miał zamiar wyjaśnić, że jego rola jest całkowicie inna, lecz doktor Furt perorował w najlepsze.

– Jak pan wie, nasz szef zatrudnia na całym świecie kilka tysięcy osób. To nie tylko hotele, szpitale i laboratoria, to przede wszystkim wybitni fachowcy, którym płaci, mając pewność, że ta wielka armia doprowadzi wkrótce do zbawienia...

Nie skończył. Poderwał się nerwowo, słysząc pukanie. Magnus otworzył drzwi i wziął od Kasi podwójną kawę w filiżance na spodeczku. W tym czasie jego gość ustawiał znaną sobie kombinację cyfr w szyfrowym zamku pierwszej walizki. Energicznie wcisnął guzik i zwolnił blokadę, odsłaniając skomplikowane urządzenie z ciekłokrystalicznym monitorem.

– Armia zapaleńców! – wrócił do przerwane go wątku. – Każdy z jego zakontraktowanych żołnierzy realizuje wycinek wielkiego planu. Mnie interesują zjawiska odwracalne, pana zaś literatura – i już mamy gotową odpowiedź, dlaczego nas ze sobą połączył. Rozumie pan? – Przekrzywił głowę w taki sposób, że dopiero teraz Magnus odkrył w świetle lampy niewielką skazę w jego prawym oku.

Różniło się od lewego nienaturalnym połykiem, było czyste i nieco większe, jakby zostało pobrane od noworodka. Gość siorbnął kawy i z wprawą otworzył drugą walizkę, w której mieściły się kolejne naczynia, przewody i mierniki. Ich przeznaczenie było dla gospodarza zagadką. Po chwili podał Magnusowi niewielki pojemnik i poprosił, by przyniósł z łazienki wodę. Kiedy gospodarz wrócił, doktor kończył montować zagadkowy technologiczny ciąg. Wyjął z kieszeni palmtopa i uruchomił rysikiem program potrzebny do eksperymentu.

– Gotowe! – oznajmił.

Z jego pokiereszowanej twarzy niewiele można było wyczytać. Magnus się zastanawiał, czy jego cierpki uśmiech wymodelowali chirurdzy, czy też on sam wytrenował go przed lustrem w czasie rehabilitacji.

– Proszę mi go dać.

– Kogo? – zapytał jak naiwny uczeń.

– Chryste Panie: Enrique! – Padła stanowcza komenda, wypowiedziana takim tonem, że Magnus zajrzał za fotel, otworzył pudło i zdjął ze zdeformowanej twarzy malajskiego niewolnika starą gazetę.

Jego gość był rozanielony. Wziął do ręki zdobycz i mało co nie pocałował jej w zasznurowane usta. Dotykał główki z niewytłumaczalną czułością, jakby Enrique był jego najlepszym przyjacielem. Patrzył na zadarty nos, na kaskadę kruczonych włosów zawiązanych w mocny supeł.

– Proces odwracalny, panie Piotrze, to proces termodynamiczny, dla którego możliwe jest przejście odwrotne od punktu B do A – tłumaczył. – To zupełnie tak, jakby można było przeczytać wspak napisane przez pana zdanie bez utraty jego sensu. Postaram się, w pana obecności, spojrzeć w cudowną twarz niewolnika, tak jak to robił sam Magellan.

Magnus brzydził się tym eksperymentem. Miał chęć zwać do łazienki, by nie patrzeć na diabelskie laboratorium. Tymczasem wysłuchiwał rzeczowych uwag o oznaczaniu wieku eksponatów. Doktor Furt pastwił się nad nim, opowiadając szkaradne historie.



– Czy pan wie, że aby zmniejszyć głowę Enrique barbarzyńcy wepchnęli przez szyję gorący piasek? *Sic!* To uruchomiło naturalną obronną reakcję – skurcz skóry. Za chwilę sprawdzimy, czy mamy do czynienia z przyjacielem kapitana, czy też Guardian przez swoją naiwność zapłacił za koźlą podróbkę dziesięć tysięcy dolarów.

Magnus siedział w fotelu i z odrazy zaciskał zęby.

– Każdy naród ma, panie Piotrze, własnych specjalistów – ciągnął. – Na pewno pan słyszał o Indianach Jivaro z pogranicza Ekwadoru i Peru? Muszę dodać, że Papua Nowa Gwinea wcale nie jest gorsza! Do tej pory w kraju Asmatów szukają głowy młodego Rockefellera. Odkrywcza pasja Michaela zakończyła się nagle w 1961 roku. Tatuś, który był burmistrzem Nowego Jorku, ze zgryzoty mało co nie oszalał. A czy pan wie, że Turcy rozwinęli ten *small business* na własną rękę? Sułtan Amurada II kazał zatopić obciętą głowę polskiego króla Władysława III Warneńczyka w słoiku z miodem! Podobno te słodziutki wiktuały skrywane są do dziś w jakimś tajnym meczecie. Są tacy, którzy twierdzą, że Warneńczyk nie zginął i że przedostał się na Maderę i był nawet ojcem Krzysztofa Kolumba. Mam nadzieję, że pana tym wywodem nie zanudziłem. A teraz, jeśli pan pozwoli, zrobię delikatne nacięcie na rzemykach, którymi zasznurowano oczy i wargi naszego bohatera. Potrzebny będzie w tym celu ostry lancet. Ot, precyzyjna, a jednocześnie prymitywna robota.

Doktor Furt siorbnął swojej kawy, po czym umieścił główkę w wyścielonym gąbką imadle. Zajęty wyciąganiem rzemyków, paplał coś po szwabsku i ten cholerny szwargot wwiercał się w mózg pisarza, tak że zrobiło mu się niedobrze.

Poderwał się z fotela i w ostatniej chwili dobiegł do łazienki. Wymiotował do klozetu, szarpany torsjami, a potem wstał z klęczek, wytarł usta papierem toaletowym. Zamknął klapę i siadł na klozecie, nie mogąc uwierzyć w to, co się dzieje za drzwiami.

Słyszał, jak jego gość rozmawia z kimś przez telefon komórkowy. Dobięły do niego pojedyncze słowa, *ja-ja, natürlich, wunderschön*, niczym przekazywana na odległość instrukcja. Potem, jakby miał zamiar wykurzyć lokatora z jego kryjówki, doktor Furt zwrócił się do niego na cały głos:

– Jeszcze dziś odbiera się mu zasłużone honory! Hiszpańscy zdrajcy zafałszowali historię, by udowodnić, że Enrique był nikczemnym tchórzem! Trzeba być naprawdę podłym. Jeśli doświadczenie się uda, nasz szef urządzi biednemu Malajowi po latach chrześcijański pogrzeb. Na jego grobie – jak chciał jego mistrz – pojawi się napis: „umarł wolny”.

Zapadła cisza. Magnus stracił poczucie czasu. Równie dobrze mógł upłynąć kwadrans, jak i godzina. Trwał w ciszy na sedesie, a kiedy wreszcie uchylił drzwi, doktora Furta nie było. Wyszedł bez pożegnania. Pewnie spieszył się na samolot do Dortmundu. Zadziwiające, że po sobie posprzątał. Kartonowe pudło i laptop wróciły na swoje miejsce. Niemiecka solidność. Knypek był w każdym calu perfekcjonistą!

Była niedziela, kwadrans przed dziewiątą, gdy otworzył oczy. Nie pamiętał, kiedy zasnął. Leżał w łóżku zdrętwiały, przypominając sobie wczorajsze spotkanie z ekscentrycznym, pokiereszowanym gościem. A może to był koszmarny sen? Mógłby natychmiast to sprawdzić i zajrzeć do kartonowego pudła, lecz nie miał odwagi podnieść starych gazet.

Powoli wstał, przeciągnął się jak stary kot i rozsunął zasłony. Na parapecie tańczyła zielona mucha, sprawczyni jego pobudki. Magnus wycelował w nią kapciem, lecz przeźroczysty witraż ze skrzydeł uniósł perfidnego owada pod sufit tuż przed egzekucją.

Rozbudzony gapił się przez okno, jak podejrzliwy doktor Furt. Starał się zobaczyć to, co on. Po drugiej stronie podwórka dwa piętra dziewiętnastowiecznych loggii udawały nobliwą Florencję. Drewniana konstrukcja wspierała się na poczerniałych słupach i wyglądała, jakby miała za chwilę się zawalić. Oplatała ją szczelnie druciana siatka, która

chroniła balkony przed natarczywością gołębi. Za siatką, jak w jakiejś kotłowni na statku, wiła się płatanina rynien i rurek, na dachu zaś, wciśnięte między walący się komin i popękane dachówki, rosło skazane na wyschnięcie drzewko. A może doktor Furt dostrzegł swym błyszczącym okiem więcej?

Magnus opuścił wzrok na parter. Na pokrytej kurzem szybie Zofia Góra nabazgrała krzywymi kulfonami „HOTELOWY SZATANIE PRECZ!”. Magnus zastanawiał się, kto jest tym hotelowym szatanem. Guardian, a może Piękny Aleksander, na którego balkonie rozchyłały się w glinianym garnku zaschnięte pędzle?

Przez chwilę obserwował jego okna, lecz nie zauważył oznak życia w pustym mieszkaniu na pierwszym piętrze. Przeniósł wzrok obok, na dwa okna zasłonięte kremowymi żaluzjami. W mieszkaniu obok również panował spokój, lecz im dłużej się im przyglądał, tym bardziej umacniało się w nim podejrzenie, że ktoś bacznie go obserwuje.

Ten obrazek przypominał mu dawne, studenckie czasy. Był wtedy narwanym facetem, który nigdzie nie mógł na dłużej zagrzać miejsca, i co kilka miesięcy zmieniał stancję. Na trzecim semestrze zamieszkał na siódmej już z kolei kwaterze, tym razem przy Mikołajskiej, u bezdietnego małżeństwa inżynierów sanitarnych. Miejsce było atrakcyjne: czynsz niezbyt wysoki, a do uczelni ledwie kilka kroków. Magnus zajmował klitkę, której okna wychodziły po stronie północnej na ciemne i wilgotne podwórko. W jego pokoiku mieściła się szafa, staromodne mosiężne łóżko i sfatygowane biurko z krzesłem. Właśnie na Mikołajskiej, u inżynierostwa, spotkała go osobliwa przygoda.

Kilka dni przed Zaduszkami właściciele mieszkania wynajęli drugą, identyczną klitkę niewysokiemu szczupłemu blondynowi, który codziennie wyjeżdżał gdzieś tramwajem do pracy. Nowy lokator, pan Bogdan, wydawał się starszy. Wyglądał na chorowitego. Miał cerę zepsutą łuszczycą i poczerniałe zęby. Mówił półsłówkami, najwyraźniej wstydził się swego

niekompletnego uzębienia. Pan Bogdan (do którego Magnus zwracał się zawsze oficjalnie i nigdy nie przeszedł z nim na „ty”) miał wielką życiową pasję – szachy. Zachodził niekiedy po pracy do Magnusa, by rozegrać z nim partyjkę. Wkrótce okazało się, że był znakomitym szachistą. Miał starą szachownicę, z figurami rzeźbionymi w kości słoniowej i znał na pamięć kilkadziesiąt mistrzowskich partii. Rzecz jasna Magnus dostawał od niego ostre ciągi, aż pewnego dnia przypadkowo kupił na pchlim targu na Kleparzu podniszczony podręcznik Aleksandra Alechina, rosyjskiego mistrza świata w szachach, który w czasie wojny kolaborował z faszystowskimi Niemcami. Z tego właśnie podręcznika zaczął uczyć się w tajemnicy ofensywnej strategii.

Pewnej niedzieli po południu zasiadł, jakby nigdy nic, z panem Bogdanem do szachownicy. Zapamiętał, że grał białymi i dla żartu skopiował obronę rosyjskiego mistrza, przesuając swego pionka na e4. W odpowiedzi pan Bogdan przesunął czarnego skoczka na f6.

Magnus grał jak natchniony, wykonując wyuczone na pamięć ruchy. Pierwszy raz jego mózg na chłodno analizował posunięcia przeciwnika i w niewiarygodny sposób kontrolował sytuację. Zachowując kamienną twarz, przesunął drugiego pionka na pole e5 i po kilkunastu ruchach wygrał całą partię. Był upojony swą grą, lecz gdyby wiedział, do czego doprowadzi jego zwycięstwo, z pewnością nigdy by tej partii nie zaczynał.

W poniedziałek, gdy w przerwie między ćwiczeniami wpadł do swej klitki po skrypt i indeks, zastał przerażonych właścicieli w mieszkaniu, ich córkę i trzech funkcjonariuszy po cywilnemu. Okazało się, że pan Bogdan nie pojechał tego dnia do pracy, lecz powiesił się w pokoju na lampie. Zwłoki odkryła mieszkająca na wsi córka gospodarzy, która akurat tego dnia przyjechała do rodziców z dwoma słoikami miodu spadziowego.

Samobójca zostawił list pożegnalny, zaadresowany do Magnusa, w którym przeproszał go za swą fatalną grę. W testamencie zapisał mu szachownicę i niewielkie oszczędności. Najdziwniejsze było jednak to, co

ustalono w śledztwie. Okazało się, że tożsamość szachowego partnera Magnusa nie była prawdziwa i że dokumenty, którymi się posługiwał, zostały skradzione jakiemuś marynarzowi w Sopocie. Nie nazywał się Bogdan Klej. Wyszło też na jaw, że nigdy nie miał stałego miejsca pracy, że widywany był w Tyńcu, na Podgórzu i w Wieliczce, gdzie grywał z przygodnymi partnerami w knajpach na pieniądze.

Mimo zdjęć zamieszczanych w prasie, dane jego szachowego przeciwnika okrywała nieprzenikniona tajemnica. W pogrzebie na koszt państwa uczestniczyło małżeństwo ze stacji przy Mikołajskiej, Magnus i ubrani na czarno grabarze z zakładu pogrzebowego „Spokój”. Pan Bogdan został pochowany w samym rogu cmentarza, jak wieża na szachownicy. Na tabliczce zapisano datę śmierci, a powyżej dwie literki: N.N.

Nie potrafił przypomnieć sobie nic więcej o swym szachowym przeciwniku. Został mu tylko w pamięci jego głos, nad wyraz uprzejmy, wręcz służalczy, jaki cechuje ludzi, którzy zetknęli się kiedyś z wymiarem sprawiedliwości.

Ta nagła fala wspomnień uderzyła w niego z taką siłą, że w ostatniej chwili przypomniał sobie o wydawcy, który czekał na niego w stolicy na targach książek. Magnus oderwał się od okna. W pośpiechu umył się i ubrał, potem wrzucił do torby czystą koszulę, skarpetki i krawat i po kilkunastu minutach jechał już taksówką na dworzec kolejowy.

Wysiadł przy Pawiej. Szedł z tłumem wzdłuż gigantycznej oszklonej ściany galerii handlowej do przejścia podziemnego. Minął kwiaciarki, sprzedawców gazet, pocztówek, obwarzanków i bukinistów, a następnie zanurzył się w chłodnym tunelu. Dopisało mu szczęście: kupił bilet w momencie, gdy przez megafon zapowiadano odjazd jego pociągu. Pobiegnął na peron, a kiedy postawił nogę na stopniu wagonu, ktoś chwycił go mocno za rękaw.

Obejrzał się. Przed nim stał barczysty szatyn z bukietem dredów na głowie, ubrany w bluzę moro i czarne bojówki.

– Przepraszam, czy pan Piotr Magnus?

Magnus zeszywniał. Był pewien, że dopadł go kolejny wysłannik z „firmy”, i dla świętego spokoju kiwnął głową, a wtedy chłopak niespodziewanie uśmiechnął się do niego i podał mu książkę.

– To dla pana od Adama Piskorza. Pan Adam prosił, żeby pan to przeczytał.

Nie miał czasu na pogawędkę. Schwycił prezent od antykwariusza dokładnie wtedy, gdy zawiadowca odgwizdał odjazd. Pociąg ruszył, a on zatrzaskał drzwi i przeszedł wzdłuż korytarza w poszukiwaniu swojego miejsca.

Wkrótce znalazł właściwy przedział i miejsce przy oknie. Wrzucił torbę na półkę, a książkę, którą dostał, położył na siedzeniu obok siebie. Rozejrzał się dyskretnie. Po jego prawej stronie para zapatrzonych w przeszłość emerytów trzymała się za ręce, zaś naprzeciwko przeraźliwie chuda dziewczyna ubrana na czarno od stóp po czubek głowy, żuła nerwowo gumę i przez telefon posyłała w świat esemesy.

Pociąg wyraźnie przyśpieszał. Magnus razem z pasażerami śledził uciekające do tyłu drzewa, domy i żeliwne słupy. Znikła rozstrzelona zabudowa Bronowic i pojawiły się malownicze domki stojące na stokach, a potem przetrzebione lasy i zieleniejące się między nimi pola.

Zamknął oczy i, jak jego dawny szachowy przeciwnik, zaczął rozgrywać w myślach swoją partię. Zdawał sobie doskonale sprawę, że złamał zakaz, opuszczając miasto. Nie mógł się usprawiedliwić tym, że był zaaferowany telefonem wydawcy i zapomniał o przestrodze. Śledztwo, ze względu na pozycję pana Claude’a Muniera, objęte było specjalną klauzulą, ale co dokładnie oznaczał ten termin, wiedzieli tylko jego dwaj prześladowcy.

Około pół godziny później konduktor przebudził go z drzemki, a kiedy wyszedł z przedziału, chuda dziewczyna, nie przestając żuć gumy, zwróciła się do niego z prośbą, by pozwolił jej przeczytać książkę. Magnus podał ją

i młoda sąsiadka natychmiast zagłębiła się w lekturze. Korzystając z okazji, przyglądał się jej kątem oka. Z zainteresowaniem obracała wolno kartki i uśmiechała się do siebie. Kiedy dojechali do Dworca Centralnego w stolicy, pasażerka oddała książkę i uprzejmie mu podziękowała.

Sheraton męczył go, a Warszawa, jak wielki market handlowy, odstraszała. Nie miał zamiaru pozostawać w stolicy ani minuty dłużej. Tego samego dnia wieczorem wsiadł do pociągu, by jak najszybciej znaleźć się w swoim pokoju hotelowym, niczym ślimak w swej muszli.

Jechał na końcu składu w pustym przedziale. Miał teraz dość czasu, by przemyśleć to, co się stało. Był wściekły na wydawcę, który po trzykroć wyparł się go. Ledwie zszedł ze sceny ze statuetką „Złotego Pióra”, stacje telewizyjne i radiowe przypuściły na niego bezpardonowy atak. Nie był już bohaterem. Tego dnia zaczął się proces jego niszczenia. Media wkręciły go w swe tryby i nie chciały puścić. „Czy czuje się pan odpowiedzialny za śmierć swojej bohaterki?”, „Dlaczego pozwolił jej pan popełnić samobójstwo?”. Nie ma co, perfekcyjnie przygotowana nagonka!

Prócz radiowych i telewizyjnych harców zagotowało się także w internecie. Uruchomiono specjalne łącze i na forum poświęconym nowościom literackim pojawiła się karykatura hieny nad kanałem. Tą oślinioną hieną, którą widział na telebimie, był, oczywiście, on sam!

Jakiś „Tadeusz D.” chciał własnoręcznie utopić go w kanale, a inny, „Konkwistador 25”, domagał się przeprowadzenia śledztwa na podstawie wszystkich napisanych przez niego książek. Posypały się joby feministek. Za „haniebną książkę” wściekłe baby posyłały go za kraty!

Rozpamiętując to, przystawił głowę do okna. Daleko na horyzoncie rozbłysnął w nieprzeniknionej czerni, jak gwiazdka, pojedynczy punkcik, i zniknął za przeszkodą terenu. Pociąg, jak w rosyjskim romansie, wdzierał się w noc, wioząc go przez pustkowia do upragnionego hotelu.

Za Włoszczową przypomniał sobie o prezencie, który dostał od Adama Piskorza. Zapalił lampkę nad głową i wyjął z torby podróźnej

niewielką książeczkę wydaną w limitowanym nakładzie stu egzemplarzy przez wydawnictwo The Best-Print. Kto miałby te egzemplarze The Best-Printu kupić?

Trzydziestostronicowa książeczka oprawiona była w błękitną, skórzaną okładkę z wytłoczonym srebrnym napisem: Jeremi Loseland *Sposób na zbawienie świata*. Loseland? Może to jakiś literacki pseudonim? Był pewien, że nigdy nie słyszał o takim autorze i nie przypominał sobie, by czytał jego książki.

Kiedy odchylił stronę tytułową, przeżył kolejny szok. Zamiast tekstu przez wszystkie kartki od góry do dołu ciągnęła się czarna linia, która zataczała pętle, udawała margines, zamieniała się w wielkiego węża, który połknął wołu, przekraczała niewidoczne przeszkody, by wreszcie jak pocisk wycelować w sam środek niewidzialnego układu współrzędnych.

Po wyjściu z pociągu wepchnął prezent Piskorza do betonowego kosza stojącego na peronie. Potem przeciął na ukos plac przy galerii handlowej i przywołał taksówkę, która w parę minut zawiozła go do jego bezpiecznej hotelowej przystani.

Kwadrans po północy, z oczami klejącymi się do snu, przyłożył plastikowy klucz do czytnika, a kiedy usłyszał odgłos zwolnionej blokady, pchnął drzwi i wszedł do środka.

Tak jak pierwszego dnia skierował się w stronę przestronnego holu, który oświetlała niewielka lampka pod sufitem i olbrzymie wmurowane w ścianę akwarium. Czas się zatrzymał. Zimne seledynowe światło spływało na lśniącą terakotę, barwiąc ją ruchomymi plamami i cieniami. Magnus szedł dalej w stronę akwarium, w którym pływał jesiotr, tak jak on zagubiony w czasoprzestrzeni. Pochylił się i pozdrowił go, pukając w szybę. Potem pomachał ręką languście, wspinającej się ochoczo na usypany ze żwirku kopczyk.

– Ja też z nimi rozmawiam, panie Piotrze! – usłyszał nagle cichy głos Magdy. – To bardzo zgodna para.



Obrócił się, jakby przyłapany na przestępstwie.

Recepcjonistka, śmiejąc się z udanego dowcipu, poprosiła go do siebie i wręczyła mu zamkniętą puszkę.

– Bardzo proszę, to dla pana. Dziś wszyscy goście w sieci hoteli pana Guardiana zostali obdarowani orientalną potrawą – oznajmiła. – To wyjątkowa pychota. Sprowadzana raz w roku na specjalną okazję!

– Jaka to okazja?

– Tego pan Guardian nie powiedział. Dodam tylko, że w środku znajduje się biała morwa z prowincji Jiangsu. To ekskluzywny deser w syropie z trzcinowego cukru.

Magnus podziękował recepcjonistce za podarunek. Obejrzał czerwoną puszkę z napisem: „Nantong Sihai Morus Alba – Sang Ye. 125 g”.

Potrząsnął puszką nad uchem i usłyszał w odpowiedzi chlupot. Miał ochotę zapytać, dlaczego jej szef jest taki hojny. Był jednak zbyt zmęczony podróżą. Pożegnał się więc, życząc Magdzie spokojnej nocy.

Kiedy wrócił do pokoju, zgłodniały otworzył puszkę. Wyjadając łyżeczką słodkie białe owoce, włączył komputer, by sprawdzić pocztę. Znowu był zawiedziony. Wciąż nie było wiadomości od syna, za to znalazł krótki mail od Guardiana.

*Szanowny Panie! - przebiegł wzrokiem tekst napisany kursywą. – Przedwczoraj pan Adam Piskorz uznał moje racje i przestał wreszcie toczyć ze mną idiotyczną wojnę. Poprosiłem więc go o przekazanie Panu niezwykłego dziełka i wiem, że dostarczył je Panu na dworcu kolejowym jego uczynny syn.*

*I jak? Czy poczuł Pan ten dreszcz emocji przesuwając palcami wzdłuż cudownej linii? Z pewnością Pan zgadł, że odwzorowuje ona trasę Armady Molukańskiej Magellana w poszukiwaniu Wysp Korzennych. Oczywiście autor przedstawił samą trasę wyprawy, bez zbędnej linii brzegowej wysp i kontynentów! Genialna w swej prostocie myśl Jeremiego Loselanda.*

*Pozdrawiam uprzejmie, LMG*

Magnus skasował maila, wyłączył komputer, a potem rozebrał się i położył do łóżka. Po kilku sekundach zerwał się nerwowo. Zapalił lampkę i zajrzał do kartonowego pudła. Wreszcie mógł spać spokojnie: Enrique zniknął przedwczoraj razem z pokiereszowanym na twarzy kurduplem.

Dlaczego tak ważne dla LMG są cierpienie i śmierć? – zastanawiał się po ciemku. – Jego biografia jest pasmem nieobliczalnych czynów, jak obłąkańcza wyprawa Magellana, pomyślał, znów przykładając głowę do poduszki.

Piętro wyżej słyhać było czyjeś stłumione kroki, potem trzaśnięcie drzwi i odgłos spuszczonej w klozecie wody. Wychwycił jeszcze uspokajający szum klimatyzacji, obrócił się na prawy bok i zadowolony, że jest wreszcie u siebie, natychmiast zasnął.

W środę po kilkunastogodzinnej nieprzerwanej pracy, gdy biografia Guardiana zaczęła nagle wynurzać się z morza wyobraźni, Magnus dokonał przypadkowego odkrycia, które miało dla niego daleko idące konsekwencje.

Wszystko zaczęło się banalnie. Dochodziła dziesiąta wieczór, kiedy oderwał wzrok od komputera i spostrzegł poluzowaną zasłonę przy oknie. Zastanawiał się dość długo, czy wstać, lecz w końcu pokonał lenistwo i podniósł się z krzesła. Wszedł na parapet, by przypiąć zwisający materiał stalową żabką, i wtedy naprzeciwko w oknie na pierwszym piętrze, z lewej strony hotelowego podwórka, zauważył charakterystyczną sylwetkę. Nie mógł się mylić, to była ona! Gdyby tylko miał przy sobie lornetkę, mógłby pewnie zobaczyć jej twarz i szczegóły rozświetlonego wnętrza.

Ten niespodziewany widok zelektryzował go. Sięgnął do barku po butelkę i wlał do gardła pokaźną porcję whisky. Tak ośmielony wciągnął dżinsy, nałożył sweter, skarpetki i buty, a potem zszedł po schodach na dół, by zrealizować swój ryzykowny plan. Zachowywał się jak zawodowy

przestępca. Skrył się przed recepcjonistką za akwarium, a potem ostrożnie uchylił drzwi na patio i zniknął w ciemności.

Po kilkunastu sekundach, gdy jego wzrok przywykł do ciemności, minął pluskającą fontannę otoczoną ławeczkami i otarł się bokiem o przystrzyżone krzewy śnieguliczki. Kierował się do lewego narożnika podwórka. Kiedy do niego dotarł, przystąpił do koronkowej akcji. Splunął na dłonie i uczepił się palcami zardzewiałej stalowej siatki, która pokrywała loggie aż do dachu. Powoli zaczął się podciągać. Metr po metrze sunął w górę, jak pająk.

Parter pokonał bez trudu, zadowolony ze swojej sprawności. Wyobrażał sobie, że już za chwilę zajrzy do środka tajemniczego pokoju i wreszcie dowie się prawdy.

Na wysokości pierwszego piętra popełnił idiotyczny błąd, który wiele go kosztował. Zamiast cierpliwie przesuwając dłonie po zardzewiałym ogrodzeniu, poszukując dla nich oparcia, nerwowo wyrzucił lewe ramię w górę i zachłannie zacisnął palce na siatce. Pociemniało mu w oczach, bo wbił sobie pod paznokcie ostry drut. Z bólu omal nie spadł na betonowy placyk. Czuł pulsowanie zranionego opuszka i wiedział, że ze wskazującego palca cieknie mu krew. W porę przytrzymał się rynny i oparł stopę o żelazny hak. Przez chwilę ciężko oddychał.

Potem oderwał jedną rękę. Udało się. Przez moment trzymał palec w ustach, a gdy ból nieco zelżał, przesunął się wzdłuż parapetu. Zrobił jeszcze dwa małe kroki i wreszcie dotarł do celu. Teraz wstrzymał oddech i ostrożnie wychylił głowę zza ściany.

Zdębiał. Niecały metr od niego, po drugiej stronie szyby siedziała na parapecie szmaciana lalka i wlepiła w niego wyszywane czerwone gały. Była ubrana w strój z epoki *fine de siècle*. Nosiła przekrzywiony zielony kapelusik i granatową sukienkę.

Odetchnął z ulgą i przeniósł wzrok dalej. Przed sobą miał wysoki i przestronny pokój, który przypominał mu salę szpitalną. Jego wnętrze

oświetlała ustawiona w kącie papierowa lampa w kształcie gigantycznej butelki. Z prawej strony, przy ścianie, znajdowało się łóżko, w którym leżał brodaty starzec okryty kołdrą. Do jego chudej ręki podłączona była kroplówka. Na środku pomieszczenia stał okrągły stolik ze szklankami, talerzykiem i sokiem w kartoniku, a obok dwa krzesła, przez których oparcia przewieszane były ubrania. W głębi pod ścianą stała bielizniarka i wiklinowa etażerka, o którą opierał się czarny futerał wiolonczeli.

Magnus skierował wzrok na lewo i zobaczył wreszcie cel swojej wyprawy – nieznaną drzemiącą w głębokim fotelu. Dziewczyna była nieuczesa, jej rude włosy spadały w nieładzie na ramiona i piersi. Miała na sobie zieloną podomkę. Jej prawa ręką podpierała głowę, zaś lewa zwisała luźno. Obok jej stóp leżała jakaś otwarta książka.

Zaferowany spróbował jeszcze wyżej podnieść się na palcach i zajrzeć w głąb pomieszczenia, lecz wtedy poluzowany żelazny hak niespodziewanie wyrwał się pod jego ciężarem ze ściany. Dla utrzymania równowagi Magnus złapał się kurczowo blaszanego parapetu. Przez plecy przebiegły mu ciarki, bo w każdej chwili mógł runąć na beton. Nagły hałas obudził starca. Mężczyzna otworzył oczy i obrócił głowę w stronę okna. Patrzył na intruza takim samym zdziwionym wzrokiem jak szmaciana lalka. Przestraszony krzyknął coś i zamachnął się ręką, przewracając na podłogę stojak z kroplówką.

Słychać było ogłuszający huk i w tej samej sekundzie nieznaną wstała z fotela i podeszła do chorego.

Magnus ześlizgnął się po rynnie, omal nie skręcając sobie karku. Szybko podniósł się z klęczek. Otrzepał sweter i spodnie. Potem rzucił się biegiem do wyjścia. Kiedy moczył w fontannie skaleczony palec, włączył się alarm. Usłyszał za sobą dźwięk otwieranego na pierwszym piętrze okna. W ostatniej chwili wślizgnął się do holu i stanął przy windzie, a serce waliło mu jak młot wyburzeniowy.

Udało się. Widział już pulsującą strzałkę na wyświetlaczu. Odliczał w myśli sekundy w rytm wyjącego alarmu. I wtedy strzałka nagle się zatrzymała. Ktoś przytrzymał windę na trzecim piętrze. Trwało to całą wieczność. Wreszcie alarm się wyłączył. Pusta klatka windy zjechała na parter i drzwi powoli się otworzyły. Magnus zrobił krok i już miał odtrąbić zwycięstwo, gdy niespodziewanie zbudził się w Magdzie uśpiony demon.

– Ważna rozmowa do pana, panie Piotrze! – krzyknęła na cały korytarz. – Bardzo proszę podejść do mnie i nałożyć słuchawki!

Kto dał recepcjonistce prawo, by dzielić moje rozmowy na mniej lub bardziej ważne? – pomyślał wkurzony.

Wyjął skaleczoną dłoń z kieszeni i wziął z rąk dziewczyny słuchawki z mikrofonem. Nałożył je na uszy, tak że mikrofon dotykał ust. Na komputerze zainstalowany był program do rozmów przez internet.

– Halo! Słyszysz mnie pan? – Głos LMG zdradzał wzburzenie.

– Tak, jestem przy telefonie, to znaczy... serdecznie witam.

– Ja również – Guardian odpowiedział chłodno. – Wywołano mnie z ważnego spotkania, przejdę więc od razu do rzeczy. Przed chwilą dowiedziałem się o pana nieobliczalnym zachowaniu! To niedopuszczalne, postawił pan na nogi cały hotel. Proszę mi wybaczyć następane określenie, lecz... za szybko wybiega pan w przeszłość. To nie pomyłka! Świadomie powiedziałem „przeszłość”, pan znakomicie rozróżnia takie niuansy. Chciałem to panu sam powiedzieć w odpowiedniej chwili, lecz okazuje się, że poszukuje pan brakujących faktów do mojej biografii na własną rękę. To niewybaczalny błąd!

W słuchawkach słychać było nerwowe chrząknięcie, a potem ton LMG nieco złagodniał.

– Halo, jest tam pan jeszcze?

Magnus wyjął z ust skaleczony palec i przytaknął cicho.

– W takim razie mam dla pana wiadomość, bez której nie może się pan obejść.

Pisarz z całej siły ścisnął prawą ręką komputerową myszkę i czekał, aż LMG się wygada.

– Oto ona. Słyszysz mnie pan?

– Słyszę.

– To dobrze. Nieznajoma, o którą pan wciąż rozpytuje w recepcji, to moja przybrana córka, Maria. Zamurowało pana, co? – sapał, jakby stał z tyłu przy uchu Magnusa. – To bardzo wrażliwa dziewczyna. Jej przeszłość nie będzie elementem spisywanego przez pana życiorysu. Proszę zostawić ją w spokoju, obiecuje pan?

– Postaram się – odpowiedział jak automat.

Guardian kaszlnął, udobruchany nieco.

– Druga, nie mniej ważna informacja. Mężczyzna, którego zobaczył pan w prywatnym skrzydle mojego hotelu, jest ciężko chory i zasługuje na wypoczynek. Wyjaśnię panu w mailu, jak się tu znalazł. Mój telefon nie oznacza jeszcze utraty zaufania do pana. Przypominam, że nasza umowa wciąż jest ważna! Swoją drogą podziwiam pana determinację. Narazić się na połamanie karku, jak pospolity... – Guardian nie dokończył, lecz kaszlnął wymownie. – Wołają mnie, muszę już kończyć. Za chwilę zaczyna się, panie Piotrze, licytacja!

Połączenie zostało przerwane. Magnus wpatrywał się w ekran z nadzieją, że LMG coś jeszcze powie i będzie mógł się przed nim wytłumaczyć. Daremnie. Na ekranie pojawiła się czerwona migająca ikonka z napisem „LINK121” – znak, że w systemie logował się następny rozmówca.

Nadażana Magda zdjęła Magnusowi z głowy słuchawki. Położyła na ładzie plaster z opatrunkiem, a potem ostentacyjnie obróciła się plecami i zaczęła z kimś cichą rozmowę.

Był upokorzony. Miał serdecznie dość tego zajadłego faceta, chociaż za opisywanie jego popapranego życia dostawał grubą forszę.

Wrócił do pokoju i zrobił sobie opatrunek. Potem rozparł się w fotelu i z przymkniętymi oczami jeszcze raz przeanalizował swoją pechową wyprawę. Ogarnęło go przerażenie. Zastanawiał się, czy jego hotel nie jest naszpikowany szpiegowską elektroniką i obstawiony kamerami jak w sensacyjnych filmach.

Dla świętego spokoju wstał i poszedł do łazienki zdjąć ze ściany lustro. Zajrzał w klimatyzację i w zwisającą z sufitu lampę. Opukał uchwyt do ręczników i kaloryfer, a potem stanął pośrodku pokoju i rozejrzał się. Otworzył szafę i sprawdził zamki. Schylił się pod stół, by obejrzeć od dołu blat. To samo zrobił z fotelem i krzesłem. Następnie spróbował rozkręcić nożem słuchawkę telefonu, lecz w końcu zrezygnował i dla poprawienia nastroju wlał sobie do gardła pół butelki Ballantine’*sa*. Sprawdzone lekarstwo zadziało natychmiast. Lekko zubożniony zwałił się na łóżko. Brakowało mu tchu. Wiedział, że za chwilę urwie mu się film, a jednak znów podniósł butelkę i powtórzył czynność.

Nagle zadzwonił telefon. Zaskoczony rzucił okiem na wyświetlacz. Nie, nie miał ochoty rozmawiać teraz z synem. Włączył laptopa, kilkakrotnie myląc przyciski. Czekał na maila, ale przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie po licytacji pisać listu, by mu wyjaśnić, co miał przed chwilą na myśli.

W swoich rozważaniach posunął się do absurdu. Był osaczony! Znalazł się w cholernej pułapce i tak jak pozostali goście przebywający w hotelu spełniał chimeryczne zachcianki „szefa”. Nikt nie trafił tu przypadkiem. Miał na to proste wytłumaczenie: pani profesor Erica Höfn, specjalizująca się w życiu nocnych ptaków, leczy kompleks Guardiany po zabiciu puchacza przez Drągala, a historycy Perła i Żerski wyceniają napoleony, które wiezie do ochronki kurier od Maurycego de Tascher oraz... A może Leo przechodzi kryzys? – zastanawiał się. – Może potrzebuje psychoanalityka? Kogoś, kto pokaże mu jego biografię i powie: spójrz! Właśnie taki jesteś popaprany!

Obudził się rano, kilka minut po ósmej, z potwornym bólem głowy. Nie miał wyjścia, musiał postarać się wrócić do rzeczywistości. Łyknął dwie obrzydliwe tabletki etopiryny. Popił je wodą z kranu i przymknął oczy. Po kwadransie, gdy poczuł się odrobinę lepiej, wszedł pod prysznic, by połączyć chorą duszę z obolałym ciałem. Potem zerwał plaster z palca i polał ranę pod paznokciem wodą toaletową. Te radykalne zabiegi ostatecznie postawiły go na nogi.

Znowu był w formie. Okręcony ręcznikiem podszedł do komputera, by sprawdzić pocztę. Nie wierzył własnym oczom. O czwartej pięćdziesiąt trzy nad ranem otrzymał od LMG nowego maila. Czyżby Leo przestraszył się, że poprzedniego dnia wieczorem odkrył jego sekret?

Czekała go teraz lektura kilkunastu stron spowiedzi. Magnus ubrał się i zjechał do „Obłoku” na śniadanie, by najpierw się wzmocnić.

Głodny jak wilk schwycił stalowe szczypcy i wyłowił z termosu trzy gorące parówki. Położył je na talerzu obok grahamki i dodał łyżeczkę sarepskiej musztardy. Wykonał jeszcze jeden kurs po zestaw francuskich serów pleśniowych i kiszzonego ogórka. Do tego wziął dużą kawę, taką jak za czasów studenckich, której nalał do filiżanki po sam brzeg.

Na szczęście nie spotkał nieznajomej. Zamiast niej kręciło się po restauracji kilkoro nowych gości, podziwiających jak on w pierwszych dniach bibliotekę i zgromadzone przez Guardiana skarby. Naiwniacy bez cienia podejrzeń pstrykali zdjęcia, dotykali malajskiej dzidy i z ironią komentowali upodobanie właściciela hotelu do marksistowskich klasyków.

Mężczyzna o dziobatej twarzy w siwym garniturze sięgnął po starą encyklopedię i z wypiekami oglądał ryciny amazońskich Indian. Nabożnie odwracał wielkie karty, cmokając z zachwytem. Tuż przy nim jakaś niesforna dziewczynka, zapewne córeczka, zdjęła z głowy Magellana kapelusz i nałożyła go sobie na głowę. Jej arogancki ojciec próbował zaś ściągnąć z drewnianej rzeźby kapitana skórzaną kamizelę, lecz momentalnie rezygnował, napotykając karcące spojrzenie Magnusa.



Piotr przyłapał się na tym, że on – stary hotelowy gość – jest zazdrosny o zaaranżowane przez LMG wnętrze i że gotów jest go bronić. Niepostrzeżenie przywiązał się do kolekcji drewnianych fajek, wypchanego wietnamskiego szczura i do obrazu młodziutkiej gejszy, która dyskretnym uśmiechem prowokowała go do erotycznych fantazji.

Wypił jeszcze dwie szklanki pomidorowego soku, uzupełniając nadwątlone zapasy potasu, po czym wrócił do swego numeru, by natychmiast sięgnąć przed laptopem. Położył prawą dłoń na myszce i najechał kursorem na plik tekstowy Worda. Kliknął i na ekranie rozlała się bezsenna noc LMG, wszystkie jego fobie. Wziął głęboki oddech i zaczął czytać:

*Szanowny Panie! – Guardian jak zwykle rozpoczął grzecznie. – Przepraszam za mój telefon. Od dziecka byłem wrywny i sporo krwi napsułem innym słowami, które później chciałem cofnąć. Wczoraj byłem, Panie Piotrze, podekscytowany. O Pańskim ryzykownym wyczynie dowiedziałem się w czasie aukcji. Nawiasem mówiąc, wylicytowałem na niej za jedyne szesnaście tysięcy euro autentyczną wodną fajkę, która przyplłynęła na „Victorii”! Czyż to nie cud!? Domyśla się Pan pewnie, kto ją palił!*

*Wrócę jednak (jak Pan po wczorajszej wyprawie) na ziemię. Ten list poświęcam w całości Jemu – Hansowi Kochankowi, którego w ochronce nazywaliśmy Świrem. Wiedziałem, że był stary. Mógł mieć co najmniej osiemdziesiąt lat.*

*Pewnego dnia wpadłem na szalony pomysł: postanowiłem go odnaleźć. Musiałem działać metodycznie. Chciałem sprawdzić wszystkie domy pomocy społecznej w kraju. Przekonałem się, że w tych sprawach internet nie jest doskonały. Pisanie listów było nonsensem, telefony także nic by nie dały, bo niby jak miałbym zapytać o Hansa Świra? „Przepraszam, szukam Hansa Kochanka” – brzmi nieźle, prawda? Albo: „Halo? Czy w państwa zakładzie opiekuńczym mieszka Świr, który kiedyś kolekcjonował stare lalczki?”. Systematycznie więc, w wolnym czasie,*

objeżdżałem te placówki, gdzie czeka się na śmierć, i pytałem personel o swego starego przyjaciela. Dziwili się i mieli rację. Nawet nie potrafiłem opisać jego wyglądu ani nie wiedziałem na pewno, czy jeszcze żyje.

Czy wierzy Pan, Panie Piotrze, w opatrność? Jeśli nie, to za chwilę zmieni Pan zdanie. Kiedy moja pokreślona mapa leżała na stole i planowałem ruszyć w kolejną poszukiwawczą wyprawę, zobaczyłem przypadkowo w telewizorze audycję o „Człowieku z lasu”. Dowiedziałem się, że w wojewódzkim mieście żyje stary człowiek, który przerobił partyzancką ziemiankę na mieszkanie. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, lecz ów „dzikus” miał dwie wyjątkowe pasje. Pierwszą było sprzątanie lasu ze śmieci (co wyjaśniało, dlaczego straż leśna nie przekazała go policji), zaś drugą było kino. Czy słyszał Pan o kimś, kto nieprzerwanie, od ponad trzydziestu lat chodzi do tego samego kina i siada na tym samym krześle? Wyliczono, że „dzikus” obejrzał ponad dwa tysiące filmów, które opisał w trzydziestu brulionach!

Rzecz jasna każdy szczegół tego programu był perfidnie wyreżyserowany. Trwały wybory parlamentarne. Jakiś „ekolog” z kucykiem bredził o prawie do życia w leśnym ekosystemie, zaś jego przeciwnik, gentleman pod czerwonym krawatem, przekonywał o niezbywalnym prawie człowieka do godnej śmierci. Zainteresowany odłożyłem mapę i siadłem przed ekranem. Właśnie trwało ostateczne głosowanie. Widzowie wybierali, czy ich „gwiazdor” powinien zająć miejsce w domu opieki społecznej, czy też, jak przekonywał ekolog, ma zostać do śmierci w partyzanckim dole.

Byłem ogromnie ciekaw wyników głosowania. Ekolog przegrał z kretesem, a ja zobaczyłem wreszcie tego bohatera. Przecierałem oczy ze zdumienia: tym męczennikiem był Hans Kochanek – mój Świr!

Świr otrzymał główną nagrodę programu – darmowy, dożywotni pobyt w domu starców w O.

Cóż to była za podróż! Jechali odkrytą białą limuzyną. Na przywitanie chór emerytów ze Lwowa odśpiewał mu ukraińskie „Mnohaja lita!”

*Czy był Pan kiedyś, Panie Piotrze, w domu opieki społecznej? Radzę się tam niezwłocznie wybrać. Pokora! Kurewska pokora rzuci Pana na kolana i, gwarantuję, zapomni Pan o swoim wesołym życiu!*

*Kiedy trafiłem do domu opieki w O., zostałem ukrzyżowany spojrzeniami. Zramolałe baby i zgrzybiali faceci gapili się na mnie, jakbym zamordował ich dzieci. Naruszyłem raptownie ich przestrzeń i wszechobecny brak nadziei. Wpakowałem się do ich świata, jakbym miał zamiar zabrać ich na wycieczkę na Księżyc.*

*Jakiś mężczyzna z opuszczonymi spodniami wyszedł mi naprzeciw. Ciągnął się za nim po korytarzu strumyczek moczu. Z każdym krokiem łapał równowagę, jakby szedł po linie. Patrzył na mnie pogodnie, promieniejąc ze szczęścia. Tym bezwstydnym starcem był, Panie Piotrze, mój Świr.*

*Jego pomarszczony członek chował się w siwych łonowych włosach jak przerażone piskłę. Spoglądałem na Niego przez łyzy, nie mając wątpliwości, że to On, że właśnie Go znalazłem. Inny, lecz ten sam Hans Kochanek, nazywany przez nas w ochronce Świrem, którego wyrywam oto z głębin wspomnień i któremu przeze mnie może pęknąć stare serce.*

*Podszedłem do niego i podciągnąłem mu spodnie. Chciał mi coś powiedzieć, lecz opuchły mu dziąsła, a pękniętą sztuczną szczękę zabrali mu przed miesiącem do protetyka. Bezzębny Świr dygotał w szoku jak mój zestrzelony z procy puchacz.*

*Musiałem teraz pokonać morze biurokracji. Przekonać wszystkich, że mamy do siebie prawo. Udowodniłem to, kupując dla dyrekcji laserową drukarkę, skaner i komputer. Po tym geszefcie zostałem oficjalnym sponsorem „Arkadii”. Podpisałem jakieś zobowiązanie, wsadziłem Świra do samochodu i przekręciłem kluczyk. W tej sekundzie spełniła się moja wigilijna przysięga sprzed wielu lat!*

*Jadąc ulicami sennego O. i mając do pokonania blisko sześćset kilometrów, opowiedziałem Mu, jak z Maryjką przedzierałem się na drugą*

stronę jeziora, jak zjadłem suchy chleb, woreczek pestek z dyni, i że wypłem pół flaszki wódki.

Świr był cierpliwy. Ruszał wargami, jak królik, żując ulubionego biszkopta. Za oknami migały pola i lasy. Mieliśmy dużo czasu, by odtworzyć pół wieku przerwanej historii.

Świr spał, ściskając w kościstych palcach swą oślinioną laleczkę. Gdy podjechaliśmy pod hotel, nie mogłem go dobudzić. Wreszcie ocknął się, lecz nie do końca, gdyż przywiózł ze sobą dawny świat. Zaczął się panicznie trząść. Próbował rzucić się z laleczką pod tramwaj, a potem przywarł do ściany i musiałem użyć siły. Kiedy złagodniał, zaprowadziłem go do nowego mieszkania, oddzielonego od reszty hotelu, tak by nigdy nie stykał się z gośćmi. W porównaniu do ciasnej salki, którą dzielił z dwoma sklerotykami, zafundowałem mu prawdziwy luksus.

Pierwszego dnia, gdy się obudził, wyglądał jak gwiazdor, którego za karę przeniesiono z komedii do melodramatu. Zbuntował się przeciwko tej zamianie ról i odmawiał jedzenia. Kiedy przyniosłem mu płatki owsiane, rozbił talerz o podłogę i wymazał ekskrementami ściany. Pluł na mnie i syczał.

Pod koniec tygodnia spasowałem i zadzwoniłem do „Arkadii” po poradę.

– Od początku wiedziałam, że tak będzie – usłyszałem reprimendę pani dyrektor. – Nie trzeba było zawracać nam głowy! Wczoraj wykreśliliśmy pana Hansa z ewidencji.

Potem dowiedziałem się o idiotycznych, lecz skutecznych praktykach, na które nigdy bym nie wpadł. Okazało się (sprawdziliśmy to z Marią), że Świr przepadał, gdy drapało się go za uchem. Uwielbiał kończyć niemiecką wyliczankę, zna Pan ją? „Eins, zwei, Polizei...”. Zaczynałem więc, a on kończył tym swoim twardym, nosowym głosem: „...Sieben, acht, gute Nacht, neun, zehn, schlafen gehen”.

*„Polizei, Polizei, Polizei” – wrzeszczał, ale najbardziej lubił, gdy wieczorem, przy świetle lampki czytałem mu baśnie braci Grimm. Zwłaszcza jedna wzbudziła w nim zainteresowanie. Zapewne zna Pan tę króciutką opowieść o upartym dziecku, którego rączka wystawała z grobu. Świr na jej punkcie oszalał.*

*I odkryłem, właściwie odkryła to Maria, że Świr łagodniał, gdy czytało się mu niemieckie książki. Zaskakująco reagował na Hölderlina i nie był to przypadek, bo jego matka wykladała przed wojną niemiecką literaturę. To ona musiała mu przekazać wszystko to, za czym na starość tęsknił, do czego wracał w rojeniach, znieczulony lekarstwami i kroplówką, widząc pod powiekami sny, a na zewnątrz zwidy, przemawiając do lalek, jak jego siostra zamęczona przez Kałmuków, którzy wpierw wepchnęli jej w gardło szmacianą Rose-Marie, a potem pastwili się nad nią przez całą noc, dlatego Świr błagał laleczkę, by opisała mu, jak wyglądali oprawcy, by mógł zemścić się, aby pamięć o pięknej Wilhelminie Auguście trwała w nim, jak okropna bajka o wystającej z grobu rączce, którą opowiedział kiedyś Drągalowi, a on opowiedział ją maluchom i wszystkie ze strachu zmoczyły się jednej nocy i bały się przez wiele dni, że kiedyś znowu ta mała rączka im się przyśni.*

*A teraz przepraszam za małą dygresję. Dowiedziałem się, że po śmierci Wilhelminy jej rodzice zostali przez żołdaków oblani benzyną i spaleni. Świadkiem ich śmierci był piętnastoletni Hans, ukrywający się w kurniku. Kończę już, Panie Piotrze, tę przeraźliwą historię i pozdrawiam,*

*LMG*

*PS Wrócę na chwilę do starych zeszytów Hansa. Słyszałem, że straż leśna zasypała ziemiankę i spaliła jego zapchlone rzeczy osobiste. Zachował się tylko jeden brulion z sześćdziesiątego ósmego roku. Wysłałam go Panu przez kuriera, może Pana zainteresuje?*

Następnego dnia o dziewiętnastej zapowiedziany kurier przyniósł do pokoju hotelowego nadaną przez Guardiana przesyłkę. Magnus dał mu napiwek, a potem rozerwał niecierpliwie kopertę bąbelkową i wyjął czarny brulion.

Był podekscytowany. Siadł w fotelu pod oknem, zapalił lampkę i niespiesznie zaczął kartkować poplamione kartki.

Obrazy z przeszłości natychmiast ożyły, jakby tylko czekały w uśpieniu na takiego jak on czytelnika. Zobaczył oczami wyobraźni, jak Hans wychyla się z lasu. Widział go, gdy mija przystanek, a potem idzie ścieżką przez park, w którym stoi wieża spadochronowa, i zauważył, że Hans nerwowo spogląda na zegarek, by przyspieszyć kroku. Zostawia z boku technikum kolejowe, przechodzi przez uliczkę prowadzącą do rzeki w głębokim wąwozie i otwiera drzwi kina, w którym przed wojną była ujeżdżalnia koni wojskowych.

Kartkował brulion Świra, w którym roiło się od błędów. Na kilku stronach ostrze grafitu przedziurawiło papier, gdzieś tam zaś, w zszyciach, wciąż kryły się wyschnięte tytoniowe wiórki. Przewracał kartki i nie mógł wyjść z podziwu. Dziesiątki tytułów – prawdziwa filmowa encyklopedia! Na ostatnich stronach brulionu Hans Kochanek opisał filmy modnych, czechosłowackich reżyserów: Solana, Vlácilá, Formana i innych. Były tam więc Dolina pszczół, Kapryśne lato i wiele zapomnianych już czarno-białych filmów. Magnus miał w dłoniach wyjątkowy kalendarz spisany od projekcji do projekcji.

Pod datą dziesiątego września niespodziewanie trafił na intymne wyznanie. Hans zanotował wrażenia po projekcji *Romancy na trąbkę* Hrubína i Vávry:

*Mein Gott! Cale moje życie do dupy! Nigdy ne bendę tak grać na trombce, jak narzeczony Teriny, Viktor. Nigdy, pzenigdy! Gdybym miał trąbkę, może bym poznal taką dziewczyne, jak Cigánová – najpiękniejsza aktorka, jakom widzialem w swoim życiu.*

*Terina ma miętke usta i nieliche cycki, właśnie takie, jakie lubię. Kiedy gaszę świece i siedzę po ciemku w ziemniance, wciąż ją widzę. Nosi sukienki w groszki, a na szyi ma biały kołnierz, jak moja śp. mama.*

*Terina! – przyrzekam ci urocyście, że od dzisiaj, będę chodził na każdy twój film!*

O dwudziestej pierwszej trzydziści Zofia Góra otworzyła okno, włączyła na cały regulator Radio Maryja i postawiła na parapecie zapalony znicz, na pamiątkę kolejnej rocznicy śmierci papieża Polaka. Magnus skończył w tym momencie czytać swoją lekturę i przeżegnał się.

Następnego dnia nad ranem przyszedł mail od LMG. Wyjaśniał w nim, że zatrzymał się na jeden dzień we Frankfurcie i że w hotelu „Mercure” śledził na ekranie telewizora licytację szpady Magellana, transmitowaną na cały świat z domu aukcyjnego S&K w Madrycie.

Magnus spróbował go sobie wyobrazić: Guardian trzyma w jednej ręce widelec z frankfurterką, a w drugiej telefon komórkowy przy uchu. Cena rośnie, Guardian zaaferowany licytacją macza telefon w musztardzie i krzyczy coś do widelca, wstrząśnięty widokiem połyskującej szpady spoczywającej na zielonym suknie.

*Szanowny Panie! Czy Pan może sobie wyobrazić - dramatyzował – że pół kafejki wstało z miejsc, gdy dowiedziało się, że szpada Ferdynanda Magellana należy do mnie? Kiedy mój marszand ostatni raz podniósł do góry rękę, poczułem pod sercem ostrą szpilę, tak samo jak wiele lat temu, gdy w ochronce wyzarłem powieszzone na choince cukierki i powkładałem do cynfolii pocięte skórki razowca. Przed chwilą nasza mnie dziwna myśl, że za karę jestem takim kawałeczkiem razowca, zawiniętym w cynfolię i przez całe życie będę udawał kogoś, kogo tak naprawdę nie ma.*

*Kilka lat temu, Panie Piotrze, postanowiłem sprawdzić, co dzieje się z moim przybranym ojcem, który wspaniałomyślnie dał mi swoje nazwisko,*

*i co słychać u Charlotty, która pod szkolną sceną uczyła mnie z anatomicznego atlasu dorosłego życia.*

*Przyjechałem do M. po południu, gdy zbierało się na jesienną burzę. Zostawiłem samochód przed bramą i pełen nadziei wszedłem na dziedziniec szkolny, który kiedyś zamiatał mój przybrany ojciec.*

*Zaczęło padać. Kiedy wiatr przeganiał po boisku suche liście i piasek, skierowałem się przez szkolny park do domku profesora, w którym przyszło mi dawniej mieszkać, lecz gdy już tam doszedłem, stanąłem jak wryty. Na miejscu domu z czerwonej cegły z zadbanym ogródkiem stał obrzydliwy betonowy blok. Już miałem odejść, gdy spostrzegłem kobietę, która zbierała ze sznurów koszule i kalesony. To była Charlotte! Stara, rozpijaczona Charlotte ubrana w wypchany na kolanach dres. Udawała, że mnie nie poznaje. Powiedziała, patrząc gdzieś w bok, że profesor umarł na wiosnę, a potem zabrała kosz z praniem i bez słowa odeszła.*

*Wtedy zrozumiałem, że nie można otwierać zamkniętych ksiąg, że minione światy są bezpieczne jedynie w naszej pamięci. Wycofałem się jak tchórz i pojechałem na cmentarz obok dworca kolejowego przy starej gazowni.*

*Odnalazłem grób profesora Heinricha Guardianiana i było mi wstyd, że nie mam ze sobą kwiatów ani znicza, lecz modląc się, przypomniałem sobie topniejące śnieżynki, które kładł na mojej dłoni, i wszystko na nowo stanęło mi przed oczyma, dlatego uciekłem stamtąd i nie chcę więcej sam szukać ochronki i płacę Panu za to, by w końcu powiedział mi Pan, czy moja matka porzuciła mnie w rowie i czy moim ojcem był pijany żołdak, który zgwałcił ją i po tej męskiej zabawie zamówił sobie w knajpie golonkę z kapustą i piwo.*

*Wdzięczy się – pomyślał Magnus, nie odrywając wzroku od ekranu. – Liczy na moją litość. Zasupłał swoje życie w skomplikowany węzeł, *single hitched mat*, jak ten wiszący za szkłem w „Obłoku”, obok portretu Magellana.*



*Czy Pan wie, Panie Piotrze – Magnus na powrót zagłębił się w lekturze maila Guardianiana – że od mojej ucieczki z ochronki wciąż prześladowała mnie myśl, że Maryjka straciła życie przeze mnie?*

*Przez kilkanaście lat włóczenia się po świecie udawało mi się sprytnie oszukiwać sumienie, aż pewnego dnia, gdy przypadkiem znalazłem się w miasteczku G. na charytatywnym koncercie, na który zaproszono mnie jako sponsora, usłyszałem piosenkę śpiewaną przez chór z domu dziecka. Kiedy dyrygentka dała znak, wystąpiła przed szereg mała dziewczynka i zatańczyła do piosenki o złej zimie. Miałem wrażenie, że tańczy tylko dla mnie. W jednej sekundzie przypomniałem sobie mój pobyt w ochronce i poczułem w boku pieczenie.*

*Obudziłem się w szpitalu, a kiedy po kilku dniach doszedłem do siebie, postanowiłem podziękować tancereczce. Przed obiadem zjawiłem się w sierocińcu.*

*Nie wiem, jak to się dzieje, Panie Piotrze, że rozpoznaję ten jedyny w świecie zapach: pasty do podłóg, ziemniaków w mundurkach i starej spranej pościeli. Taką niepokojącą woń poczułem w prowadzonym przez siostry szarytki sierocińcu i z miejsca straciłem rezon.*

*Gdy siostra Jadwiga (przypominająca naszą poczciwą Sabinę z ochronki) przyprowadziła dziewczynkę, uderzyła mnie niezwykła powaga na twarzy tej małej. Mimo swych trzynastu lat wyglądała jak stara, pogodzona z losem kobieta.*

*Siostra Jadwiga nie mogła jej się nachwalić. Opowiadała, że jej wychowanka płynnie mówi językiem migowym, że uczy się grać na wiolonczeli. Tą małą wiolonczelistą była, jak Pan się domyślił, Maria.*

*Maria pochodziła z maleńkiej wioski na Mazurach, do której jeszcze dzisiaj docierają tylko łosie i ekolodzy. Trzy lata wcześniej od jakiegoś zwarcia elektryki zapalił się jej dom i stodoła. W ogniu zginęli jej rodzice, a ona sama straciła mowę. Jej dalsza rodzina z biedy oddała ją do domu dziecka.*

*Przedstawiłem się, zaznaczając, że jako mały chłopak mieszkałem w ochronce, na co dziewczynka nie zareagowała, a ja wiedziałem, Panie Piotrze, że muszę zrobić wszystko, by przywrócić ją do normalnego życia. I pomyślałem jeszcze, gdy odchodziła, że to nie jest przypadek, że nosi takie samo imię jak moja dawna Maryjka.*

*Od tej pory zacząłem starania. Odwiedziłem ośrodki leczenia mowy w Nagoi i w Nowosybirsku. Zorganizowałem tam kongres pod hasłem najnowszych metod leczenia porażenia mowy. Nawiązałem kontakty ze światowymi sławami w tej dziedzinie, w tym z prof. Lebediewem, poprosiłem go o przebadanie Marii. Ten przypadek afazji globalnej bardzo go zainteresował. Musiałem jeszcze uzyskać zgodę przeoryszy, a potem...*

*PS Wiem, że to niestosowna chwila, by w połowie opowieści o Marii składać Panu nową propozycję, lecz sytuacja jest ze wszech miar wyjątkowa. Bardzo proszę, by jutro o dwudziestej pojawił się Pan na towarzyskim spotkaniu w kawiarni „Platon”. Będzie się tam toczyć ważna dla nas oba dyskusja! Oddany Panu – LMG*

*PS Mam nadzieję, że zechce Pan...*

Znowu urwał w połowie myśli, jakby wzywali go na jakąś cholerną licytację.

Magnus wstał od laptopa i spojrzał w okno, które przed kilkoma dniami szturmował zawzięcie. Było zasłonięte, zaś na półpiętrze jakiś robotnik, stojąc na rozsuwanej drabinie, przybijał do drewnianego rusztowania zerwaną przez niego drucianą siatkę.

Magnus nie żałował swego postępków. Tylko dzięki jego ciekawości Guardian otworzył się przed nim, jak mały wrzucony do wrzątku.

Tego dnia nie wystawiał głowy z hotelu aż do wieczora. Samotność nigdy mu nie dokuczała, a z pobytu w swojej klatce był zadowolony jak stetryczały więzień. Napisał maila do syna i w zakończeniu poprosił, by

pozdrowił w jego imieniu Sylwię. Potem zjadł w „Obłoku” obiad, a kiedy wrócił, pierwszy raz przeczytał napisaną przez siebie biografię. Sto dziewięćdziesiąt siedem stron. Po ostatnich skreśleniach i poprawkach życiorys Guardiana brzmiał zdecydowanie lepiej.

Było kilka minut po dziewiętnastej, gdy zapisał na pendrivie efekt kilkumiesięcznej pracy i schował go do kieszeni, tak jak mu doradził syn. Tekst z twardego dysku wrzucił do wirtualnego kosza.

Wyłączył laptopa i stanął przed lustrem. Szykował się do wyjścia. Nałożył świeżą koszulę, tweedową marynarkę i džinsy, a kiedy zastanawiał się, co to za ważna dyskusja, o której pisał LMG, niespodziewanie zadzwonił telefon.

Podniósł słuchawkę.

– Pan Piotr?

– Tak, a kto mówi? – rzucił, poprawiając w lustrze kołnierz.

– Najwyraźniej pan o mnie zapomniał.

– Kto mówi? – zapytał poirytowany.

– Tu woła pańskie sumienie! – W słuchawce słychać było bezczelny chichot. – Niech pan nie myśli, że o panu zapomniałem.

– Halo?

– Tu pański oddany czytelnik!

Po tej zuchwałej odpowiedzi rozpoznał głos bruneta, z którymi rozmawiał w „Obłoku”.

– Proszę się mnie nie bać. Nie musi pan się bać, panie Piotrze, no chyba że...

– Że co?

– Że znowu zatai pan przede mną prawdę.

Magnus z trzaskiem odłożył słuchawkę i szykował się otworzyć drzwi, lecz telefon zadzwonił ponownie.

– Zawiodłem się na panu! – usłyszał reprimendę. – Umawialiśmy się, że nie będzie pan opuszczał miasta!

- Wyjechałem tylko na jeden dzień. Miałem zobowiązania.
- Za każdym razem pan coś musi! – Brunet nie dał mu skończyć. – Czy pan wie, gdzie się podziewa pański zleceniodawca? Obiecywał pan, że zadzwoni do mnie w tej sprawie.
- Nie zwierzał mi się ostatnio ze swoich planów.
- A mimo to ciągle pan z nim koresponduje!
- Nie pańska sprawa.
- Jak najbardziej moja i mam zamiar do końca ją wyjaśnić. Czy pan zna dzisiejszy scenariusz?
- Co ma pan na myśli?
- Ciekawe, kogo dziś pan Guardian wyznaczył na ofiarę.
- Mógłby pan mówić jaśniej?
- Jaśniej się już nie da! Guardian z wyjątkową wprawą wabi swoich przyjaciół, a kiedy już się do niego zbliżą, wtedy bez żadnych skrępowań...
- Kłamstwo! – rzucił Magnus do słuchawki.
- Ja tylko, panie Piotrze, próbuję pana grzecznie ostrzec!
- Obejdzie się! – Magnus wyrywał wtyczkę z gniazdka. Zamknął drzwi i wściekły wyszedł z hotelu.

W ten ciepły kwietniowy wieczór ulica Długa, przy której mieścił się hotel, była pełna przechodniów. Na przystanku stała grupka hałaśliwych studentów, wypatrujących tramwaju. Magnus przeszedł obok nich i obejrzał się dyskretnie. Upewniwszy się, że nikt za nim nie idzie, ruszył przed siebie szybkim krokiem. Przy ceglanej kapliczce, postawionej na pamiątkę epidemii cholery, jeszcze raz obrócił się przez ramię, a potem machnął ręką na przejeżdżającą taksówkę.

Zamówił kurs do kawiarni „Platon” i rozparł się na tylnym siedzeniu. Było mu ciepło i wygodnie. Przez całą drogę kierowca serwował mu fragmenty z *Pajaców* Ruggiera Leoncavalla, a on z trudem zastanawiał się, jaką niespodziankę przygotował mu tym razem Guardian.

Minęli Podwale, potem wjechali w Aleję Focha, wbijając się niespodziewanie w osiadającą na Błoniach gęstą mgłę. Kierowali się powoli w stronę kopca Kościuszki, by skręcić przed nim w kierunku autostrady. Taksówka wjechała w jakąś wąską dróżkę i po kilkuset metrach, sunąc w tunelu z białej waty, zatrzymała się przed stalową bramą na niewielkim szutrowym parkingu.

Ubrany na czarno mężczyzna, który pilnował bramy, podszedł do samochodu, zajrzał do środka i zapytał pasażera o nazwisko. Następnie przekazał jego dane przez krótkofalówkę do centrali. Niezrozumiała komenda, która dobiegła z chrapliwego głośnika, sprawiła, że strażnik nacisnął pilota i brama z antenką odjechała na bok.

Magnus uregulował należność za kurs, wysiadł z taksówki i ruszył w kierunku szklanej rotundy. Po drodze zdawało się mu, że czuje słabą woń maciejki.

Był kwadrans po dwudziestej, gdy uchylił szklane drzwi i wślizgnął się do środka, zamykając za sobą wonną mgłę. Zajął wolne miejsce przy betonowym filarze i się rozejrzał. Taneczna salka zaadaptowana na widownię była pełna. Przed nim w pięciu rzędach siedzieli goście, zwróceni w stronę niewielkiej podświetlonej sceny. Spotkanie musiało rozpocząć się punktualnie, więc jego oficjalna część ominęła Magnusa, czego wcale nie żałował.

Na środku sceny ustawione były dwa głębokie skórzane fotele, a obok nich spacerowała konferansjerka. Kobieta miała długie blond włosy i błyszczące usta, które co jakiś czas nerwowo oblizywała. Była ubrana w czarną obcisłą sukienkę, która podkreślała jej zgrabną figurę. Magnus z zainteresowaniem obejrzał jej nogi, a potem zaczął przysłuchiwać się rozmowie.

Kobieta trzymała mikrofon w prawej ręce. W jej lewym uchu widać było niewielką słuchawkę.

– Czy może pan powtórzyć? – zwróciła się do mężczyzny, stojącego pośrodku widowni, ubranego w beżowy garnitur. – Dlaczego pan sądzi, że dzieci były w ochronie źle traktowane?

– Tego nie powiedziałem. – Mężczyzna nerwowo poprawił okulary. – Przeanalizowałem dostępne dokumenty. Jest ich niewiele. Wskazują jednak, że ucieczkę dwójki małych bohaterów sprowokował całkowity brak opieki ze strony dorosłych. W tej sprawie toczyło się zresztą głośne śledztwo.

– Proszę mówić dalej.

– Dzieci nie mogły się pogodzić z odosobnieniem. Fantazjowały, tworząc swoje lepsze światy, lecz nic w ich opowieściach nie było prawdą, chociażby ta legenda o puchaczu i morwie...

– Chce pan powiedzieć, że historia o puchaczu jest zmyślona? – kobieta przerwała mężczyźnie w pół zdania.

– Oczywiście! To tylko dziecięca fantazja. Jestem przekonany, że żadnej morwy, a tym bardziej puchacza, o których wspominał mój szanowny przedmówca, nie było!

– Dziękuję panu, panie docencie, za tę wypowiedź. Ponieważ pańskie naukowe stanowisko kwestionuje dziecięce relacje, spróbowaliśmy dotrzeć do bardzo ważnego świadka, który może nam co nieco wyjaśnić. Właśnie uzyskałam z nim połączenie. Halo? Czy pan mnie słyszy? – kobieta przekrzywiła głowę i przystawiła mikrofon do ust.

– Tak. Teraz słyszę panią lepiej- odpowiedział z głośników niski, chrypiący głos.

– Niełatwo było pana odnaleźć i bardzo długo nie chciał pan się zgodzić na tę rozmowę. Czy słyszał pan wypowiedź pana docenta?

– Słyszałem.

– I co pan o niej sądzi?

– To bzdura! – powiedział mężczyzna i chrząknął głośno, by dodać sobie odwagi.

– Chce pan powiedzieć, że nie było puchacza? – zapytała prowadząca, spoglądając w stronę naukowca.

– Puchacz był, przecież to ja zestrzeliłem go z procy!

– Czy mógłby się pan nam przedstawić?

– Nie chcę nikomu robić kłopotów, sama pani rozumie. Całym swoim życiem odpokutowałem za szczeniacką głupotę. Teraz jestem na emeryturze. Byłem na kolei nastawniczym, a przez ostatnie jedenaście lat dróżnikiem. Tak się składa, że od wielu lat hoduję gołębie, i dziś nie wyobrażam sobie, że mogłem kiedyś dopuścić się tej potwornej zbrodni! Chciałem przeprosić Szczurka. On domyśla się, kim jestem, ale sądzę, że po latach ta historia już nie ma dla niego żadnego znaczenia.

– Czy chciałby się pan z nim spotkać i pogodzić?

W głośnikach zapadła cisza.

– Halo? Czy pan mnie słyszy? Interesuje nas jeszcze morwa.

W odpowiedzi z głośników wydobył się denerwujący sygnał, a potem świdrująca w uszach kakofonia dźwięków.

– Niestety połączenie zostało zerwane – powiedziała kobieta do zebranych i uśmiechnęła się. – Będziemy jeszcze próbowali nawiązać kontakt z naszym tajemniczym rozmówcą. Póki co, poproszę realizatora o światło na widownię. Tak! Jest z nami kolejny gość, witamy pana serdecznie!

Magnus klaskał z innymi i spoglądał na siedzącego przed nim mężczyznę. Zgarbiony gość zakrywał dłońmi twarz przed oślepiającym reflektorem.

– Czy zechciałby pan do nas podejść?

Wywołany mężczyzna z trudem się podniósł. Był ubrany, jakby wybierał się na pogrzeb: w czarny garnitur, błyszczące lakierki i czarny wąski krawat. Starzec szedł powoli, trzymając się ściany. Ostatnie kroki na scenę zrobił podtrzymywany przez spikerkę. Kiedy dotarł na środek, trzęsły mu się kolana i ciężko dyszał.

– Bardzo proszę usiąść w fotelu i przedstawić się.

Starzec z wysiłkiem zajął wskazane miejsce. Przeciągnął wierzchem dłoni po spierzchniętych wargach.

– Nazywam się Wolfgang Us.

– Czy to prawda, że był pan fryzjerem w ochronie?

– Zgadza się. W tamtych czasach zarabiałem na życie stryżeniem.

– Czy pamięta pan małego chłopaka, który nosił w ochronie przydomek Szczurek?

– Nie pamiętam. Przed tym, co się zdarzyło, było ich tam wielu... – powiedział z trudem. – Gdyby mi ktoś powiedział, jakie miał włosy, to kto wie.

– Nie mamy jego zdjęcia. Tak, słyszę podpowiedź realizatora programu, że był to jasny blondynek.

– A więc to on?

– Czy może pan coś o nim więcej powiedzieć?

Mężczyzna przełknął ślinę i poluzował wąski, staromodny krawat.

– Nienawidził mnie! Setki razy robił mi na złość. Przyłapałem go kiedyś, jak wbijał gwóźdź w oponę mojego motocykla. Myślałem, że go za to zabiję! W tym dniu w miasteczku przed Pomnikiem Zwycięstwa był capstrzyk. Miałem ogolić przewodniczącego miejskiej rady, który gościł delegację bratniej armii radzieckiej. Spóźniłem się i o mało nie wsadzili mnie do paki. Ile ja się za niego musiałem potem tłumaczyć!

– Panie...

– Proszę zwracać się do mnie: Wacek; tak nazywała mnie moja mama. Nie lubię swojego imienia, chłopcy śmiali się ze mnie wojsku, przezywali folksdojczem!

– Panie Wacku, panie Waławie, czy... czy to prawda, że pewnego dnia wywiózł pan ze sobą małą dziewczynkę, którą w ochronie nazwali Tak-i-Nie?

– Skąd pani o tym wie?



Kobieta spojrzała przenikliwie na gościa.

– Przed programem wyjaśniłam państwu, że zależy nam na ustaleniu prawdy. Proszę się niczego nie obawiać.

Mężczyzna potarł wierzchem dłoni brodę. Widać było, że się zastanawia.

– Jeśli o to chodzi – zaczął – sto razy wyjaśniałem, że chciałem ją uratować.

– Pewnego dnia wsadził ją pan do przyczepy i bez słowa wywiózł? Ludzie plotkowali, że przehandlował ją pan za swojego psa.

– Ludzie mówią różne straszne rzeczy.

– Więc to nieprawda?

Mężczyzna nie rozumiał, czego chce prowadząca. Wolno dłubał w kącikach oczu.

– Proszę potwierdzić albo zaprzeczyć – nalegała rozmówczyni, przymilając się.

– Adoptowałem ją, a to chyba nie była tajemnica. Wypełniłem kilkanaście stron formularzy. Stawałem przed komisjami i odpowiadałem na setki pytań. Wszyscy wychowawcy wiedzieli, że się o nią staram. Sam towarzysz Igor Kotow wystawił mi pozytywną opinię. Dałem mu psa Cerbera, bo bardzo mnie o to prosił. Długi Jan, a nawet siostra Sabina też podpisali się na moim podaniu. Ja Heli tylko pomogłem, inaczej zmarnowałyby się w ochronce. Teraz Helenka ma swój dom: męża listonosza i trójkę ślicznych dzieci. Są szczęśliwi i ja też przy nich jestem szczęśliwy.

– Chciałam zadać panu jeszcze jedno pytanie.

Piotr Magnus siedział wpatrzony w Wolfganga Usa i widział drzenie jego kolan pod wyprasowanymi w kant spodniami.

Starzec pociągnął nosem.

– Słucham?

– Czy wierzy pan, panie Waławie, w istnienie innych, lepszych i sprawiedliwszych światów?

– Dlaczego pani mnie o to pyta? Dlaczego właśnie mnie?

– To nie ja. To organizator postawił takie pytanie. Jeśli pan chce, nie musi pan wcale na nie odpowiadać. Taka jest reguła naszego programu.

Wolfgang Us rozejrzał się po sali, jakby chciał od zebranych usłyszeć odpowiedź, a potem powoli zszedł ze sceny i zaczął spazmatycznie płakać.

Realizatorka spróbowała odwrócić uwagę widowni od incydentu.

– Dziękuję panu, poproszę pana później. Mamy właśnie nowe połączenie. To już ostatni nasz rozmówca.

– Halo! Czy mnie słyszać? – odpowiedział zmiksowany elektronicznie kobiecy głos.

– Słyszemy panią dobrze.

– Nie wiem, jaka jest moja rola. Czego się ode mnie w tym programie oczekuje?

– Liczymy na to, że po latach przypomni nam pani jedno wydarzenie. Chcielibyśmy poznać prawdę.

– Obawiam się, że już nigdy jej nie poznamy – stwierdził kobiecy głos, który brzmiał, jakby dochodził z trzeszczącego pudła. – Materiały ze śledztwa utajniono, ja byłam tylko protokolantką.

– Dlaczego je utajniono? – Prowadząca program odwróciła wzrok w kierunku reżyserki, gdzie za konsolą siedział chudy brodac z słuchawkami na uszach, i gestem poprosiła o pogłóśnienie.

– W tamtych trudnych latach taka informacja była władzy nie na rękę – kobiecy głos rozlał się po sali – a i teraz niejednej osobie mogłaby zniszczyć życie.

– A w jaki sposób udało się tę prawdę ukryć?

– Zadziałała wszechobecna cenzura.

– I do dziś opinia publiczna o tym zdarzeniu nie wie?

– Prawdę zna tylko kilka osób. Zastanawiam się, czy warto wracać do tych wydarzeń, gdy oficjalna wersja...

– Jaka była oficjalna wersja?

– Zakaźna choroba – odpowiedział trzeszczący głos. – W tym czasie łatwo było o epidemię. Władze wymyśliły więc dyzenterię i jednego dnia ochronka przestała istnieć.

– A pozostałe przy życiu dzieci?

– Rozwieziono je po całym kraju i ulokowano w różnych domach dziecka, tak że więcej nie miały już ze sobą styczności.

– Co pani pamięta? Czy może pani odtworzyć dla nas ów niejawny zapis?

– Były dwa protokoły. W oficjalnym stwierdzono, że wszystkie dzieci umarły na dyzenterię.

– To niemożliwe! – wycharczał Us. – To bezczelne kłamstwo!

Prowadząca spotkanie spojrzała w stronę fryzjera, a potem zadała kolejne pytanie, które sprawiło, że Piotr Magnus z wrażenia aż wstrzymał oddech.

– A w poufnym protokole?

W głośnikach słyhać było wyraźnie szum wiatru.

– Zdarzył się wypadek. Obsunęła się ziemia i kilkanaścioro dzieci zostało pogrzebanych żywcem w starej żwirowni, niedaleko ochronki. Jeden z chłopców zdołał się uratować i to on pobiegł po pomoc, ale gdy przybyli wychowawcy, a potem przyjechało wojsko z M., na jakąkolwiek pomoc było już za późno.

– Czy w protokole były zeznania tego chłopca?

– Tylko w tej pierwszej wersji, która została zastąpiona oficjalnym komunikatem.

– Czy mogłaby pani...

– Obalić go lub potwierdzić? Po wyjeździe siostry Sabiny dzieci uległy zbiorowej hysterii. Oczywiście to jedynie wygodne stwierdzenie,

które może uspokoić sumienia dorosłych – powiedział zagłuszany wiatrem kobiecy głos. – Faktem jest, że od blisko roku dzieci drążyły na terenie zwirowni podkop, by dostać się (jak to określił pozostały przy życiu chłopiec) z Piekła do Raju.

Piotr Magnus nadstawił uszu. Teraz zaczynał rozumieć, dlaczego Guardian poprosił go o uczestnictwo w spotkaniu.

– Brały udział w jakiejś dziecięcej grze?

– Nic mi nie wiadomo o grze. Chłopak był przesłuchiwany przez „profesjonalistów”.

– Co to oznacza?

– Urząd Bezpieczeństwa miał u siebie rozmaitych speców. Dorośli czy dzieci... Dla nich ważna była tylko informacja.

– Pani Sylwio...

– Umawialiśmy się przed programem, że nikt nie pozna moich danych – zareagował nerwowo chrypiący kobiecy głos.

– Dlatego zadbaliśmy, by pani głos był zniekształcony. Wszystko jest w jak najlepszym porządku.

W głośnikach zapadła cisza. Słysząc było jedynie szum wiatru, a potem okrzyk mewy, który po zmiksowaniu brzmiał jak gardłowe nawoływanie kruka.

– W ochronie, w tej ochronie – mówił głos – relacje dobra i zła były odwrócone. Potwierdził to ksiądz, który opiekował się dziećmi po wyjeździe siostry Sabiny do Konga. Powiedział, że ich śmierć była wynikiem dziecięcej desperacji. Dzieci pragnęły dostać się do Raju, dlatego zrobiły w skarpie nad jeziorem głęboki podkop i wszystkie razem weszły do niezabezpieczonego tunelu.

– Jak to możliwe, że nikt tego nie przewidział? Dzieci z reguły nie potrafią utrzymać tajemnicy.

– Ksiądz Andrzej zeznał podczas przesłuchania, że to nie były dzieci. To znaczy, każde z nich oczywiście było dzieckiem, lecz doświadczenia

życiowe, to wszystko, co w młodości przeszły, uczyniły z nich grupkę zdesperowanych „dorosłych”.

– A co się stało z wychowawcami?

– Nietrudno zgadnąć, gdzie trafili. W tym czasie człowiek pojawiał się nagle i tak samo nagle bez śladu znikał – powiedział zmiksowany kobiecy głos, a potem szum wiatru i krzyk mewo-kruka uderzył w słuchaczy z podwójną siłą.

Konferansjerka na próżno próbowała nawiązać łączność z tajemniczą panią Sylwią, machając do siedzącego w reżyserce brodacza, by coś zrobił.

Magnus zastanawiał się, czy podejść do prowadzącej, by zapytać ją o wyreżyserowany przez Guardiana spektakl, lecz nie mógł się ruszyć, zablokowany przez Wolfganga Usa, który nagle osunął się między fotele.

Magnus pierwszy udzielił mu pomocy. Poluzował mu krawat i rozpiął sztywny kołnierzyk koszuli. Po chwili, gdy fryzjer z ochronki zaczął miarowo oddychać, pojawiła się panienka z obsługi ze szklanką wody i kroplami na uspokojenie. Us przełknął krople z łyżeczki, a potem wypił chciwie wodę, patrząc na Magnusa pytającym wzrokiem.

Spektakl dobiegł końca. Zapalono światła na widowni. Kobieta podziękowała zebranych, życząc im zdrowia i miłego pobytu w mieście. Powiedziała również, że taksówki już czekają przy bramie i że każdy z uczestników zostanie zawieziony do swego hotelu na koszt organizatora.

Goście powoli opuszczali salę, kierując się ku wyjściu. Magnus patrzył na ich twarze, próbując zgadnąć, jaki mieli związek z ochronką oraz Guardianem. Dlaczego nie zabierali głosu? Ciekawiło go, czy wśród zebranych byli pozostali bohaterowie wspomnień hotelarza: Igor Aleksiejewicz Kotow, dentysta Alfons Kruczkowski, babcia Dziewiatowska, a przede wszystkim Jan i jego narzeczona Łucja.

W ciszy słychać było szuranie butów i pokastywania, a w powietrzu unosiła się woń niemodnych już perfum. Piotr ponownie prześlizgnął się po twarzach wychodzących, lecz nikogo nie potrafił rozpoznać. Przyszły mu

do głowy kolejne pytania. Dla kogo Guardian urządził ten dziwny spektakl? Czy zapłacił uczestnikom, a jeśli tak, to ile?

W tym momencie ktoś przerwał jego rozmyślenia. Poczł energiczny uścisk na lewym ramieniu. Kiedy obrócił głowę, zobaczył kogoś, kogo w tym miejscu kompletnie się nie spodziewał – Pięknego Aleksandra.

– Czy możemy chwilę porozmawiać? Chciałbym się panu z czegoś wytłumaczyć.

Magnus przytaknął.

Piękny Aleksander, którego Piotr spotkał po raz pierwszy w sąsiadującej z hotelem kamienicy, czekał na niego na schodach kawiarni. Malarz przywitał się z nim, a potem bez zbędnych ceregieli zaprosił go na wódkę.

Chłopak pochwalił się, że jest przy forsie, bo właśnie sprzedał cykl swoich obrazów.

Za bramą wsiedli do wolnej taksówki i pojechali do „Estery”, tej samej knajpki, w której Magnus przed trzema miesiącami przeżywał samotnie rozbrat z literaturą.

Tam Piękny Aleksander pokazał, na co go stać. Wybrali z menu smakowite gęsie pipki, cymes, kugiel z rybą, a na deser aromatyczne gruszki z absyntu z kardamonem, wszystko obficie zakrapiane schłodzoną kosztowną wódką.

Malarz opłacił też klezmerski zespół, który swą żywiołową grą wprowadził ich w prawdziwie błogi nastrój. Pod koniec kolacji, gdy przeszli na ty, Aleksander wręczył Piotrowi wizytówkę z nowym adresem i mówił się z nim na sesję malarską, obiecując, że w pracowni zdradzi mu swoją tajemnicę.

Młody artysta miał tęgą głowę, zaś Magnus upił się tak, że nie pamiętał, jak trafił do hotelu.

Magda z recepcji patrzyła z politowaniem, gdy sunął chwiejnym krokiem w stronę kosmicznej windy. Jazda na drugie piętro trwała całą

wieczność. Żołądek podszedł mu do gardła i w ostatniej sekundzie udało się mu wpakować głowę do muszli klozetowej. Kiedy dotarł do łóżka, niespodziewanie odezwała się jego komórka. Dzwoniła coraz głośniejsze, aż ze złością wyszarpnął ją z kieszeni. Na wyświetlaczu odczytał imię syna.

– Przepraszam, Pawle, ale nie mogę z tobą rozmawiać – wybełkotał, po tym jak odebrał połączenie.

– Nie odbierasz moich telefonów! Co się z tobą dzieje?

– Tak, jest... – nie dokończył i zwałił się na łóżko.

Na próżno uciekał przed męczącym go kacem. Nie pomagała tabletki od bólu głowy i zaciągnięte zasłony. Przed południem wyrwał się do miasta, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Po godzinie marszu, gdy nogi odmówiły mu posłuszeństwa, wsiadł do tramwaju nr 1 i pojechał na Salwator, a stamtąd na koniec trasy, na Wzgórza Krzesławickie. Kiedy wracał, banda rozwydrzonych szalikowców Wisły sterroryzowała pasażerów. Wyskoczył przy Brackiej i z pulsującą głową ruszył w stronę swego hotelu. Po piętnastej ledwie wszedł do swego pokoju, wyciągnął się na łóżku i przymknął oczy. Właśnie wtedy dopadł go dziwny sen.

Śniło mu się średniowieczne miasto. Domy, ulice, a nawet wieże kościołów wydawały się znajome. Był parny letni wieczór. Jaskółki latały przy samej ziemi i zanosilo się na burzę.

Magnus szedł na czele procesji, dźwigając drewniany krzyż. Stapał dostojnie w rytm bębnów, podrywając z ulicy pył, zatykający płuca. Po plecach spływały mu strumyczki potu. Za nim szedł rozochocony tłum. Wszyscy nieśli wiązki chrustu. Pochód zmierzał w stronę rynku, gdzie przy szafocie stał kat z naciągniętym na głowę kapturem. Obok niego w żelaznej klatce szamotał się wielki Murzyn zakuty w kajdany. Wyglądał jak upiorny pajak. Na jego widok Magnus podniósł do góry drewniany krzyż. Wtedy tłum zamarł i usłyszał za plecami czyjś szept: „Rycerz Munier nie przeklina swoich oprawców, on, mistrzu Piotrze, wybacza im!”.

Miał zamiar obrócić głowę w stronę heretyka, lecz wtedy dotarł do niego natarczywy dźwięk, jakby z innego świata. Telefon. Obudził się w łóżku hotelowym i odruchowo sięgnął ręką po słuchawkę.

– Mam nadzieję, że panu nie przeszkadzam? – usłyszał kobiecy głos.

– To chyba pomyłka.

– Ależ skąd. Mieszkamy naprzeciw siebie, panie Piotrze, i widujemy się od dawna. Proszę podejść do okna i spojrzeć w moją stronę.

Magnus stanął w oknie i odchylił zasłony.

– Widzi pan? To ja. Dzwoniłam do pana przed południem, ale pan nie odbierał.

– Przepraszam, nie było mnie w hotelu – wydukał, nie mogąc sobie wybaczyć, że nie od razu rozpoznał ten charakterystyczny, ciepły głos.

– Rozumiem. Czy mógłby pan do mnie przyjść?

– Kiedy? – zapytał, patrząc na stojącą w oknie kobiecą sylwetkę.

– Najlepiej zaraz.

– Ale...

– W „Obłoku”, z lewej strony portretu Magellana, znajdzie pan zastawione stołem drzwi, może pan także wsiąść do windy na swoim piętrze i nacisnąć jednocześnie dwa skrajne przyciski. Proszę przyjść. Czekam!

Maria odeszła od okna, a on odłożył słuchawkę i wszedł do łazienki, by się odświeżyć. W ekspresowym tempie ogolił się i mył zęby (zużywając chyba pół tubki pasty). Ubrał się, a potem wsiadł do windy i nacisnął jednocześnie pierwszy oraz ostatni przycisk. I wtedy spotkała go niespodzianka. Winda zjechała poniżej „Obłoku Magellana” i Magnus znalazł się w korytarzu dawnej piwnicy, prowadzącym do innego skrzydła budynku. Przeszedł kilkadziesiąt metrów pod ceglany sklepieniem i wsiadł do starej przedwojennej windy, która zawiozła go na pierwsze piętro kamienicy sąsiadującej z hotelem.



Mogła to być tajemnicza droga ucieczki, z której skorzystał Claude Munier, pomyślał Magnus.

Zobaczył ją, kiedy wyszedł na korytarz. Stała w otwartych drzwiach i była ubrana na czarno. Bez słowa chwyciła go za rękę i poprowadziła do swego apartamentu.

Poczuł od progu zapach świec i jeszcze czegoś, co kazało mu mieć się na baczności. Kiedy wszedł do pokoju umeblowanego jak szpitalna salka, zobaczył żelazne łóżko, a na nim przykryte prześcieradłem ciało. Domyślił się, że to zwłoki starca, którego Maria pielęgnowała. Mógłby odchylić białe przykrycie i spojrzeć w opisaną przez LMG twarz Hansa-Świra, lecz brakowało mu odwagi.

Na okrągłym stoliku u wezglowia zmarłego stał wielki mosiężny lichtarz, w którym paliła się woskowa świeca. Maria przyklękła i odmówiła pacierz. Magnus powtórzył jej ruchy, a kiedy się zegnał, dostrzegł siedzącą na parapecie lalkę, obróconą do niego plecami.

– To moja wina – powiedziała cicho Maria – gdybym się nie spóźniła, pewnie by żył. Jeszcze wczoraj rano się śmiał. Był odmieniony i tryskał humorem. Dał mi do naprawy sztuczną szczękę i obiecał, że jeśli ją skleję, znowu zacznie jeść. Poszłam po południu do protetyka, ale go nie zastałam. Jego żona mówiła, że wybrał się nad Wisłę na ryby. Zostawiłam jej protezę, ale było już za późno. Wieczorem pan Hans poczuł się gorzej. Mówił, że chce umrzeć. Około drugiej w nocy zaczął się dusić, więc wezwałam pogotowie. Lekarz próbował go reanimować na miejscu, lecz o trzeciej poddał się i stwierdził zgon.

Zamilkła. Od drzwi dobiegło głośne pukanie. Magnus wyszedł na korytarz, by wpuścić do środka dwóch pracowników zakładu pogrzebowego, którzy przyszli po ciało. Obaj ubrani byli w czarne garnitury, jak spod igły, czarne koszule i krawaty. Przedstawili się hałaśliwie i wyrecytowali wyuczone na pamięć kondolencje.

Maria wysunęła szufladę wiklinowej etażerki i wyjęła z niej foliową torebkę. Tęgi mężczyzna, z czarnymi, zaczesanymi za uszy włosami, wziął ją od niej i wytrząsnął na dłoń sklejoną sztuczną szczękę. Potem odciągnął prześcieradło i pochylił się nad zmarłym. Jego szerokie plecy zasłaniały Magnusowi widok.

– Mamy szczęście – oznajmił grabarz, poprawiając spadające włosy. – Ciało nie zdążyło jeszcze całkiem stężeć.

Obaj mężczyźni z wprawą włożyli zwłoki do czarnego, plastikowego worka i z piskiem zaciągnęli zamek. Chudy, z włosami obciętymi na jeża, starał się być miły.

– To pana tatuś? – zapytał uprzejmie i wręczył Magnusowi wizytówkę firmy pogrzebowej.

Magnus szybko zaprzeczył.

– Proszę się nie martwić. Zapowiada się śliczny pogrzeb – powiedział podekscytowany grabarz. – Nasz szef zatrudnił nowego trębacza. Kiedy chłopak gra, ludziom na cmentarzu pękają serca!

Piotr, którego wciąż łupało w głowie, czekał, aż Maria omówi z nimi wszystkie szczegóły.

– Dobrze, jak pani chce – usłyszał. – Będzie ksiądz, tradycyjny karawan i sosnowa trumna.

Kiedy grabarze wyszli z zapakowanym do worka Hansem, Maria zdmuchnęła świecę i siadła bezradnie w fotelu. Magnus podszedł do okna. Przez żaluzje, po drugiej stronie hotelowego dziedzińca widział swój pokój i stojące na stole zaklejone pudło. W prostokącie okna pokazała się nowa pokojowa, która robiła porządki. Jej włosy, pomalowane na kolor miedzi, widać było z daleka, jak lampę. Trzymała w ręku ściereczkę i wycierała parapet, spoglądając w jego stronę. Magnus nie lubił jej. Była zanadto wścibska. Nie brała do prania jego koszul i bielizny za dopłatą, jak jej poprzedniczka. Raz wydawało mu się (nie mógł tego udowodnić), że

przeglądała jego korespondencję. Innym razem stwierdził, że jego laptop był włączony, choć dałby głowę, że wychodząc do miasta, go wyłączył.

Kiedy pomyślał o biografii LMG, stało się coś, czego się zupełnie nie spodziewał. Poczuł na szyi ciepły oddech. Trwał nieruchomy, pozwalając się całować. Wilgotne usta Marii paraliżowały go. Słyszał jej konwulsyjny płacz, gdy zdejmowała z siebie czarną bluzkę. Przywarła do niego, jakby tym sposobem mogła natychmiast uwolnić się od znienawidzonej roli.

Miała zamknięte oczy. Wolno przesunęła palcami po jego twarzy. Delikatnie zaznaczyła kąciki ust i skrzydełko nosa. Dotknęła brzegów uszu, a potem opuszkami palców zaczęła dziwny taniec na jego szyi. Magnus w odpowiedzi obrysował kciukami linię jej brwi.

Kochali się na podłodze, uniesieni jakąś niezrozumiałą, spadającą na nich zwierzęcą wolnością, a potem wybiegli do miasta, by na Małym Rynku, w tym samym „Shisha Clubie”, gdzie Magnus spotkał pielgrzymującą Darię, napić się wódki.

Nie odzywali się do siebie. Każde z nich przeżywało własny dramat. Piotr trzymał jej dłonie w swoich nad stołem. Dotarło do niego, że przed pół godziną przeszli na ty.

Nagle Maria coś sobie przypomniała.

– Nie będziesz się ze mnie śmiał? – zapytała, patrząc mu w oczy, a kiedy pokręcił głową, wyznała, że obiecała kiedyś panu Hansowi, że po jego śmierci włoży szmacianą lalkę, Wilhelminę Augustę, do jego trumny.

Tego wieczora Maria wyciągnęła z Magnusa pół jego życiorysu. Między ludźmi, w zgiełku podniesionych głosów, czuli się bezpiecznie. Wspomniał jej o nieudanym związku z Martą, a później pochwalił się jej Pawłem i Sylwią.

– Są zaręczeni? – W jej pytaniu słyszał nutkę zazdrości.

Najbardziej ją zdziwiło, że Sylwia spodziewa się dziecka.

– I nie zraziło cię, że godzinę temu byłam dziewicą?

Uśmiechnął się.

– Od początku mnie intrygowałaś – powiedział, starając się, by to wyznanie wypadło naturalnie.

– Błagam cię, Piotr, mów mi dzisiaj o życiu, ucieknijmy daleko od tej cholery i śmierci!

Grubo po północy zajechali pod hotel taksówką. Maria nie chciała wracać do swego apartamentu, bała się, więc Piotr zaproponował jej nocleg u siebie. Lekko pijana opierała się o ścianę i groziła mu palcem. Starali się niezauważenie przejść obok recepcji, lecz Kasia była szybsza. Poderwała się zza lady, robiąc wielkie oczy.

– Dzwonił do pani pan Guardian – oznajmiła. – Prosił, by przekazać szczere kondolencje.

– Mam gdzieś jego kondolencje! – odcięła się Maria. – Gdzie był, do cholery, kiedy umierał jego przyjaciel? Pewnie fundował sobie motyla albo jakiś pieprzony indiański pióropusz!

Magnus wziął Marię pod pachę i krok po kroku wyprowadził ją z pola rażenia.

Recepcjonistka odprowadziła ich piorunującym wzrokiem do windy, a jej złoty kolczyk w skrzydełku nosa świecił jak rozpalona iskierka.

Następnego dnia w tajemnicy przed Marią Magnus zadzwonił do firmy pogrzebowej i zamówił dla Hansa-Świra coś wyjątkowego od siebie. Chciał, by nad jego trumną zabrzmiała melodia, którą w *Romancy na trąbkę* grał narzeczony Teriny, Viktor. Przez pół godziny tłumaczył, kto to jest „ta Terina” i skąd trębacz ma wziąć nuty.

Kiedy w piątek na cmentarzu Maria wkładała do trumny szmacianą laleczkę, nieoczekiwanie pojawił się młodzieńki trębacz w smokingu i zagrał precyzyjną melodię. Maria płakała jak bóbr, a ksiądz zagryzał wargi.

Melodia skończyła się nagle. Słysząc było głuchy łomot ziemi spadającej na wieko i denerwujący pisk ptaków schowanych w tujach. Magnus odsunął się na bok, depreczając przyczajony między grobami

zgniżozielony rdest. Po deszczu, który spadł nad ranem, ziemia była wilgotna i każdy jego krok zostawiał głębokie odciski na piasku. Kiedy obrócił głowę, dostrzegł w oddali swoich opiekunów. Dwaj panowie z „firmy” stali przy odległym o kilkanaście kroków grobowcu i dyskretnie robili żałobnikom zdjęcia. Nie chciał psuć Marii nastroju i to spostrzeżenie zostawił dla siebie.

Po ceremonii Maria zachowała się jak kapryśne dziecko. Razem z księdzem odjechała gdzieś bez uprzedzenia zamówionym karawanem. Kiedy wypatrywał taksówki przy bramie cmentarnej, wysłała mu esemesa: *Przepraszam Cię, Piotrze, i dziękuję.*

Wieczorem gdy leżeli w jego łóżku przy zapalanej lampce nocnej, Maria wyjaśniła swoje dziwne zachowanie.

– Chciałam być po tym wszystkim sama, rozumiesz?

– Rozumiem.

– Nic nie rozumiesz! Musiałam się wyświadczyć. Czułam, że to nie tak, że to nieodpowiednia chwila na nasze...

Milczał. Nie spodziewał się takiego wyznania.

– Przez cały czas wierzyłam, że się pojawi. To był przecież jego najlepszy przyjaciel.

– Kto?

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Guardian!

A potem usłyszał z jej ust kolejne wyznanie, nie mniej zaskakujące: że dzisiaj przestała grać na wiolonczeli. Definitywnie.

– Myślałam, że ją ze złości przepikuję! Przez ostatni miesiąc dzień w dzień rzępoliłam dla niego *Nicht zu schnell* Schumanna, jakbym piła zabójczą truciznę. Bez tego nie mógł zasnąć. Przez to znienawidziłam ją i wyniosłam na śmietnik. Powiedz coś, chociaż ty bądź dla mnie miły.

– Chcesz usłyszeć, że się cieszę? – rzucił przekornie.

– Przynajmniej powiedz, Piotrze, że to nie zdrada!

Dopadła ich chandra. Leżeli obok siebie, wysłuchując niespodziewanych zwierzeń. Nie gasili światła. Kiedy Piotr zapytał Marię, jak wygląda Guardian, zrugła go, by był cierpliwy.

– Powiedz, jak wygląda. – Nie ustępował. – Widziałas go?

– Czy to takie ważne? Dlaczego w kółko o to pytasz? Niedługo sam go zobaczysz. No, dobrze, widziałam go dawno temu, wtedy gdy załatwił mi internat.

– I od tej pory się nie widzieliście?

Magnus siadł na łóżku.

– Nie.

– Ale rozmawiasz z nim?

– Tego nie można nazwać rozmową. On dzwoni do mnie lub pisze maile, wtedy gdy czegoś potrzebuje. Przysyła ludzi, którzy wykonują szybko jego polecenia. Bo...

– Bo?

– Pochłania go praca, to jasne! To wyjątkowy, zapracowany człowiek.

– Nie to co my?

– Nie bądź zgryźliwy. On utrzymuje międzynarodową firmę, daje pracę tysiącom ludzi na całym świecie. Musisz go zrozumieć.

Rozumiał. Też nie wiedział, jak wygląda i co robił naprawdę jego zleceniodawca. W biografii Guardian od matury aż po dzień dzisiejszy widniała wyrwa. Nie mogły jej zasypać żalosne ochłapy wspomnień: komunistyczna budowa gdzieś pod Kaukazem, podejrzane handlowe interesy w Rumunii i Bułgarii, bilet na vaporetto z Wenecji i wypchany wietnamski szczur. Był jeszcze większy szkopuł – Magnus nie znalazł najmniejszej wzmianki o kobiecie, z którą Guardian mógłby być związany. Jakby z rozmysłem ocenzurował swój przekaz. Piotr miał długą listę wątpliwości, ale Maria nie była tego dnia rozmowna.

– Czy nie wydaje ci się to zastanawiające?

– Co masz na myśli?

– No, że nie miał na stałe żadnej kobiety – dodał, lecz Maria obróciła jego pytanie w żart.

– Sądysz, że on jest... „tego”? – skwitowała, ziewając.

– „Tego” nie powiedziałem!

Przez chwilę czekał na wyjaśnienia, lecz zamiast nich usłyszał miarowy oddech. Maria zasnęła. Jej ciało nie było jednak odprężone. Gwałtowna fala skurczów przebiegła przez nie od stóp do głów. Chciał jej dotknąć, ale coś go wstrzymało. Przyglądał się jej powiekom, pod którymi poruszały się nerwowo gałki oczne. Maria dwa razy westchnęła, jak małe dziecko, i zwinięta w kłębek obróciła się na bok.

Magnus okrył ją kocem, a potem przypomniała mu się przygnębiająca, grana dla Świra melodia i kiedy zgasił lampkę, sam niepostrzeżenie zapadł w głęboki sen.

Tę noc i kolejne spędzili razem. Zachowywali się jak młode, wyposzczone małżeństwo. Schodząc do „Obłoku”, trzymali się za ręce, czym wprawiali w zakłopotanie Kasię i Magdę. Znajdowali upodobanie we wspólnych kąpielach w saunie, gdzie bez wstydu pokazywali swoje nagie ciała. Cieszyli się z jakiejś niezrozumiałej wolności, bojąc się, że nagle może się ona skończyć.

Z każdym dniem Maria stawała się coraz bardziej rozmowna, aż wreszcie wyznała coś, czego nie powinien słuchać.

Zdarzyło się to wieczorem, gdy siedzieli na tarasie Centrum Sztuki i Techniki Japońskiej „Manggha”, obróceniu plecami do Wisły. W srebrnych panoramicznych szybach widać było zniekształcone odbicie Wawelu, połamany statek wycieczkowy i rzekę, która na przekór prawom grawitacji płynęła pod górę.

Maria wyglądała niezmiernie. Jej kasztanowe włosy cudownie kontrastowały z białym żakietem i spodniami sportowymi. Na szyi miała srebrny łańcuszek, którym bawiła się, leniwie przesuwając majolikowy koralik. Ten spokój był jednak pozorny. W pewnej chwili coś między nimi

zaiskrzyło. Maria patrzyła z obawą na Piotra, nalewającego do filiżanek zieloną herbatę.

– Nie dokończyłaś – ciągnął ją za słowo. – Kiedy, co...?

– Kiedy przestałam udawać – powiedziała tak cicho, że ledwie ją usłyszał.

– Nie rozumiem.

– Ja sama tego nie rozumiem.

Maria zawiesiła głos na widok trzech japońskich turystów, robiących obok nich zdjęcie. Skośnooka trójka sfotografowała siebie i wnętrze „Mangghi” we wszystkich możliwych ujęciach. Kiedy znikli, Piotr nie chciał już dłużej trwać w niepewności. Chciał, by przestała go zwodzić. Gdy o tym pomyślał, Maria obeszła go i zasłoniła mu palcami oczy.

– Po śmierci moich rodziców działo się ze mną coś niezrozumiałego, aż znalazł mnie Guardian.

– Co?

– Musiałam przestać być.

– Chciałaś...

– Popełnić samobójstwo? Gorzej. Musiałam, tak jak oni, przestać... dlatego udawałam.

– Jak udawałaś?

– Przecież wiesz, Guardian chyba ci o wszystkim napisał?

– Jak udawałaś? – Nie ustępował, czując ucisk na gałkach ocznych, aż pod powiekami pojawiły się wirujące, kolorowe koła.

– Że nie słyszę.

– Oszalałaś!? – krzyknął.

Oderwał jej palce od swojej twarzy i obrócił się do niej, lecz ona stanęła do niego tyłem.

– Wiem, oszalałam, a może wcale nie oszalałam?! – podniosła głos, aż wszyscy na tarasie obrócili się w ich stronę



To wyznanie ją wyczerpało. Ucichła i opadła na plastikowe krzesło, ze wzrokiem wbitym w granitowe płyty.

– Czego wy ode mnie chcecie? Wpierw Guardian, a teraz ty? I tak nigdy tego nie zrozumiesz. Nikt tego nie zrozumie. Oszukiwałam się przez kilka dni po ich śmierci, a potem było już za późno. Kiedy trafiłam do domu dziecka prowadzonego przez siostry zakonne, weszło mi to w krew. Lebediew mówił, że w swojej praktyce lekarskiej miał już kilkanaście podobnych przypadków. Zaraz po wojnie przywieziono do niego dziewczynkę, która była świadkiem torturowania własnego ojca. Kiedy umarł, zaczęła udawać niewidomą. Komunistyczna władza...

– Chryste, przestań!

– Lebediew jeden to rozumiał. Powiedział mi, że kiedyś sam przez wiele miesięcy stosował podobną metodę. Kiedy leżał w okopie pod ostrzałem, wyobrażał sobie, że go nie ma. Za każdym razem, gdy jego życie było zagrożone, zamieniał się w pustkę, a pustki przecież nic nie boli. Boże, jaka ja jestem głupia. Miałam nikomu o tym nie mówić!

– A Guardian?

– Twój przemądrzały Guardian uwierzył w cudowny przypadek wyleczenia. Oszalał ze szczęścia i podarował profesorowi nowoczesny sprzęt do badań, a potem wymyślił sobie, że właśnie tu urządzi dla mnie hotel.

Nie wiedział, dlaczego przyszło mu do głowy „diabelskie krzesło”. Rzecz, która nie istnieje w rzeczywistości. Powielane przez artystów złudzenie, nad którym można się pochylić, podziwiając nieistniejące nogi i oparcie.

A może ona wciąż udaje – myślał – może dlatego tak łatwo przychodzi jej kochać się ze starszym od siebie facetem?

Maria próbowała zbagatelizować całą historię.

– Spójrz na mnie – powiedziała, jakby nic się nie stało. – No, spójrz, Piotr, kiedy cię o to proszę. – Włożyła pod nos dwie drewniane pałeczki

i podtrzymywała je wargami, przez co wyglądała jak królik. Na przekór sobie uśmiechnął się.

Wieczór zamienił się niepostrzeżenie w noc i taras zapełnił się nowymi gośćmi. Młodzi ludzie raz po raz przekrzykiwali się i wybuchali wesołym śmiechem. Magnus był skępowany. Wydawało mu się, że obserwują jego i Marię i że nie szczędzą pod jego adresem złośliwych komentarzy.

Zeszli po schodkach nad rzekę, trzymając się za ręce. Szli wzdłuż bulwaru w stronę mostu Grunwaldzkiego i przyglądali się jaskółkom, nisko przelatującym nad wodą.

Maria milczała. Wyznanie ją wyczerpało. Po drugiej stronie Wisły odzyskała wigor i zaproponowała, by zjedli u niej kolację. Orientalna kuchnia jej nie odpowiadała, więc obiecała własnoręcznie przyrządzić fondue.

Po drodze kupili w sklepie żółty ser, dwie bagietki, butelkę białego wina i węgierską kadamkę.

Kiedy przyrządzała kolację, dowiedział się, że pielęgniarka (która pomagała jej opiekować się Hansem) zabrała przedwczoraj do szpitala sprzęt medyczny i łóżko, zaś brygada remontowa pomalowała ściany, tak że pokój wyglądał nie gorzej niż apartament pani Munier. Była złośliwa, lecz nie wyjawiała mu, skąd wie, że u niej bywał.

Magnus zajrzał do pokoju Hansa. Wrzosowy kolor ścian i o ton jaśniejsza wykładzina zmieniły wnętrze. W miejscu, gdzie stało żelazne łóżko, pojawił się okrągły stolik, obok szafa z lustrzanymi drzwiami i dwa skórzane fotele w beżowym kolorze.

Wycofał się prędko, bo Maria zawołała go z kuchni i poprosiła, by pokroił bagietki. Zajęty porcjowaniem bułek, opowiadał jej o Magellanie i LMG.

– Okazuje się, że prawdziwym zwycięzcą wyprawy dookoła świata był nie Magellan, lecz Cristobal de Haro. To on wspierał wyprawę finansowo i to on odebrał w Sewilli dwadzieścia sześć ton goździków, przywiezionych

na pokładzie „Victorii”. Gdyby dziś sprzedać te goździki, byłyby warte miliony!

Ta wiadomość nie zrobiła na Marii żadnego wrażenia. Starannie kroїła w paseczki czerwoną paprykę, obrywała do sałatki listki bazylii i wyciskała czosnek.

– Pewnie dlatego de Haro założył ochronkę – powiedział Magnus. – Miały się w niej znaleźć sieroty po zaginionych i zmarłych marynarzach. Prawdopodobnie ochronką kierował Juan de Zubileta, jeden z jedenastu pozostałych przy życiu marynarzy. Tak chciał de Haro, a może czuwający nad wszystkim Anioł Stróż?

Kiedy narodowa potrawa Szwajcarów wylądowała w ich brzuchach, Maria poprosiła, by zostawił ją samą.

– Ja naprawdę nie jestem dzieckiem i daję ci słowo, że nie będę się bać. – Pocałowała go na pożegnanie w policzek. – Nie chmurz się, zobaczymy się o ósmej na śniadaniu w „Obłoku”.

O drugiej w nocy obudził go wibrujący na stole telefon. Magnus wyskoczył z łóżka i przystawił aparat do ucha.

– Nasłałeś go na mnie? – usłyszał podniesiony głos.

Powoli zlokalizował miasto, hotel, siebie, a potem głos syna, pełen pretensji, docierający do niego jakby z zaświatów. Piotr zapalił lampkę i poszukał lepszej pozycji do rozmowy.

Z przymkniętymi oczami, w fotelu, próbował kojarzyć fakty.

– Nasłałeś go na mnie? Tak czy nie?

– Kogo? Nie rozumiem.

– Dzwonisz, kiedy chcesz, a kiedy ja dzwonię, nie odbierasz. Czy mógłbyś wreszcie przestać dysponować moim życiem?

– Dawno przestałem, nie uważasz?

– A dzisiejsza propozycja twojego Guardiania? Chcę cię ostrzec, to jakiś wariat.

Niespodziana agresja w środku w nocy rozsierdziła go.

– Mógłbyś jaśniej?

– Proszę bardzo! Jest ze mną Sylwia. Była dziś w szpitalu zrobić USG. Godzinę po jej wyjściu zadzwoniła pielęgniarka. Była zszokowana. Powiedziała jej, że jakiś facet proponował im pieniądze za informację o płci naszego dziecka.

– I tym kimś, według ciebie, jest... pan Guardian?

– Jaki pan? To pomylenieć! Uwolnij się od niego i wróć do domu.

– Boisz się go, bo go nie znasz.

– A ty go znasz? Śledzi każdy nasz krok. W co on cię wplątał?

– Nic nie rozumiesz. Kończę jego biografię.

– Za ile mu się sprzedałeś?

Magnus usłyszał w tle głos Sylwii: „Paweł, to twój ojciec, przestań!”.

– Płaci mi, to fakt! Nie podoba ci się moja praca?

– Genialne! Pisziesz biografię szaleńca, który tobą manipuluje. To przez niego dzwoniły do mnie przedwczoraj te dupki. Mówili o tobie, że...

– I dlatego chcę cię prosić, byś w nic się już nie angażował. – Ojciec nie dał mu skończyć.

– Tato, to nie jest zwykły przeciwnik. Oni wiedzą o mnie wszystko. Zagrozili mi, że jeśli jeszcze raz spenetruję ich stronę, postarają się, bym wyleciał ze studiów. Mówią o tobie, że...

– Bzdury! – przerwał Magnus. – Wszystko, co mówią, to obrzydliwe kłamstwo! Wierzysz mi?

W słuchawce słychać było głośny oddech.

– Dzięki, tato. Dla mnie najważniejszy jest teraz nasz...

– Syn?

Paweł śmiał się uszczęśliwiony. To jedno słowo sprawiło, że byli pogodzeni.

Odłożył telefon i spróbował uporządkować fakty. Po co Guardianowi wiadomość o płci nienarodzonego dziecka? Najprościej byłoby wystukać jego numer, ale do tej pory nie udało mu się mimo starań tego numeru

poznać. Miał wprawdzie jego mailowy adres, lecz wątpił, by hotelarz zechciał w środku nocy odpowiedzieć na jego korespondencję.

O ósmej rano zszedł do „Obłoku”. Nalał kawy do filiżanki, wziął puszystą drożdżówkę i siadł blisko wejścia, pod obrazem japońskiej gejszy, by widzieć wchodzącą Marię. Nie czekał długo. Uśmiechnięta, stanęła przede nim i pocałowała go w policzek. Potem poszła do barku po jedzenie. Na jego pytanie o dziwny telefon syna, przyznała, że czuje się winna, ale powinien ją zrozumieć, bo chciała mu tylko pomóc.

– Ty zrobiłeś coś dla mnie, a ja miałam chęć zrobić coś dla ciebie. Bo Guardian...

– Co znowu, twój Guardian?

– Ubrdał sobie, że zostanie ojcem chrzestnym twego wnuka.

– Oszalał?! Paweł jest wściekły! Obudził mnie w środku nocy

– Zwał wszystko na mnie – odpowiedziała złośliwie. – Albo lepiej daj mi jego telefon, sama sobie z nim porozmawiam.

Zachowywała się jak obrażona dziewczynka. Nie smakowała jej kawa, zostawiła w kubeczku zmieszane z jogurtem müsli.

– Wybaczysz mi? – zapytała z niewinną miną, potem uśmiechnęła się zniewalająco i wtedy przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie, scenę z kartką wyrwaną z jego książki, jej sylwetkę w oknie, zapach jej ciała i pozornie wszystko wróciło do normy.

– O czym myślisz?

– O biografii – odpowiedział i wziął jej dłoń. – Powinienem ją wreszcie zakończyć.

Maria powoli, lecz zdecydowanie wysunęła swoje palce z jego dłoni. A potem niespodziewanie pożegnała się z nim, obiecując, że niedługo się odezwie.

Po jej wyjściu wyciągnął z kieszeni komórkę i wystukał wiadomość do Pawła: *To pomyłka. Wszystko już się wyjaśniło. Masz więcej przyjaciół, niż*

*myślisz. Pozdrów ode mnie Sylwię! Kocham was, ojciec.* Na odpowiedź czekał kilkanaście sekund, by otrzymać lapidarne: *OK.*

Do umownego terminu wyznaczonego przez Guardiana zostały już tylko dwa dni. Czterdzieści osiem godziny, które miały wreszcie zakończyć trzymiesięczny okres zmagania z cudzym życiem.

Po porannym rozstaniu z Marią zamknął się w pokoju hotelowym. Czytał od nowa napisany przez siebie tekst i oglądał zdjęcia. Po kolacji zrobił sobie krótką przerwę i wyszedł do sklepiku po drugiej stronie ulicy, by kupić puszkę orzeszków pistacjowych i dwie butelki ciemnego irlandzkiego piwa.

W nocy przykładał do skroni ręcznik zmoczony zimną wodą, jadł orzeszki i pił piwo. Zamienił się w ostrego recenzenta. Czepiał się dupereli, grymasił, zaskakiwał siebie naiwnymi pytaniami, by jeszcze raz przekształcić to, co już raz zostało przekształcone.

Nad ranem padał na twarz, lecz wciąż się nie poddawał. Kwadrans po dziesiątej postawił ostatnią kropkę w biografii LMG i przezornie, za radą syna, zapisał ją na pendrivie. Był szczęśliwy jak nikt i cholernie zmęczony. Ubrał się szybko i wyszedł z pokoju, by wciągnąć do płuc ten obezwładniający powiew słodczy i wolności. Na parterze przy windzie o mało nie zderzył się z miedzianowłosą pokojową, która w ostatniej chwili zdążyła zrobić unik. Dziewczyna pozdrowiła go swoim niezmiennym: „Dzień dobry, panie Piotrze!”. Zaskoczony, nie zdążył nawet odpowiedzieć i wybiegł z hotelu na tętniącą życiem ulicę.

Był ostatni dzień kwietnia, na Plantach kwitły kasztany, ich cudowny kolor i zapach stawał się nie do zniesienia. Niesamowity gwar i fale śmiechu przetaczały się przez Rynek, wylewając na Podgórze i Kazimierz.

Magnus wędrował wokół starych murów i podekscytowany zatrzymał się przy straganie, by kupić obsypanego makiem bajgla. Zajadał się nim i marzył, by w końcu wyjechać z miasta na zasłużone wakacje. Stwierdził, że te trzy miesiące, które przeżył w hotelu, przeleciały jak jeden dzień.

Po powrocie ze spaceru zaszedł do Marii, by pochwalić się zakończeniem pracy. Była szczęśliwa jak on. Pogratulowała mu i pocałowała go w policzek. Potem wyjęła z torebki telefon komórkowy i natychmiast zadzwoniła do Guardianiana. Po chwili oznajmiła, że LMG jest zachwycony i w nagrodę funduje im egzotyczną wycieczkę.

– Zdradził ci, gdzie pojedziemy?

– Znasz go, Piotr, jak nikt i nie domyślasz się? Celem naszej wyprawy ma być Mactan, miejsce śmierci Ferdynanda Magellana! Leo od kilku dni już tam na nas czeka. Chce jak najszybciej dostać swoją biografię. Co mam mu powiedzieć?

– Powiedz, że nie uznaję żadnych maili. Otrzyma ją ode mnie z autografem. Chcę ją wydrukować i wręczyć mu osobiście.

– Piotrze, Leo usilnie nalega, byśmy wyjechali jeszcze dziś wieczorem!

– Skąd ten nagły pośpiech?

– Ma swoje powody. Powiedział, że na lotnisku czekają na nas zarezerwowane bilety. Wybrał dla nas pięciogwiazdkowy hotel położony nad samym morzem. Nie powinniśmy zwlekać. Leo przypomina ci o jakimś obrazie, podobno dobrze wiesz, o co chodzi.

Magnus uśmiechnął się zagadkowo. Wiedział, co to za obraz, ale nie rozumiał tego szalonego pośpiechu. Tych aluzji i niedopowiedzeń, tych gier, w które LMG na nowo próbował go wciągnąć. Egzotyczna propozycja, choć była mu na rękę, spadła na niego jak grom z jasnego nieba i musiał ją w spokoju przemyśleć.

– Twój Leo jest w gorącej wodzie kąpany! Powiedz mu, żeby wypił za nas zimnego szampana.

Wrócił sam do swego pokoju. Nie chciał się przyznać Marii, że się boi tego wyjazdu, a jednocześnie marzy, by w końcu poznać swego tajemniczego zleceniodawcę.

Tego samego dnia, po godzinnej drzemce, zabrał ręcznik i zszedł do sauny. Ogarnęła go euforia, jak zwykle, gdy skończył pisać książkę, a jednocześnie czuł żal po czymś, co definitywnie się skończyło. Kiedy strumyczki potu zaczęły płynąć po jego ciele, wskoczył pod zimny prysznic. Zadowolony prychał jak młodziak, a nawet śpiewał głośno. I właśnie wtedy, gdy lodowaty strumień ciał jego plecy, raptem przypomniał sobie o jeszcze jednym dokumencie, który znalazł w przyniesionym przez posłańca pudle. O zaklejonej niebieskiej kopercie opatrzonej drukowanym napisem. Trzy miesiące temu włożył ją specjalnie do teatralnego przewodnika. LMG umieścił na kopercie ostrzeżenie, by nie otwierać jej przed zakończeniem biografii.

Zakręcił wodę, nałożył szlafrok i zaaferowany wrócił do pokoju. Zdjął z półki teatralny informator i wytrząsnął z niego list, który nie dawał mu spokoju. Podekscytowany rozerwał brzeg koperty. Wyjął ze środka kartkę zapisaną gęstym drukiem i płytę CD. Zaczął od płyty. Włączył laptopa i włożył ją do stacji dysków. Na ekranie pojawił się po chwili żółty folder. Rozgorączkowany najechał na niego kursorem i kliknął, a to, co zobaczył, odebrało mu mowę.

Na monitorze ukazało się stare zdjęcie w kolorze sepia. Jego precyzja była niewiarygodna. Fotografia przedstawiała mieszkańców ochronki. Dorośli i dzieci uchwyceni zostali na tle piętrowego budynku z cegły. Był ranek i cień fotografa pochylonego nad statywem przypominał skradające się monstrum. Nad wejściowymi drzwiami, pod zbitym tynkiem, czerniał zniszczony napis: ...SCHU... ENGEL...

Wszystkie spojrzenia były wycelowane w obiektyw. Z lewej strony stał wysoki mężczyzna w kapeluszu, ubrany w za duży garnitur. Obok niego Magnus zobaczył kobietę w zaawansowanej ciąży i siostrę zakonną w habicie. Po prawej stronie pozował mężczyzna w wojskowym mundurze z teczką. Przy nim stał fryzjer, a z kieszonki jego fartucha wystawała brzytwa. Dalej, po prawej stronie, przy motocyklu z przyczepką siedział kot



i lizał łapę. Z tyłu za nim, w odległości kilkunastu kroków, fotograf uwiecznił przechodzącego mężczyznę z lalką w dłoni.

Przed dorosłymi siedziały na trawie dzieci w trzech rzędach. Miały poważne miny. Magnus dwukrotnie powiększył zdjęcie. Wydawało mu się, że rozpoznał w tej gromadzie Draęala wystawiającego język, przechyloną na bok Maryjkę i jękającego się Jerzyka, któremu Draęal przyprawiał rogi. Obok Jerzyka siedziała Helga. Przekrzywiony kucyk na czubku jej głowy przypominał ptasie gniazdo.

Ponownie obejrzał wszystkie twarze, lecz nie mógł znaleźć najważniejszej postaci. Kiedy na nowo skoncentrował się na pierwszym rzędzie, odkrył na fotografii ledwie widoczną skazę. Bez wątpienia w jej miejscu musiała być kiedyś jakaś postać, po której pozostał niewyretuszowany czubek dziecięcego buta.

Zdziwiony zamknął program, a potem rozprostował kartkę wyjętą z koperty. Podszedł z nią do okna i zaczął czytać.

*Szanowny Panie Piotrze! Szczerze gratuluję zakończenia mojej biografii. Dopiero teraz może Pan dowiedzieć się o pewnym zdarzeniu, którego wcześniej z oczywistych względów nie mógł Pan poznać. Po przeczytaniu tego listu proszę go natychmiast spalić!*

*Jak Pan już wie z mojej opowieści, wszystkie dni w ochronce były do siebie podobne. Piszę o tym, by wyobraził Pan sobie jeden dzień, gdy stało się coś wyjątkowego. Na lekcji techniki nauczyciel Jan narysował na tablicy wielkiego skrzynekowego latawca i powiedział, że ten „potwór” z bambusa i papieru dzięki nam poleci wkrótce do nieba.*

*Uwierzyliśmy mu, on zawsze dotrzymywał słowa. Po dwóch tygodniach latawiec był gotowy i całą ochronką, śpiewając i tańcząc, poszliśmy na łąkę nad jeziorem. Kiedy nasz potwór wzleciał w przestworza, byliśmy z siebie dumni i każdy mógł przez krótką chwilę potrzymać linę, a nawet posłać po niej do nieba małą obręczkę z papieru ze swoim życzeniem.*

*Ja ostatni doświadczyłem tego zaszczytu. Przejąłem szpulę od Drągala i mocowałem się z fruującą pod chmurami bestią. Byłem szczęśliwy jak nigdy w życiu i chyba dlatego dotknęło mnie za karę to nieszczęście.*

*Niespodziewanie od strony Raju zawiął porywisty wiatr. Jezioro zmarszczyło się wściekle, jak kark psa Wolfganga Usa. Poczulem gwałtowne uderzenie, jakbym siłował się z Drągalem na rękę. Zaparłem się nogami w ziemię, kopałem trawę, dawałem się ciągnąć, kładłem się i wstawałem, lecz wiatr był silniejszy. W jednej sekundzie zerwał trzymaną przeze mnie linkę i nic nie mogłem zrobić, tylko patrzeć, jak nasz latawiec unosi się coraz wyżej i wyżej, kierując się w stronę miasteczka.*

*Podniósł się krzyk. Nauczyciel Jan wskoczył na rower i co sił popedałował na drugą stronę jeziora. My też rzuciliśmy się za nim na ratunek. Kiedy już tam dobiegliśmy, z bambusowej skrzyni oklejonej białym papierem zostały same strzępy. Kilkadziesiąt metrów od nas stały dzieci z miasteczka i rzucały w nas kamieniami. Wyzywały nas i szydziły. Chciały nas ukarać za to, że (tak jak one) ośmieliliśmy się mieć własne marzenia. Maluchy beczały, a nam, starszakom zaciskały się ze wściekłości pięści.*

*Po tym zdarzeniu przez wiele dni byłem w ochronce parszywą owcą. Nikt nie chciał się ze mną bawić ani siedzieć przy jednym stole. Bito mnie i poniżano, aż w końcu przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Musiałem tylko przekonać do niego Drągala i paru innych chłopaków. Wkrótce nadarzyła się okazja: do ochronki przyjechało ruchome kino i kiedy towarzysz Kotow zasłonił kocami okna, na mój znak Jerzyk, Drągala i ja wymknęliśmy się z sali.*

*Po kwadransie dobiegliśmy zziązani do baraku, w którym mieszkali przesiedleńcy. Tam za blaszanym śmietnikiem urządziliśmy zasadzkę. Mijały minuty, lecz nic się nie działo. Na drogę wyszedł rudy kot i oberwało mu się od nas kamieniem. Drągala chciał już nawet wracać, bo jeszcze nie widział filmu o bohaterskim Czapajewie, lecz wtedy uśmiechnęło się do nas szczęście. Niedaleko od nas pojawił się mały „barakowiec” z kubłem na*

*śmieci. Zamyślony szedł i pogwizdywał coś pod nosem. Poznaliśmy go po porwanych spodniach i za dużej czapce. To on najbardziej grał nam na nerwach, pokazując „wał”. Kiedy wpadł w nasze ręce, nie był już taki chojrak. Klęknął i cicho błagał, żeby go wypuścić. Drągalowi spodobała się ta pokuta, Jerzyk też zaczął się łamać i tylko ja byłem nieubłagany. Powiedziałem, sam nie wiem dlaczego, że za porwany latawiec należy mu się prawdziwa kara. Wyrwałem żelazny palik, do którego wiąże się bydło, i z całej siły uderzyłem szczeniaka w kark. Usłyszałem trzask. Nie wiedziałem, że jedno moje uderzenie pogruchocze mu kości. Triumfowałem. Na oczach przerażonych kolegów podniosłem go i wrzuciłem przez stalowe drzwiczki do śmietnika.*

*Teraz gdy poznał już Pan tę straszną historię, która przez całe życie nie dawała mi spokoju, pragnę w kilku zdaniach zahaczyć o Pański życiorys. Nie jest to, broń Boże, cyniczny rewanż, raczej stwierdzenie, że jesteśmy do siebie podobni.*

*Szanowny Panie Piotrze! Niecały miesiąc po przeczytaniu Schizmy znalazłem się w Amsterdamie, dokładnie tam, gdzie Pan – w Cafe Frontline, przy Geldersekade. Zamówiłem zimnego amstela i podziwiałem przez okno opisaną przez Pana chińską barkę. Właśnie w tym miejscu, za odpowiednią sumę, poznałem prawdę o śmierci Irmy, bohaterki pana książki. Wiem, że spisał Pan jej opowieść, a potem patrzył ze współczuciem, jak podjeżdża wózkiem na brzeg kanału, by wyrównać swoje rachunki ze śmiercią.*

*Szanowny Panie Piotrze! Tylko Pan i ja wiemy, ile trzeba odwagi, by jak Magellan na przekór wszystkim zrobić pierwszy krok po trapie.*

*Łączę wyrazy szacunku – oddany Panu LMG*

Magnus zaklął pod nosem, a potem metodycznie zgniótł kartkę. Położył ją w popielniczce i podpalił zapalniczką. Po kilkunastu sekundach rojenia hotelarza zamieniły się w popiół. Kiedy dmuchnął w papierowy żar,

niewielki płatek poderwał się i poszybował nad stołem jak latawiec nauczyciela Jana.

Wściekły wymyślił jeszcze gorszą zemstę. Włożył pendrive'a do portu USB. Odczekał, aż na pulpicie pojawiła się biografia Guardiana, nad którą ślęczał od trzech miesięcy, i z sadystycznym zadowoleniem najechał kursorem na małą ikonkę. Przesunął ją powoli w stronę kosza. Dokładnie w tym momencie, gdy miał ją opuścić w wirtualną czelusć, usłyszał głośne pukanie.

Magnus wyłączył komputer, schował pamięć przenośną do kieszeni i poszedł otworzyć drzwi.

W progu stało dwóch nieproszonych gości: brunet i blondyn. Blondyn jak chart dobiegł do popielniczki i włożył do niej palec. Podniósł popiół i roztarł go, potem podsunął sobie pod nos i wziął delikatnie na język.

- Co to było? – zapytał, przyglądając się Piotrowi podejrzliwie.
- Coś, co pana już nie zainteresuje – odpowiedział beczelnie Magnus.
- Dlaczego pan to spalił? – zapytał brunet.
- Nie lubię zaległych rachunków! A pan?

Brunet patrzył na niego uważnie.

– Niech pan wreszcie przestanie udawać! – Zmienił taktykę. – Pana zleceniodawca to niebezpieczny facet.

– Już o tym kiedyś słyszałem!

Brunet podszedł do okna. Przez krótką chwilę patrzył w okno Marii.

– Najwyższy czas, żeby zaczął pan z nami współpracować – powiedział i obrócił się w stronę Magnusa. – Nasz stosunek do pana ulegnie zmianie, jeśli przekaże nam pan, oczywiście całkowicie nieoficjalnie, napisaną przez pana...

– Niech pan wybije to sobie z głowy! – przerwał mu Magnus.

– Jest pan, panie Piotrze, pod wpływem niebezpiecznej osoby – rzekł flegmatycznie blondyn. – Wszyscy, którzy znaleźli się w jej kręgu, wcześniej czy później weszli w konflikt z prawem.

– Sam pan rozumie, że w tej sytuacji nie może pan opuścić miasta! – zakomunikował rzeczowo brunet.

– Dla pana dobra chcielibyśmy zabezpieczyć wszystkie pańskie notatki dotyczące Guardiana i pański komputer. Mam nadzieję, że szczegółowo pan nam dziś objaśni te zapiski.

– Proszę się szybko ubrać, spakować rzeczy, a potem grzecznie zejść na dół.

– Nie chcemy robić zbiegowiska, jest pan osobą znaną i szanowaną. Kwadrans panu wystarczy?

Magnus kiwnął głową.

– Czekamy na pana pod hotelem, w grafitowym passacie.

– Przyślemy tu kogoś, żeby panu pomógł – rzucił brunet i wyszedł za blondynem na korytarz.

– Poradzę sobie! – odpowiedział gniewnie.

W pośpiechu ubrał się i spakował walizkę, układając na dnie namalowane przez Aleksandra portrety. Zakleił taśmą kartonowe pudło, które dostał od Guardiana, i wystawił walizkę na korytarz. Nie miał zamiaru spotykać się z naprzykrzającym mu się duetem, więc, tak jak nauczyła go Maria, zamierzał za chwilę wsiąść do windy i nacisnąć jednocześnie dwa skrajne przyciski. Miał doskonały plan, lecz kiedy wrócił do pokoju po laptopa i pudło, na jego drodze stanęła nagle pokojowa. Nie była to już grzeczna panienska, która układała w szafie jego rzeczy i odkurzała wykładzinę, wesoło pogwizdując. Zmieniła strój. Teraz była ubrana w przylegający do ciała czarny uniform. Miała w ręce paralizator, a za paskiem kajdanki. Musiała więc być w zмовie z facetami z „firmy”. Kiedy Magnus sięgał po laptopa, dziewczyna zagroziła mu drogę i wyciągnęła rękę, jakby chciała go uprzedzić. Dalej wszystko rozegrało się jak na przyśpieszonym filmie. Pokojowa przez ułamek sekundy zawahała się, a tyle wystarczyło, by Magnus niespodziewanym wyrzutem ręki spróbował podbić jej paralizator. W odpowiedzi zrobiła fachowy unik,

obróciła się na pięcie i w tym momencie straciła równowagę, potykając się o pozostawione pudło. Magnus przyglądał się, jak z całej siły wali skronią w róg stołu. Upadła na podłogę między stolikiem i łóżkiem niczym manekin. Nie ruszała się.

Magnus pochylił się nad dziewczyną i odgarnął z jej ust pasemko miedzianych włosów. Pokojowa gapiała się na niego wybałuszonymi gałami, jakby chciała powiedzieć: „Panie Magnus, stało się nieszczęście i nic już nie cofnie zdarzeń”.

Dotknął jej przegubu. Wyczuwał rytmiczny puls. Jej pierś wolno się podnosiła.

Nagle rozległ się dźwięk komórki. Piotr poznał po sygnale, że to Maria.

– Co się u ciebie dzieje? Zjeżdżaj natychmiast na dół – ponagłała go.

Magnus zabrał laptopa i pudło. Zrobił krok nad wyciągniętą na podłodze pokojową i biegiem wskoczył do windy. Niezauważony przez nikogo zjechał do piwnicy przy „Obłoku”. Był roztrzęsiony. Natychmiast opowiedział Marii, która już na niego czekała, co się zdarzyło.

Wysłuchała tego ze spokojem. Była zadziwiająco opanowana, gdy prowadziła go labiryntem piwnicznych korytarzy.

– Piotr, przestań się wreszcie nad sobą rozczulać. To był zwyczajny wypadek – powiedziała jakimś dziwnym, zmienionym głosem. – Musiałeś ją zostawić. – Obiecuję ci, że zaraz wezwę karetkę.

Zadeklarowała też, że sama zabierze jego rzeczy na lotnisko i że za dwie i pół godziny spotkają się w hali odlotów. Wyprowadziła Magnusa z piwnicy na hotelowe podwórko. Przeszli między garażami, przecięli niewielki ogród z krzakami porzeczek i zatrzymali się przy ceglany ogrodzeniu, skąd widać było sąsiednią ulicę i odjeżdżający tramwaj.

Maria otworzyła furtkę. Pocałowała go w policzek i pokazała ręką, by ruszył biegiem w stronę stojącej przy chodniku taksówki.

Siadł obok kierowcy, spojrzął na zegarek. Do odlotu zostały mu jeszcze dwie godziny i dwadzieścia sześć minut, w sam raz, by wpaść na krótką chwilę do Pięknego Aleksandra.

Nieoczekiwanie zmienił ustalenia i kazał kierowcy zawieźć się na Biskupią. Chciał pożegnać się z artystą i odebrać obiecany portret. Taksówka czekała na dole, gdy on wbiegł po schodach i zapukał do znajomych drzwi. Ledwie jednak przekroczył próg pracowni, Aleksander natychmiast stanął za sztalugami.

– Nie ruszaj się, Piotr – powiedział, potrząsając bujną czupryną. – Zrobię tylko delikatny retusz!

Słyszał tę gadkę od kilku dni i miał wrażenie, że malarz świetnie bawi się jego kosztem. Dlaczego bez jego zgody na obrazie wcisnął mu do ręki drewniany krzyż? Po co rozorał mu twarz szpecącą prawy policzek blizną? Otwierał usta, krzyczał coś, lecz do kogo? Aleksander nadal nie chciał zdradzić, co to wszystko znaczy. Mówił, że przez zaborczą ciekawość łatwo można unicestwić natchnienie.

– Teraz jest doskonale, od początku na to czekałem.

– Na co?

– Na twój lęk. Masz w oczach prawdziwy lęk, którego nie można udawać. Jest jak światło albo kapryśny czas, które dodają do swych farb.

Magnus nie odzywał się. Odliczał sekundy. Wiedział, że za chwilę Aleksander zdejmie obraz ze sztalug i pieczołowicie zapakuje go do kartonu. Malował tryptyk na zamówienie Guardiania i wyznaczył w nim Piotrowi specjalną rolę.

Stał zamknięty pod swoją arkadą, niby w przenośnym ołtarzyku. Nad jego lewym ramieniem widać był brzeg jeziora Maurin, rude trzciny, bagnisty półwysep i krętą drogę prowadzącą do Raju. Dalej, po lewej, za opalizującą wodą wyrastało otoczone murami miasto. Powietrze drgało nad domami, a wieża gotyckiego kościoła przechylała się w stronę ratusza jak ostry, diabelski róg.

## EPILOG

Wciąż miał wyrzuty sumienia, że nie wezwał lekarza, lecz Maria zapewniła go, że Ruda wyszła z feralnego zdarzenia bez szwanku. Mimo to przejrzał w internecie wiadomości z kraju, a kiedy nie znalazł wzmianki o tragedii w hotelu LMG, uspokoił się nieco. Zastanawiał się, czy po jego ucieczce wysłano za nim międzynarodowy list gończy. Na wszelki wypadek postanowił zapuścić brodę. Nigdy w życiu nie nosił brody. Uznał, że może to być nawet zabawne.

Uśmiechnął się cierpko i spojrział przez panoramiczne okno na pomarszczone morze, leżące u jego stóp. Niedawno przeszła gwałtowna ulewa i przez ogromną dziurę w ołowianym cumulonimbusie wyjrzało oślepiające słońce. Daleko na horyzoncie, obok potężnego mostu łączącego ze sobą dwie wyspy, pojawił się luksusowy prom, wyglądający jak dryfująca góra lodowa. „Princess of the Stars”, płynął do Manili. Gdzieś na jego pokładzie powinna być Maria, może nawet teraz do niego machała?

Był zawiedziony. W ostatniej chwili Guardian odwołał ich spotkanie, by podpisać jakąś ważną umowę handlową. Z uroczystej kolacji przy świecach z szampanem wyszły nici. Magnus nie mógł się z takim zachowaniem pogodzić, lecz Maria nieoczekiwanie wzięła Leo w obronę. Była obrażona, że Magnus mu nie ufa. Chętnie zgodziła się asystować swemu przybranemu ojcu, a przy okazji przekazać mu wydrukowaną i podpisaną przez Piotra biografię wraz z obrazami namalowanymi przez Aleksandra.

Teraz był sam w hotelowym apartamencie. Dla poprawienia humoru sięgnął po szklaneczkę Ballantine’-sa z lodem. Kiedy delektował się tym jedynym w świecie smakiem, znowu naszły go wątpliwości.



Poprzedniego dnia po męczącym jedenastogodzinnym locie trafił na dwudzieste piętro pięciogwiazdkowego hotelu na wyspie Mactan. Dostali z Marią apartament z ogromną łazienką i jacuzzi. Przytulne, klimatyzowane wnętrza pomalowane w kojące błękity i beże, tak samo jak łagodna muzyka sącząca się z ukrytych głośników wprawiły go w błogi nastrój. Czuł się jak astronauta wysłany na odległą planetę.

Okolo szesnastej miejscowego czasu Magnus wziął prysznic i odziany w kremowy szlafrok przeglądał najnowsze wiadomości w „The Manila Times” na swoim laptopie. Właśnie sprawdzał pogodę na najbliższy dzień, gdy usłyszał ciche pukanie do drzwi. Otworzył je i zobaczył małą Filipinkę z obsługi hotelowej w pomarańczowym uniformie. Dziewczyna miała czarne włosy obcięte na chłopaka i wyglądała jak duża lalka. Lalka, nie przestając uśmiechać się, powiedziała wdzięcznie „Sorry” i postawiła przy nim czarną plastikową walizkę. Potem wręczyła mu niebieską kopertę i czekała na napiwek, wyzywająco patrząc mu w oczy. Zaskoczony dał jej dolara, a kiedy został sam, otworzył kopertę i wyjął z niej kremową kartkę. List napisany był po angielsku i wydrukowany na laserowej drukarce. Rozłożył kartkę i przetłumaczył go sobie.

*Szanowny Panie! Nazywam się Dorothy O’Rear. Pochodzę z New Ross w Irlandii i jestem właścicielką linii żegludowej i hotelu, w którym się Pan zatrzymał. Bardzo mi miło gościć Pana u siebie – czytał zaskoczony. – Zapewne mój list już teraz uruchomił lawinę pytań, więc śpieszę wyjaśnić, że Pański adres otrzymałam od mego serdecznego przyjaciela, Leo Maksymiliana Gaurdiana. Wiem od Leo, że tylko Pan może mi pomóc w pewnej bardzo delikatnej sprawie. Nie będzie to, Boże broń, pomoc bezpłatna. Dostarczyłam już Panu w walizce potrzebne materiały, świadectwa, dowody, a także moje zdjęcia, filmy i listy.*

*Rzecz jasna ureguluję wszystkie Pańskie rachunki za pobyt w hotelu i za wyjazdy (jeśli okażą się konieczne). Jestem przekonana, że dojdziemy*

*do porozumienia i zgodzi się Pan napisać w ciągu trzech miesięcy moją biografię.*

*Łączę wyrazy szacunku – D. O’R.*

*PS Zadzwoń do Pana jutro po południu. Proszę określić wysokość honorarium, jakiego Pan się spodziewa. Jeśli dobijemy targu, a sądzę, że tak się stanie, zwyczajowa zaliczka znajdzie się na Pana koncie bez zbędnej zwłoki. Z wiadomych względów bardzo proszę, by treść tego listu zachował Pan wyłącznie dla siebie. Kod do zamka walizki:1953.*

Magnus położył list na stoliku. Przez chwilę zastanawiał się, a potem nastawił kod w zamku i otworzył pokrywę. Zobaczył w środku starannie spakowane dokumenty, albumy i bibeloty, z których miał wyczarować życie jakiejś Dorothy O’Rear.

Perspektywa spędzenia wakacji w luksusowym hotelu nad morzem była kusząca, lecz jego obawy na nowo budził przeklęty rytuał. Podekscytowany zastanawiał się, czy warto zaczynać biografię przyjaciółki Guardian. Nic o niej nie wiedział, prócz tego, że pochodziła z New Ross w Irlandii i że musiała być obrzydliwie bogata, skoro stać ją było na trzydziestopiętrowy hotel. Kim była? Może zrzędliwą starą panną, a może całe życie opędzała się od przystojnych i natrętnych chłopów?

Podniósł szylkretowy wachlarz. Rozłożył go i szybkim ruchem zagarnął powietrze, a potem jego uwagę zwróciła czarno-złota lornetka teatralna z rączką inkrustowaną masą perłową. Przystawił ją do oczu i podregulował. Dojrzał dwoje emerytów idących wzdłuż brzegu z psotnym terierem i windsurferowca ślizgającego się na grzbietach fal.

Przerzucił poźółkłe czasopisma z artykułami zakreślonymi czerwoną kredką. Odłożył na bok ramkę z orzechowego drewna ze zdjęciem małej dziewczynki siedzącej na łaciatym kucu. W końcu dojrzał porysowaną

winyłową płytę. Uśmiechnięty Frank Sinatra kłaniał się mu z okładki, zginając przekornie rondo filcowego kapelusza.

# Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Ochronka Anioła Stróża](#)

[Epilog](#)